



ELIZABETH
BERG

Zdarzyła się miłość

ITINCI MALŻONKÓW CZASEM SIĘ ROZCHODZIŁ.
CZY MIŁOŚĆ DO DZIECIŁA ZDOŁA JE PORĄCZYĆ?

Polarytiki i S-ko

Berg Elizabeth

Zdarzyła się miłość

Podnosząca na duchu opowieść o parze dojrzałych, świadomych siebie ludzi, zagubionej nastolatce i wielkim pragnieniu miłości.

Nawet w dniu ślubu John i Irene przeczuwali, że może się on okazać błędem. Osiemnaście lat później są już po rozwodzie, mieszkają daleko od siebie i układają sobie życie z nowymi partnerami. Z pozoru nic ich nie łączy, za wyjątkiem córki, najważniejszej osoby w ich życiu. Jednak Sadie, przytłoczona miłością Irene i rozczarowana brakiem ojcowskiego zaangażowania ze strony Johna, coraz bardziej oddala się od rodziców. Gdy pewnego dnia wybiera się na wycieczkę w góry i znika bez śladu, Irene w panice zwraca się o pomoc do Johna. Wspólnie spędzony czas przywołuje wspomnienia. Ale czy rodzinna tragedia wystarczy, żeby do siebie wrócić? I czy każdy związek zasługuje na drugą szansę?



Małżeństwo jest zabawne. Nawet jak się skończy.
A może zwłaszcza wtedy.

Robin Black, *If I Loved You, I Would Tell You This*

Są dwa dylematy, nad którymi ludzie łamią sobie głowę:
Jak zatrzymać kogoś, kto nie chce zostać? I jak pozbyć się
kogoś, kto nie chce odejść?

Robin Black, *The War of the Roses*

Są w tej ziemi skały ukryte na tyle głęboko, że choćby nie
wiedzieć jakie było pęknięcie, nigdy nie ujrzą powierzchni.
Jest, jak sędzę, lęk przed miłością. Jest lęk przed miłością.

Colum McCann, *Let the Great World Spin*

Prolog

Będąc małym chłopcem, John Marsh wielokrotnie przyglądał się matce, kiedy przygotowywała się do wieczornego wyjścia. Stał obok toaletki i patrzył, jak wydając odgłos podobny do „mba”, klepała się po wargach, by usunąć nadmiar szminki, a potem widział, jak z półprofilu zerkała na siebie w lustrze, jakby sama ze sobą flirtując. Obserwował, jak od różu jej policzki rozkwitają nienaturalnym kolorem i jak mały grzebyczek, którego używała do nakładania tuszu, powodował, że jej jasne rzęsy robiły się czarne i nastroszone. Ostatnią czynnością było zawsze rozpuszczenie nawiniętych na wałki włosów i wyszczotkowanie ich w całą masę precyzyjnie ułożonych fal, które następnie perfumowała korzennym zapachem przypominającym mu i goździki, i pomarańcze. Na koniec zadawała mu pytanie: „No i jak wyglądam?”, a on nigdy nie wiedział, co powiedzieć. Miał takie uczucie, jakby już jej nie było. Bo chociaż stał obok, obserwując każdy jej ruch, kiedy dokonywała swojej transformacji, nigdy nie był pewien, czy ta umalowana kobieta, którą

ma przed sobą, wciąż jest jego matką, a owa niepewność budziła w nim mieszaninę lęku i dezorientacji. Niemniej jednak zawsze się uśmiechał i mówił cicho: „Ładnie”.

Zanim skończył sześć lat, odeszła i zamieszkała w innym stanie z mężczyzną, który nie lubił dzieci. John widywał ją nieczęsto, a kiedy przyjeżdżała, zatrzymywała się w pobliskim hotelu Howard Johnson i stawiała mu tam obiad. On jadł, a ona siedziała, paląc papierosa i ukradkiem spoglądając na zegarek.

Wiele lat później, w wigilię swojego ślubu, trzydziestosześcioletni John opowiadał w barze swojemu najlepszemu przyjacielowi, Stuartowi White'owi (sam Stuart był szczęśliwie żonaty od dwunastu lat), jak to nagle zaczęły go dręczyć wątpliwości. Siedział zasepiony na stołku, pogadywał od czasu do czasu z obecnymi w barze kobietami, wśród których wiele było pięknych, i rozumiał, że to nie to; ale też nie chciał nikogo innego. Kiedy siedząca obok blondynka poczęstowała go papierosem, John go wziął.

- Co ty robisz? - zapytał Stuart. - Przecież nie palisz. A Irene nienawidzi dymu z papierosów.

- Tak, wiem - odpowiedział John. - Chyba ma jakąś alergię czy coś. - Przyłożył zapałkę do papierosa.

- Hej - zauważył Stuart. - Ręce ci się trzęsą?

- Wcale mi się nie trzęsą!

- A właśnie że tak, człowieku. Popatrz na nie. John spojrział na swoje ręce, jego przyjaciel miał rację: dało się zauważyć delikatne drżenie.

Zdusił papierosa, gwałtownie ukrył twarz w dłoniach i jęknął.

- No dobrze już, dobrze, chłopie - mruknął Stuart - musisz się tylko uspokoić. Spróbuj może tak. Pomyśl o tym, jak prosiłeś Irenę, żeby za ciebie wyszła. Dlaczego ją poprosiłeś?

John spojrział na niego.

- Nie była umalowana.

Będąc małą dziewczynką, Irenę Marsh urządziła sobie miejsce do zabawy w piwnicy, gdzie układała rządkiem swoje liczne lalki-dzidzusię. Kolejno karmiła je, klepała po pleckach, żeby im się odbiło, i kołysała do snu. Zajmowanie się dzidzusięmi dawało jej nieczęste poczucie spokoju. Oddalało od tego, co działo się między jej rodzicami, od wrzasków i nienawistnego milczenia, które było gorsze od wrzasków. Śpiewała kołysanki do plastikowych uszek i kołysała małe nieruchome ciała; co wieczór modliła się na kolanach, żeby stała się już wystarczająco dorosła, by mogła zamieszkać z kimś innym, i żeby się kochali.

I dlatego było to nieco zaskakujące, że w dzień swojego ślubu siedziała zapłakana w pokoju panny młodej. Wystrój pokoju był bogaty: wielopoziomowy żyrandol, tłoczona kremowa tapeta, dwa eleganckie klubowe fotele kryte pomarańczowym jedwabiem, na stoliku pomiędzy nimi bukiet białych frezji i kryształowa miseczka pełna kolorowych migdałów w cukrze - Irenę wiedziała, że to na szczęście. W przylegającej do pokoju łazience stał wazon kremowo-białych storczyków, leżały nieskazitelne płóciennę ręczniczki do rąk, a obok złoty koszycek

„przydasiów”, ozdobiony kawałkiem szerokiej atłasowej wstążki. Kiedy Irene pokazała łazienkę swojej najlepszej przyjaciółce i jedynej druhinie, Valerie Cox (sama Valerie była szczęśliwą mężatką od dziewięciu lat) ta powiedziała: „Och, wszystko jest takie ładne!”. A Irene stała i wyobrażała sobie, że sama jest jak pyłek na ziemi, a Valerie to samolot wznoszący się w powietrze. Widok tych wszystkich ozdób budził w Irene *tylko* uczucie oburzenia, przez ich nadmiar.

Piętnaście minut przed rozpoczęciem uroczystości Irene usiadła na ławie przed białą toaletką, odwrócona plecami do lustra. Przed chwilą włożyła suknię ślubną-wymyśliła sobie, że kreacja powinna być skromna i właściwie mogłaby nawet służyć na co dzień, gdyby nie to że była długa do ziemi i uszyta ze sztucznego jedwabiu w kolorze kości słoniowej. Długie do ramion włosy Irene miała rozpuszczone, nie podpięła ich jeszcze do góry, jak zamierzała; atłasowe pantofelki na wysokich obcasach poniewierały się obok na podłodze, welon leżał na kolanach. Ślubny bukiet tkwił nierozpakowany w swoim pudełku w kącie pokoju.

- Ale ja myślałam, że jesteś pewna - powiedziała Valerie. Stała przed Irene, trzymając drżące dłonie przyjaciółki w swoich dłoniach. - Mówiłaś, że jesteś absolutnie pewna!

- Wiem, ale chcę do domu. Zabierzesz mnie?

- No... - Valerie nie wiedziała, co ma robić. Odezwała się niemal szeptem: - Irene, skończyłaś trzydzieści sześć lat. Jeżeli chcesz mieć dzieci...

- Wiem, ile mam lat! Ale nie powinno się wychodzić

za mąż tylko po to, żeby mieć dzieci. Nie mogę wyjść za mąż tylko po to, żeby mieć dzieci! - Z trudem zaczerpnęła powietrza, chwyciła chusteczkę z toaletki i wydmuchała nos.

- Sama nie wiem. - Valerie mówiła powoli i ostrożnie. - To nie jest taki zły pomysł wyjść za mąż, żeby mieć dzieci. A poza tym Johna, prawda?

Irene wpatrywała się w dłonie i przyciskała jeden paznokieć drugim.

- Irene?

Panna młoda podniosła wzrok.

- Nie mogę tego zrobić. Proszę, Vee. To niewłaściwe. Idź po samochód i podjedź tu, dobrze? Musimy się pośpieszyć. Jeżeli nie chcesz, zrozumieć. Pójdę do autobusu. Jest jakiś, który tędy jedzie.

Valerie uchyliła drzwi, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w korytarzu: nie było nikogo. Potem uklękła na podłodze przed przyjaciółką i spojrzała jej prosto w oczy.

- Posłuchaj mnie. Jeżeli to zrobisz, nie będzie już odwrotu. Rozumiesz to? To nie będzie mała sprzeczką, po której przeprosisz i wyjdiesz za mąż w przyszłym tygodniu. Jeżeli to zrobisz, to koniec z tobą i Johnem. Rozumiesz to?

Irene kiwnęła głową.

- Rozumiem. Ze tak powiem. - Próbowała się uśmiechnąć.

Valerie wstała, splotła ręce na piersiach i westchnęła.

- A co z tymi wszystkimi ludźmi tam na zewnątrz? Musi ich być ze dwie setki! Chcesz, żebym wygłosiła komunikat czy jak?

- Och. Tak. Tak. - Irene wstała i starannie ułożyła welon na jednym z foteli. - Przepróż gości w moim imieniu, dobrze? Powiedz, że mi przykro. Bo jest mi przykro I nie zapomnij powiedzieć, że odeślę wszystkie prezenty, z miejsca. Jutro. Wiem, że to trudne. Wynagrodzę ci to' obiecuję.

Ale w tym momencie ojciec Irene wsunął głowę w drzwi i powiedział szorstko: „Chodźmy”, a ona włożyła welon, wsunęła stopy w pantofle i wzięła go pod rękę

- Irene? - odezwała się Valerie, a przyjaciółka powiedziała: - Nie.

Kiedy osiemnastoletnia Sadie Marsh przyjeżdża z Kalifornii z wizytą do ojca w Minnesocie, sypia w pokoju urządzonym dla niej, gdy była dużo młodsza: jest tam łóżko z falbaniastymi firankami, biała toaletka, a na niej wymalowane wróżki, tapeta w różowe i białe paski, lampka nocna z podstawką w kształcie studni życzeń. Ani John, ani jego córka nigdy nie wykonali żadnego kroku, by zmienić cokolwiek w tym pokoju; Sadie wciąż sypia pod tłumem przytulaneek, tych, które tam zostawiła.

Jest ciepła niedziela pod koniec sierpnia, John siedzi na frontowej werandzie, karmiąc fistaszkami wiewiórkę, która odważyła się wspiąć na schodki i do niego podejść. Czeka, aż córka pojawi się w drzwiach i oznajmi, że to naprawdę już; pozbierała swoje rzeczy, może jechać na lotnisko. Spędziła tu tyle czasu, co zwykle - tydzień. Jeszcze nawet nie wyjechała, a on już czuje, jak wokół piersi zaczyna mu się zaciskać ciasna obręcz. Kiedy wysadzi Sadie na lotnisku, żadne z nich ani słowem nie wyrazi żalu, że ona odjeżdża: to cicha umowa,

żeby za każdym razem żegnać się od niechcienia, nie pogarszać tej złej sytuacji czymś, co oboje opisaliby jako wydziwianie i zawracanie głowy - którego to wyrażenia lubiła używać urodzona w Atlancie matka Johna i którego, co więcej, używała za każdym razem, kiedy oni się rozstawali. „Tylko żadnego wydziwiania i zawracania głowy”, mówiła, ujmując Johna dłonią okrytą białą rękawiczką, pod podbródek, a jej oczy marszczyły się w kącikach jak zawsze, gdy się uśmiechała. „Zobaczę się z tobą naprawdę niedługo, tylko spokojnie czekaj; prawie nie zauważysz, że mnie nie było”. I John czekał. I czekał.

Sadie podobna jest do Irenej: rudawe włosy, orzechowe, wpadające w zieleń oczy, jasna cera czerwieniejąca na samo napomknienie o słońcu. Dziewczyna jest wysoka, ma delikatną budowę, a nadgarstki tak wąziutkie, że prawie nigdy nie może znaleźć zegarka, który by na nią pasował. Ale z charakteru bardziej przypomina ojca; lubi przebywać na świeżym powietrzu, jest wysportowana, poezja bardziej ją irytuje, niż zachwyca; zrównoważona młoda kobieta, która rzadko traktuje coś osobiście. Śmieje się głośno i zaraźliwie; kiedy była jeszcze malutka, Irenej mówiła: „Nie można usłyszeć, jak się śmieje, i od razu się do niej nie przyłączyć, nawet jak się człowiek na nią złości. Zwłaszcza jak się człowiek na nią złości”.

John słyszy, jak Sadie idzie po schodach i rzuca reszkę fistaszków w kąt werandy. Wiewiórka staje tam słupka na tylnych łapkach, z drgającym ogonem, a potem woli raczej uciec z werandy, niż zająć się ucztą.

- Hej! - mówi John. Przechodzi na najwyższy stopień

i przygląda się, jak wiewiórka podbiega do wiązu w alei i szybko się na niego wspina. Z najwyższej gałęzi wpatruje się w człowieka. - Weź sobie orzeszki - mówi John, pokazując palcem, ale wiewiórka tylko się gapi.

- Wszystko gotowe, tato - odzywa się Sadie.

W jednej ręce trzyma wypchany plecak, w drugiej walizkę, a John po głosie poznaje, że jej również trudno zachować entuzjazm. Dajmy sobie spokój z głęboką i wierną miłością; oni naprawdę lubią się z córką. Tylko tydzień cztery razy do roku to naprawdę za mało dla każdego z nich, ale na razie jest to najlepsze rozwiązanie. W zimie i w lecie Sadie przyjeżdża do St. Paul; na wiosnę i jesienią John wyrusza do San Francisco. Zatrzymuje się w hotelu, a potem składa wizytę i Irene, i Sadie, ale taka wizyta nigdy nie jest do końca udana - jeżeli spotyka się z samą Sadie, córka ma chyba wyrzuty sumienia z powodu matki; jeżeli znajdą się wszyscy razem, sytuacja jest nie do zniesienia. Prawda jest taka, że teraz John nie za bardzo lubi Irene i nie wydaje mu się również, żeby ona żywiła do niego sympatię. Rozeszli się już pod wieloma względami, w sprawach dużych i małych. Irene uważa się teraz za konserwatywną liberałkę, co Johnowi się nie mieści w głowie. Nadmiernie przejmuje się też porządkami i czystością w mieszkaniu - nie da się tam zrelaksować. Woli koty od psów, a to niemal gorsze niż być konserwatystką. Zaczęła się malować i ostatnio ufarbowała sobie włosy, by ukryć siwiznę - Sadie mówi, że to pod wpływem jej ostatniego przyjaciela nazwiskiem Don Strauss, który uważa, że starzejący się ludzie powinni „walczyć w dobrej sprawie”.

- Och, daj spokój - powiedział John, kiedy Sadie mu to powtórzyła.

A wtedy wzruszyła ramionami i dodała: „Nie jest taki zły. Robi naprawdę dobrą jarzynową lasanię. Dodaje do niej koziego sera”.

- No, to przynajmniej coś - odrzekł John, ale w głębi duszy pomyślał sobie: Założę się, że to następny wegetarianin. Następny wegetarianin-unitarianin, który w każdą sobotę popołudniu paraduje z nawołującą do pokoju tablicą na rogach ulic i marzy, by zamieszkać w mongolskiej jurcie. Czekał, by Sadie opowiedziała coś więcej o Donie, ale nie zrobiła tego, a on nie pytał. Jeszcze jedna cicha umowa. On nie pyta o mężczyzn w życiu jej matki; Irene nie pyta o kobiety w jego życiu. Nie żeby za bardzo miała o co pytać. Ostatni raz był w na wpół poważnym związku pięć lat temu, a związek się rozleciał, bo John nie zgodził się wyrzucić swojego czarnego labradora-mieszkańca, z akcentem na mieszkańca, z sypialni, kiedy wybranka zostawała na noc. Kobieta skarżyła się, że pies chrapie i puszcza bąki; John dopuścił możliwość, że ona też, i na tym się skończyło. Festus umarł w zeszłym roku i John stwierdził, że niemal dojrzał do tego, by wziąć następnego psa. Wilczarza irlandzkiego, jak sądzi, głównie dlatego że Sadie powiedziała, że zna grupę ratowników, którzy właśnie takiego przygarnęli.

- Są okropnie wielkie - zauważył John, a córka odparła: - No właśnie.

Po drodze na lotnisko John zerknął na Sadie i zobaczył, że gmera przy swoim iPodzie.

- Żebyś mi się nie ośmieliła wetknąć sobie słuchawek do uszu i zniknąć - mówi. - Proszę.

- Nie zamierzam. Przygotowuję go tylko na lot.

- Nie rozumiem, dlaczego wy, młodzi ludzie, nie potraficie chociaż na dziesięć sekund oderwać się od elektroniki.

- Młodzi ludzie! No cóż, o to właśnie chodzi; oficjalnie jest już stary.

- Tato, nie używałam prawie niczego w twoim domu przez cały czas, kiedy tam byłam. Tekstowałam raptem chyba ze dwa razy.

John jej nie wierzy. Widział światło pod drzwiami Sadie, kiedy przechodził obok nich poprzedniego wieczoru, i słyszał stukanie w klawisze. Ale nie kwestionuje jej słów; była przynajmniej na tyle uprzejma, że nie tekstowała bez przerwy w jego obecności. Nie cierpiał samej pozycji przybieranej przez ludzi będących online; tego jak się garbili nad przeróżnymi urządzeniami, blokując wszelką możliwość nawiązania kontaktu z prawdziwym żywym człowiekiem, który - bądźmy szczerzy - nigdy nie wymyśli wystarczającej liczby appsów, by ich zadowolić. Wirtual jest o tyle bardziej podniecający od realu. Ale tylko wtedy, kiedy ktoś nie umie patrzeć i słuchać, tak uważa John. Namówił Sadie, by usiadła z nim pewnego wieczoru na werandzie, po prostu po to, by posłuchać świerszczy, a później popatrzeć na świetliki. Ucieszył się, słysząc, jak po jakichś piętnastu minutach córka mówi: - Łał, to fajne.

Sadie chowa iPoda do plecaka i zaciąga zamek.

- Zamierzam ci coś takiego kupić - oznajmia. - Wrzucę ci na niego dobrą muzykę. Będziesz mógł się przekonać, czego słucham.

- Wiesz, kochanie...

- Nie, mnóstwo z tych piosenek by ci się spodobało!
Naprawdę!

- W porządku, ale żadnego rapu.

- Trochę rapu. Zobaczysz.

John staje na czerwonym świetle i patrzy na nią.

- Jesteś niesamowicie ładną dziewczyną, wiesz? Sadie przewraca oczami.

- Złamiesz serce jakiemuś absolwentowi ekonomii.

- Ekonomii?!

- Weterynarii?

- To już lepiej.

John czuje, jak ogarnia go wielki smutek, ale zmusza się, by lekkim tonem powiedzieć:

- No tak! To jakie masz plany na resztę lata?

- Wyzwanie. Chcemy w przyszły weekend powspinać się naszą paczką po skałkach. Jeżeli mama mnie puści. Na razie mówi, że mowy nie ma.

- Gdzie chcecie się wspinać?

- Tylko na Mount Tam i tylko na najniższą płytę. Niektórzy, łącznie ze mną, chcieli się wybrać na Mammoth Mountain, ale to sześć godzin jazdy.

- Od kiedy to cokolwiek wiesz o wspinaczce skałkowej?
Córka wzrusza ramionami.

- Dużo się wspinałam na lekcjach gimnastyki. Mama nie chce, żebym się tym zajęła na serio. Chcesz usłyszeć jej celne słowa mądrości? „Sadie, jeżeli wybierzesz się na wspinaczkę skałkową i spadniesz, to wylądujesz na skale”.

Sadie spogląda na ojca, a on musi się uśmiechnąć. Cała Irene.

- Ale ja chcę się tego nauczyć - mówi Sadie. - I będę

z ludźmi, którzy dużo o tym wiedzą. Mam przyjaciela, który wspinał się ze swoją rodziną od kiedy miał sześć lat. Mówi, że to coś wspaniałego. Mówi też, że jedynym sposobem, żeby poznać siebie samego, to rzucić sobie wyzwanie - trudne, takie żeby naprawdę się bać. Mówi, że to, jak się wtedy zachowasz, pokazuje, kim jesteś. John kiwa głową.

- Zapewne jest w tym trochę prawdy.

- Tak sądzisz? -No.

- A robiłeś to kiedyś? Czy podjąłeś kiedyś wyzwanie, które naprawdę, ale to naprawdę cię przerażało?

Małżeństwo z twoją matką. Nie najlepiej nam to wyszło.

- Tak naprawdę to nie - przyznaje John.

- Może powinieneś spróbować wspinaczki skałkowej.

- Nie, to nie dla mnie, nie sądzę. Więc będziesz potrzebowała lin i czekanów, i masek tlenowych, i różnych takich?

- Tato!

- No cóż, co ja tam wiem.

- To nie alpinizm; to wspinaczka skałkowa. Wszystko, czego mi trzeba, to dobre obuwie wspinaczkowe. Mój przyjaciel dał mi buty swojej siostry; są niemal całkiem nowe i wspaniale na mnie pasują.

- Kupię ci takie buty, żebyś miała własne.

- Zobaczmy najpierw, jak mi się to spodoba - proponuje Sadie, a Johna zalewa poczucie dumy, że jego córka jest taka praktyczna i niesamolubna, że nie wykorzystuje każdej złożonej przez niego propozycji, że coś jej kupi.

Bez wątpienia rozumie to, że poczucie winy bardzo ułatwia dostęp do portfela rozwiedzionego ojca, nawet wiele

lat po rozwodzie, ale postanawia nie wykorzystywać tego do własnych celów. Należała do dzieci, które nigdy by nie przesyłały do własnej torby wszystkich cukierków z miski zostawionej bez dozoru na czyimś progu na Halloween ani nawet nie poczęstowałyby się więcej niż jednym cukierkiem. Martwił się niekiedy, że jest za dobra, i w dziwaczny sposób czuł się podniesiony na duchu, kiedy rozrabiała.

- Mógłbyś coś dla mnie zrobić - prosi córka - to jest porozmawiać z mamą i przekonać ją, żeby mi pozwoliła spróbować.

- W porządku. Powiem jej, że nie mam nic przeciwko temu. Powiem jej, że to ważne, żebyś podejmowała wyzwania i fizyczne, i umysłowe. Sądzę, że uda mi się ją przekonać.

- Dzięki. A jakie będzie twoje następne wyzwanie?

- Jest taki stary budynek na Wabasha, który próbuję kupić. Właśnie zaczynam negocjacje. Mój Boże, sufity w tym domu są...

- Chodzi mi o osobiste wyzwanie.

- Renowacja starych domów jest dla mnie czymś osobistym. Od kiedy byłem w twoim wieku. A nawet wcześniej.

- Wiem. Wiem wszystko o twoich miasteczkach matchboksów, kiedy byłeś małym chłopcem, i wiem, jak próbowałeś ocalić pierwszy stary budynek, mając szesnaście lat, i jak dostałeś pierwszą nagrodę na konkursie naukowym za swoje miasto przyszłości...

- To było niesamowite miasto.

- Jestem pewna, że było. Ale chodziło mi raczej o coś w rodzaju, kiedy zaczniesz się znowu z kimś umawiać? Ten rodzaj wyzwania.

- Mam pięćdziesiąt sześć lat, Sadie. -No i?
- Myślę, że już z tym skończyłem.
- Wcale że nie!
- Naprawdę nie jestem za bardzo zainteresowany randkami.

- No ale powinieneś być. Nie jest dobrze być samemu. Jeżeli mam być szczerą, trochę się o ciebie martwię, tato. Bardzo często nawet włosów sobie nie czeszesz.

- Mam taki sterczący kosmyk.

- Tak, ale bardzo często jego też nie przyczesujesz. I nie odżywasz się dobrze. Nie wydaje mi się, żebyś nie był zainteresowany randkami; wydaje mi się, że nie wiesz, jak się do tego zabrać, żeby poznać jakąś singielkę. Dlaczego nie zamieścisz ogłoszenia w gazecie? Mama tak robi, a przecież jest w twoim wieku. Po prostu napisz ogłoszenie albo wejdź online i zobacz, co...

- Absolutnie wykluczone. Nie zamierzam umawiać się z kimś, kogo poznam online. - Nigdy się nie przyzna, że pewnego wieczoru rozejrzał się po stronie Match.com. Siedział przed komputerem w szortach i T-shircie, pił piwo i szukał kogoś, kogo tam nie było. Nawet w przybliżeniu. Coś mu przyszło na myśl. - Czy ty spotykasz się z ludźmi online? Czy wybierasz się w góry na wspinaczkę z kimś, kogo poznałaś online?

- Nie, tato. I chodzi o wspinaczkę skałkową. A ja wybieram się z całą grupą ludzi ze szkoły... jeżeli w ogóle się wybiorę. Mówię tylko, że powinieneś częściej wychodzić z domu. W życiu liczy się coś więcej niż tylko praca.

- Tak mi mówiono. Wielokrotnie.

- No bo tak jest.

John wrzuca kierunkowskaz, żeby skrócić na lotnisko.

- Powiem ci, co zrobimy. Jeżeli ty wdrapiesz się na jakąś skałę, to ja poproszę jakąś kobietę, żeby się ze mną umówiła.

- No dobra, ale jak ją poznasz?

- Mam swoje sposoby.

- Wymień je.

- Zobaczysz.

- Masz tylko tydzień - mówi Sadie. - Za tydzień odbędzie się ta wspinaczka.

- Umowa stoi. - John podjeżdża do krawężnika, żeby ją wypuścić, i na chwilę parkuje. Przykłada dłoń z boku do twarzy córki i wzdycha. Całuje ją w czoło. - W porządku. Wsiadaj z mojego samochodu.

- A już myślałam, że nigdy tego nie powiesz. - Sadie pochyła się ku niemu, by go objąć. - Nie dzwoń do mnie bez przerwy - mówi mu do ucha, a on odpowiada:

- Nie dzwoń ty do mnie bez przerwy.

I już jej nie ma. Ale odwraca się, zanim przejdzie przez szklane drzwi. Odwraca się i posyła mu pocałunek, a John macha do niej w odpowiedzi.

Potem włącza się do ruchu i raz, drugi mruga. Odchrząkuje. Potem włącza radio i podkręca głośność.

Zastanawia się, czy powinien przejść z Amy Becker na następny etap. Bo Sadie nie wie, że już kogoś poznał; stało się to miesiąc temu. W sposób, o którym wolałby nie mówić swojej córce. Ani nikomu innemu.

2.

Pewnego chłodnego listopadowego wieczoru, kiedy Irenę miała czternaście lat, siedziała w swoim pokoju i odrabiała lekcje, a matka w kuchni przygotowywała zupę hamburgerową. Zupa pachniała wspaniale i Irenę nie mogła się doczekać, kiedy ojciec wróci do domu, żeby mogli zjeść obiad. Potem jednak zapach się zmienił; coś się przypalało.

- Mamo? - zawołała Irenę ze swojego pokoju. Żadnej odpowiedzi, a swąd był coraz silniejszy. Irenę wyszła do przedpokoju. - Mamo?

Weszła do kuchni i wyłączyła palnik, a potem otworzyła tylne drzwi, żeby wypuścić zadymione powietrze. Zobaczyła, że w garażu pali się światło; przypuszczała, że matka zajęła się sprzątnięciem czegoś; zawsze skarżyła się, że w garażu jest taki bałagan.

- Hej, mamo! - zawołała Irenę od drzwi.

Była w samych skarpetkach, a nie chciało jej się wkładać butów i płaszcza. Ale kiedy matka nie odpowiedziała, włożyła jednak buty. Nie zawracała sobie głowy

płaszczem - miała wyjść tylko na minutę. Pchnęła drzwi do garażu i wpadła na coś: matka zwisała z krokwi z linką do bielizny na szyi. Miała na sobie swój fartuch w kwiatki. Jeden but pozostał na nodze, drugi spadł. Irene cofnęła się, pobiegła do domu i zadzwoniła do ojca do pracy.

- Nie wolno ci nigdy nikomu o tym pisać - powiedział później. - I nie będziemy więcej o tym rozmawiali.

- Atak serca, tak wszystkim mówili.

Jednak potem, na studiach, Irene komuś się zwierzyła: swojej współmieszkance z akademika Valerie. Były w swoim pokoju, uczyły się i Valerie opowiadała Irene o czymś, o czym usłyszała tego dnia na wykładzie z psychologii, a co dotyczyło rodziców znęcających się nad dziećmi. Powiedziała, że nie potrafi pojąć, jak dzieci mogą kochać matki, które tak je traktują. A Irene nagle zaczęła płakać, a potem opowiedziała Val, jak kiedyś znalazła swoją matkę w garażu. Kiedy skończyła, ogarnęła ją panika, i żałowała, że zawiodła zaufanie ojca, a może również i matki. Poprosiła Valerie, by ta obiecała jej, że nigdy o tym nikomu nie powie, przenigdy.

- Nie powiem - przyrzekła Valerie. - Ale...

- To wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia

- przerwała jej Irene. - Po prostu chciałam ci to opowiedzieć. Ale nie chcę o tym rozmawiać.

- Ale czy ty nie...

- Proszę cię - przerwała jej znowu Irene. I Valerie odrzekła:

- Okay.

Po chwili Irene odezwała się:

- Mówię serio, żebyś nikomu nigdy nie powiedziała.

- Nie powiem.
- Nawet jakbyśmy przestały się przyjaźnić. Nawet jakbyś uznała, że powinnaś komuś powiedzieć.
- Okay.
- Przyrzeknij.
- Już przyrzekłam.
- Przyrzeknij mi jeszcze raz.
- Nie powiem, Irene. Nigdy nikomu nie powiem.
- Nie powinnam była ci mówić.

Valerie wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Irene.

- Czy to...? Czy myślisz, że to była twoja wina, Irene? Chyba nie uważasz, że to była twoja wina, prawda?

- Nie wiem. Może przez jakiś czas tak myślałam. Przypominało mi się takie lato, kiedy miałam sześć lat i ciągle gdzieś uciekałam. Czasami szłam na takie wielkie pole za naszym domem. Po prostu siedziałam tam w wysokiej trawie, która sięgała ponad moją głowę. Był tam taki spokój. Ale najczęściej biegłam do domu Mentzesów. Było to starsze bezdzietne małżeństwo, mieszkali trochę dalej na tej samej ulicy i zawsze byli dla mnie tacy mili. Uciekałam do ich domu co dwa tygodnie albo coś koło tego - wiesz, pakowałam walizkę i stawałam na ich progu. Zawsze dawali mi ciasteczka i mleko, a potem odprowadzali mnie do domu; ale wydawało mi się, że w sekrecie chcieli mnie zatrzymać, byli tacy mili dla mnie. Więc ciągle na nowo dawałam im szansę, żeby mogli to zrobić, aż w końcu się poddałam. Wiem, że to, co zrobiła moja matka, nie było moją winą. Po pierwsze, wydarzyło się to całe lata po tych wszystkich moich ucieczkach. Nie powinnam była ci o tym mówić.

- Powinnaś była - stwierdziła Valerie. A potem dodała: - Irene? Czy mogę cię zapytać o jeszcze jedną rzecz?

-Tak?

- Co powiedział twój ojciec, kiedy się dowiedział?

- Wściekł się. I zaczął przeklinać. Val gapiała się na nią w milczeniu.

- Nie mnie przeklinać.

Val miała oczy szeroko otwarte i lekko zarumienioną twarz, Irene pomyślała, że przyjaciółka musiała chcieć zadać jeszcze z milion pytań, powiedzieć jeszcze milion rzeczy. Bała się, że Val może się od niej odsunąć, bo teraz będzie myślała, że Irene to jakieś dziwadło. Ale tak się nie stało. Przyjaciółka pochyliła się nad książkami, a po chwili zapytała, czy Irene chce razem z nią zjeść pizzę.

Zamówiły dużą, z kielbasą i grzybami, i zjadły ją całą. A potem o północy dowiedziały się, że na dziedzińcu toczy się wielka bitwa na śnieżki, chłopaki przeciw dziewczynom. Narzuciły płaszcze na piżamy, wsunęły bose stopy w kozaczki i wyszły bronić swojej płci. Wróciły po dwóch godzinach, mając za kołnierzami pełno śniegu, śnieg topił się też w butach i oblepiał włosy, a chociaż powszechnie uważano, że nie można się przeziębnić tylko dlatego, że się zmarzło, obydwie bardzo się przeziębily i, jak to bywa z młodymi, raczej sprawiło im to przyjemność.

Irene siedzi teraz w sypialni, przypominając sobie ten wieczór, szczegóły są wciąż takie wyraźne. Myśli o tym, że w miesiąc po poznaniu Johna jemu również opowiedziała o swojej matce; był poza Val jedyną osobą, której o tym kiedykolwiek powiedziała. Wyciągnęła od Johna

przyrzeczenie, że nikomu tego nie powtórzy. „Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił”, zapewnił. I nie powiedział nic więcej, tylko wyciągnął ramiona, a ona wsunęła się w jego objęcia. I przez długą chwilę nie słyszała nic, poza szmerem ich wspólnego oddechu i głuchym biciem serc.

Irenę bierze się w garść i odwraca do komputera. Teraz jest tak jak wtedy: zapomnij o przeszłości; skoncentruj się na terażniejszości. A oto jak się przedstawia terażniejszość: jest kobietą, która szuka mężczyzny. Znowu.

Wyciąga przed siebie ręce, macha palcami. Jak podejść do tego tym razem?

Uważam, że jest dobrze, jak się niszczy książki, pisze. Myślę, że nasza prywatna biblioteka powinna być pełna książek z przełamanymi grzbietami i podkreślonymi ważnymi fragmentami, ze stronami poznaczonymi plamami z czekolady, kawy albo tłuszczu. Jeżeli na marginesach znajdują się komentarze czy pytania, tym lepiej. Pod innymi względami jestem bardzo schludna i mam przekonanie, że chaos zewnętrzny prowadzi do chaosu wewnętrznego. Przedyskutować. (Cha, cha). Uważam, że dobrze jest chodzić popołudniami do kawiarni i cieszyć się ciastem na porcelanowym talerzyku, nawet jeżeli ono psuje człowiekowi apetyt na kolację. Coś takiego pewnie zakrawa trochę na pozerstwo, bo zaczęłam to robić dopiero wtedy, gdy pojechałam do Paryża i zobaczyłam, że oni wszyscy to robią. „Oni” to oczywiście Francuzi, a kto z nas nie ma zaufania do Francuzów, gdy chodzi o jedzenie i modę?

Uważam, że dobrze robię, przywożąc do domu kamienie z każdego miejsca w którym byłam i które

pokochałam, ponieważ myślę, że istota danego miejsca zawarta jest w kamieniu i że można wyczuć tę istotę - a przez to samo miejsce - jeżeli ściśnie się mocno kamień w dłoni. Naturalnie trzeba mieć cierpliwość, a do tego otwarty umysł i serce, i jak w wielu sprawach związanych z duchem, działa to lepiej, jeżeli zamknie się oczy.

Nie. Usuwa ostatni akapit, a potem pisze dalej.

Myślę, że dobrze jest mieć zamknięte oczy u dentysty i wyobrażać sobie Tahiti, chociaż nigdy tam nie byłam. Ale oglądałam zdjęcia i za każdym razem, jak idę do dentysty, widzę siebie na tych zdjęciach z takim niebieskim morzem i napływającymi falami. (Jako dziecko chodziłam do dentysty, który każdemu pacjentowi wręczał bon na darmowy rożek lodów w Dairy Queen po każdej wizycie. Diabeł czy anioł? Wciąż jeszcze nie potrafię tego powiedzieć). Nigdy już nie będę szczupła i jestem zainteresowana spotkaniem mężczyzny, któremu to nie przeszkadza. Nie żebym była gruba. Ale jestem przeciętna, a przeciętna to nie znaczy szczupła. Przeciętna do sympatycznie pulchna, to pewnie byłoby bardziej precyzyjne określenie, i wciąż mam bardzo dobre nogi, jeżeli to jest dla kogoś ważne, a dla mnie jest. Uważam, że miło trzymać się za ręce w kinie, kiedy przygasną wszystkie światła, a jeżeli znasz i lubisz tę piosenkę, to już zrobiliśmy dobry początek. Właściwie to nie znoszę pisać czegoś takiego i jestem pewna, że daje się to zauważyć, ale rozumiem i akceptuję fakt, że jest to potrzebne.

Czyta ponownie to, co napisała, a potem wstaje od biurka w rogu sypialni i podchodzi do okna. Splata ręce na piersiach i wzdycha, opierając głowę o chłodne szkło. Po drugiej stronie ulicy jakaś stara Azjatka pcha pod górę wózek pełen zakupów spożywczych. Ma szal w jaskrawe wzory, zawiązany pod szyją na supeł, i rozpięty czarny płaszcz, a na nogach domowe pantofle i pończochy zrolowane do kolan. Irenę widzi bagietkę, która wystaje z jednej z toreb, pierzastą nać marchwi i coś, co wygląda jak malutkie bakłażany. Zastanawia się, co ta kobieta chce ugotować na obiad. Żałuje, że nie może zawołać do staruszki i o to zapytać; ma wrażenie, że ta informacja mogłaby ją podnieść na duchu, jakoś ją zakotwiczyć. Życie toczy się dalej. Człowiek robi obiad. Człowiek musi jeść. Nie jesteś sama, żadne z nas nie jest samo, widzisz, przecież wszyscy jadamy obiady? ©©©©©!

Och, dzisiaj był taki piękny dzień, niebo wypłowieło do koloru turkusa, żadnej mgły, tylko kilka chmur, dziwnie nieregularnych, które wyglądały, jakby dziecinne rączki porozrzuciły po niebie kwaśną śmietanę. Żałowała, że już tak niedługo zrobi się ciemno.

Dziś rano zadzwonił Don Strauss, żeby jej powiedzieć, że wraca do swojej byłej żony.

- Tak mi przykro - mówił. - Zamierzałem powiedzieć ci o tym twarzą w twarz, ale potem pomyślałem, że to będzie mniej bolesne, jeżeli po prostu zadzwonię. Bo wiesz, co mielibyśmy robić, kiedy już bym ci powiedział o wszystkim? Znaczący, dla obojga z nas byłoby to takie niezręczne. Chcę, żebyś wiedziała, że nie miałem z nią

żadnego kontaktu, odkąd poznałem ciebie - to spadło jak grom z jasnego nieba. Przed chwilą zadzwoniła, odbyliśmy naprawdę długą, szczerą rozmowę i uświadomiliśmy sobie, że nadal jesteśmy w sobie zakochani. I uważam, że tym razem jest szansa, żeby nam się udało. Ze względu na siebie czuję się szczęśliwy, ale żałuję, że mogłem cię zranić. Wiem, że byłaś w ten związek dużo silniej zaangażowana niż ja.

- Co takiego? - odezwała się Ireneę.

- Przykro mi. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Chodziło mi tylko o to, że...

- Wcale nie byłam bardziej zaangażowana niż ty! Z jakiego to powodu sądzisz, że byłam bardziej zaangażowana niż ty?

- No cóż, mówiłaś mnóstwo rzeczy, które...

- Wiesz co, kiedy przeżuwasz jedzenie, twoje szczęki wydają taki klikający odgłos, a to niemal doprowadza mnie do szału.

- W porządku, Ireneę.

- Mówiąc szczerze, sama nie wiem, jak długo jeszcze byłabym w stanie to tolerować. A czy kiedykolwiek ktoś ci wyjaśnił, jakie zalety ma używanie szczotki klozetowej? Czy w ogóle słyszałeś kiedyś o czymś takim jak szczotka klozetowa?

- Rozumiem, że nie uda nam się o tym porozmawiać. Przykro mi z tego powodu. Jesteś cudowną kobietą, dopóki się nie zdenerwujesz, a chciałbym ci jeszcze powiedzieć, że mój przyjaciel Larry, którego poznałaś w tej galerii sztuki, do której wybraliśmy się w zeszłym tygodniu, bardzo się tobą zachwycił, więc gdybyś...

Irene odłożyła słuchawkę. Zadzwoiła do Valerie, a kiedy zgłosiła się poczta głosowa, powiedziała:

- Zadzwoń do mnie. Albo wpadnij, jeżeli możesz. Drobnny kryzys. Drobnny. - Poszła do lodówki, zajrzała do środka i zamknęła drzwi. Otworzyła je znowu, pozaglądała jeszcze trochę do środka i znowu je zamknęła.

- Cholerny świat! - mruknęła cicho, a potem powtórzyła głośniej: - Cholerny świat! - A potem się popłakała, tylko trochę, bardziej z upokorzenia i frustracji niż z bólu.

Rzuciła się na wyściełaną ławę w kuchni i płacząc, przejrzała katalog Williamsa-Sonomy, a potem wytarła nos i zadzwoniła, żeby zamówić lazuruowo-błękitny owalny kociołek Le Creuset o pojemności trzy i pół litra, przysięgając sobie, że użyje go do ugotowania tej zupy z białej fasoli, której przepis miała od miesiący przyklejony do lodówki. Po złożeniu zamówienia niemal odruchowo zadzwoniła do Dona, żeby powiedzieć mu, że kupiła kociołek - uważał, że powinna go kupić, kiedy pokazała mu go po tym, jak w ubiegłą sobotę przyszedł katalog.

Tak, w tę ostatnią sobotę, kiedy Sadie pojechała zobaczyć się z ojcem, a Irene i Don kochali się po południu. Potem wstali w cudownym złocistym świetle, a Irene przyrządziła omlety z serem feta i szpinakiem i greckie grzanki i podała je z retsiną, a on powiedział, że to było boskie. Zamiast jednak zadzwonić do Dona - którego numeru nigdy nie nauczyła się na pamięć, nawiasem mówiąc - podeszła do komputera, żeby ułożyć kolejne ogłoszenie do lokalnej gazety, która pozwalała zamieszczać za darmo

dowolnej długości ogłoszenie, pod warunkiem że znajdzie się w dziale „powyżej 55”. W ramach litości dla tych, którzy jedną nogą są już w grobie. Napisze więc kolejne cholerne ogłoszenie - to w ten sposób poznała się z Donem. Nie chce korzystać z możliwości randkowych online, które ją przerażają. Pewnego dnia weszła na stronę Match.com, dokonała przeglądu mężczyzn z wybranej grupy wiekowej i poczuła leciutki przeblask nadziei. Taki blondyn, prawnik, miał na sobie ładny niebieski sweter i szare spodnie. Międzynarodowy biznesmen, łysy, ale wciąż bardzo atrakcyjny; promieniował pewnością siebie w stylu Yula Brynnera. Potem dokonała przeglądu kobiet w wieku zbliżonym do własnego, swoich rywalek, i natychmiast się poddała.

- Dlaczego? - zapytała Val, kiedy Irene jej o tym powiedziała. - Jesteś w każdym calu równie dobra, jak one!

- Nie - zaprzeczyła Irene. - Nie jestem. Te kobiety są co do jednej szczęśliwsze niż ja. Zdrowsze. Milsze. I do tego bogatsze.

- Irene, gdybyś zamieściła swoje zdjęcie, ludzie mówiliby to samo o tobie. Wyglądasz pięknie, kiedy się uśmiechasz. Wyglądasz na szczęśliwą i zdrową też. Na stronach internetowych z założenia starasz się pokazać w jak najlepszym świetle. Wszyscy tak postępują! Potem, po kilku spotkaniach, wychodzą na jaw mankamenty. Tak to działa. Udajesz, że jesteś doskonała, a zanim oni się dowiedzą, że nie jesteś, przy odrobinie szczęścia zaczną cię już trochę lubić. A ty ich.

- Lubię randki w ciemno - powiedziała Irene. - I lubię w pierwszej kolejności pokazywać, jakie są moje mankamenty.

- To cud, że ktokolwiek nawiązuje z tobą kontakt przy tych ogłoszeniach, jakie zamieszczasz.

- Nawiązują go dlatego, że przynoszę ulgę od tych zwykłych „kocham spacerować po plaży”, właśnie dlatego. - Tak powiedział jej Don.

Tak więc zabiera się do pisania następnego ogłoszenia. Znowu na koniu. Zbyt dużo ryb w morzu. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Et szlag by je trafił.

Może za dużo przeklina. Rzeczywiście za dużo przeklina. Ale wszyscy jej przyjaciele tak robią, a wtedy staje się to zaraźliwe. Don mówił „kurczę” i „rany”, i „do licha”, co początkowo wydawało się urocze - a nawet w pionierski sposób retro! - ale z czasem było irytujące i niewykluczone, że bierno-agresywne. Irenę przypomina sobie te jego trywialne wyrażenia, przewraca oczami i kiwa głową, jakby to ona zainicjowała zerwanie, a teraz potwierdzała swoją decyzję.

- Iiisiup - mówi, a potem w popłochu spogląda na zegarek. Samolot Sadie ma wylądować za kilka godzin. Irenę chciała pójść na zakupy i bez pośpiechu powybierać różne produkty, a potem spokojnie ugotować smaczną kolację na powrót córki do domu, ale zamiast tego pójdą do Hunan, co obydwie kochają. Pochłaniając placuszki z szalotkami, wspomni niedbale, że między nią a Donem skończone. Sadie upewni się, czy z matką wszystko w porządku, a potem powie, że się cieszy, Irenę może się założyć, że córka tak powie. Tolerowała Dona, ale Irenę domyśliła się, że Sadie nie uważała go za odpowiedniego partnera dla matki.

Sadie często rozumie różne rzeczy, zanim ona je zrozumie. Kiedy dziecko się urodzi, często wydaje nam się

niezwykle mądre, a zarówno Irene, jak i Valerie uważają, że Sadie nigdy nie zatraciła tej cechy. Sadie ma w oczach coś, co sięga daleko w przeszłość. Valerie nazywa ją „Małą Buddą”. Sadie ze swojej strony nazywa ją „Cyganką” dlatego, że Valerie nosi długie spódnice, wielkie kółka w uszach i dużo bransoletek. Matkę natomiast nazywa „Betty”, tak jak Crocker*. Irene to nie przeszkadza. Pod wieloma względami czuje się mile połączona. Uważa, że ludzie, którzy dbanie o dom i troskę o dzieci uznają za coś wartościowego, są bardzo niedoceniani. Naprawdę bardzo. A do tego jeszcze bardziej bardzo, i potem jeszcze trochę. Kiedy sobie obetrzesz kolano, co może być lepszego, niż gdy opatrzy ci je ktoś, kto odczuwa ten ból razem z tobą? Kiedy ci się przyśni coś złego, co może przynieść większą ulgę niż widok znajomej postaci w drzwiach i ugięcie się materaca pod znajomym ciężarem, lokującym się na skraj posłania? Nakryty w sposób właściwy stół, poskładane ubrania, zaopatrzona lodówka. Kto powie, że nie ceni sobie idei domu, skoro niesie ona ze sobą takie wartości - ludzie nie tylko doceniają ją, ale również w pewnych chwilach przyznają jej to wysokie miejsce, na jakie zasługuje.

Zanim przyszła na świat Sadie, Irene przez wiele lat pracowała jako logopedka. Czasami jej pacjenci z ogromnym wysiłkiem próbowali wypowiedzieć jakieś słowo, a ona nie potrafiła ich zrozumieć, co doprowadzało do rozpacz i jedną, i drugą stronę. Ale zawsze kiedy pytała: „Co przedstawiają te rzeczy?” i pokazywała

* Betty Crocker - logo firmy General Mills, używane do oznaczania produktów żywnościowych, przepisów i książek kucharskich.

im obrazki z przedmiotami takimi, jak zapalona lampa przy fotelu do czytania, szlafrok wiszący na haczyku, skrzynkę na oknie pełną rozszalałych pelargonii, placek stygnący na blacie, wtedy się rozumieli! Mogło być tak, że udawało im się tylko wykrztusić jakieś: „gbon!”, ale w ich oczach pojawiał się tak poważny wyraz, takie światełko, a Irenę mówiła: „Tak. Dom. Dobrze”.

Kiedy Sadie zaczęła chodzić do szkoły, Irenę znowu podjęła pracę na niepełnym etacie. Ale kiedy przeprowadziły się do San Francisco, nie było zajęcia dla logopedki w niepełnym wymiarze godzin. Pracowała więc przez kilka lat, dzieląc z drugą osobą stanowisko recepcjonistki w biurze zatrudnienia do prac dorywczych - nie chciała wziąć pełnego etatu, dopóki Sadie nie skończy szkoły; a ponieważ miała własne oszczędności i alimenty, nie musiała.

Przed kilku laty pewien mężczyzna nazwiskiem Henry Bliss zadzwonił do tego biura, szukając kogoś, kto w najbliższą sobotę pomógłby mu w przygotowywaniu przekąsek na wesele. Irenę kochała gotować i powiedziała, że sama się tego podejmie. Skończyło się na tym, że ściągał ją do pracy trzy, a czasami cztery razy w tygodniu, w charakterze kogoś w rodzaju kulinarnego Piętaszka.

Teraz Irenę zajmuje się wszystkim, od zakupów produktów spożywczych i ogólnych porządków do przygotowywania jedzenia. Henry sam przyznaje, że bywa dosyć trudny, ale uwielbia Sadie; a ona odwzajemnia to uczucie. Czasami angażuje Sadie, żeby ona również pomagała na tych przyjęciach, i płaci jej szczerze

- bardziej za to, że kręci się w pobliżu i go podziwia niż za podawanie tac z przekąskami.

Od czasu do czasu Henry broni stanowiska Irene, kiedy ta pokłóci się z córką, co powstrzymuje Irene od wypominania mu czegoś, co nazwałaby złym traktowaniem. Poza tym uwielbia grillować bakłażany, wykańczać ozdobnie brzegi quiche'ow, układać w precyzyjny rząd trzy pulchne maliny obok artystycznego zawijaska z czekolady na deserowym talerzyku ze złotym brzegiem. Uwielbia też zapach świeżych ziół, które sieka. Ale najbardziej lubi się częstować (kiedy Henry nie patrzy) kawałkami homara albo plasterkami egzotycznych serów, pełnymi łyżeczkami serka cytrynowego lub bitej śmietany, wyrobionego ciasta czy też zimnej zupy z borówek amerykańskich. W jej wieku trudno byłoby znaleźć inną pracę. Irene ma nadzieję, że będzie pracowała u Henry'ego na pełny etat, kiedy Sadie wyjedzie na studia.

Przeciąga się i wraca do komputera. Wpatruje się w pustą stronę, a potem pisze:

Wczoraj, stojąc w kolejce w sklepie spożywczym, usłyszałam, jak jakaś kobieta za mną mówi: „Och, za cholere odżałować nie mogę, że ktoś w ogóle wynalazł komputery!”. Miałam ochotę się odwrócić i ją uściskać, ale nie chciałam przerywać jej rozmowy, którą prowadziła przez iPhone'a, a to, jak mi się zdaje, jest komputer. Myślę, że w tym kryje się sedno dużej części problemów, przed jakimi dziś stajemy. Potrzebujemy tego, czego nienawidzimy. I vice versa. Przedyskutować. (Cha, cha)!

3.

Sadie wślizguje się na wysoki stołek w barze na lotnisku i zamawia krwawą mary.

- Dowód? - prosi barman, a ona się śmieje.

- Muszę zobaczyć pani dowód - mówi mężczyzna, a ona odpowiada: - Czy pan żartuje? Mam dwadzieścia cztery lata. Za tydzień skończę dwadzieścia pięć!

Barman po prostu stoi ze skrzyżowanymi na piersi muskularnymi rękami, a Sadie w końcu schodzi ze stołka i idzie do kafejki French Meadow, gdzie zamawia kanapkę z indykiem i awokado, czekoladowe ciastko z serkiem i mleko. Kończy jeść i kieruje się do swojej bramki. Panuje tam tłok; wolne są tylko dwa fotele, jeden i drugi obok biznesmenów, którzy gadają coś głośno do telefonów, siada więc na podłodze w holu naprzeciw wyjścia. Dzwoni do Rona Savage'a, a kiedy on odbiera, mówi:

- Gotów czy nie, już jadę.

- Cześć - odpowiada Ron, a po jego głosie Sadie poznaje, że Ron się uśmiecha, i czuje, jak gdzieś w dole brzucha zaczyna jej wirować małe tornado.

Działa na nią praktycznie wszystko, co robi Ron: może sobie po prostu stać, a ona czuje obezwładniającą bezradność. Dziwne, że tak długo to trwało, zanim go zauważyła. Znała go jako spokojnego kolegę z ostatniej klasy, kapitana grupy dyskutantów; całkiem niezłego aktora, zdaniem tych, którzy widzieli go w jakichś sztukach, doskonałego gitarzystę, który czasami grywał na imprezach, a także faceta o lekkim piórze, który pisywał do szkolnej gazetki przeważnie na temat odbioru bieżących wydarzeń przez młodego człowieka, chociaż sporadycznie dawał też tekścik humorystyczny, który był naprawdę śmieszny. On trzymał się paczki artystów, ona mięśniaków, jednak któregoś dnia z początkiem maja stała za nim w kolejce po lunch, zaczęli rozmawiać i wtedy pomyślała: Zaraz, zaraz! Wie, że wyrażenie „Gdzie byłeś przez całe moje życie?” należy do najbardziej oklepanych banałów, ale tamtego dnia właśnie to pomyślała. Nie pamięta nawet, o czym rozmawiali, ale coś, co powiedział, albo sposób, w jaki to powiedział, spowodowało, że po raz pierwszy zobaczyła go naprawdę. Jej najlepsza przyjaciółka, Meghan, uważa, że to feromony, że tamtego majowego dnia Sadie po raz pierwszy znalazła się na tyle blisko Rona, by poczuć jego zapach.

- Nie da się walczyć z feromonami - powiedziała Meghan.
- Albo jeżeli było się z kimś w przeszłym życiu, z tym też nie da się walczyć.

Niezależnie od tego, co tak natychmiast przyciągnęło Sadie do Rona, okazało się to działać w obie strony, i od tamtego czasu byli razem. Nie powiedziała jeszcze o nim matce; za bardzo jest jej bliski. Sadie nie chce,

żeby matka popsowała coś tym, co powie albo zrobi - Irenę potrafi być cudowna, ale czasami bywa też naprawdę dziwna. A Ron nie wydawał się spieszyć do tego, żeby poznać jej matkę, czy żeby Sadie poznała jego matkę. Sadie jest zadowolona, że to co ich łączy, należy tylko do nich. Meghan ją kryje, kiedy Sadie umawia się z Ronem, chociaż Sadie wie, że przyjaciółka zaczyna już tym być zmęczona. Ostatnim razem, jak zadzwoniła do Meghan i powiedziała: „Wychodzę z Ronem, okay?”, Meghan westchnęła i zapytała: „Jak długo jeszcze, Sadie?”. A Sadie zapewniła ją: „Niedługo”.

Niedługo powie o nim obojgu rodzicom. Ale jeszcze nie teraz. Może jak już będzie na studiach i Irenę przestanie wtykać nos we wszystkie jej sprawy. Nie może doczekać się tego rodzaju niezależności, która chyba jest niemożliwa do osiągnięcia, jeżeli mieszka się pod tym samym dachem z Irenę. Słyszała, że matki singielki potrafią zrobić coś takiego - przenieść się na całkiem nową płaszczyznę - ale Sadie ma już dość. I właśnie Ron pomógł jej to sobie uświadomić. Nie w żaden okrutny sposób. Tylko w taki rzeczowy. Jakby pokazał palcem na dzieciaka, który za długo jeździ z bocznymi kółeczkami, i zaproponował: „Może spróbujesz jeździć bez tego?”.

Ron pod tak wieloma względami jest całkiem inny od wszystkich chłopaków, jakich kiedykolwiek znała. Jeżeli tak ma wyglądać miłość, to jej nie cierpi i chce jej więcej. Chce być z nim razem, ale on się nie zgadza. On się nie zgadza! I nie jest prawiczkim - powiedział jej kiedyś, że pierwszy raz uprawiał seks z dużo starszą

od siebie kobietą, gdy miał szesnaście lat. Była sąsiadką i przez kilka miesięcy mieszkała z nim drzwi w drzwi, taka dwudziestojednolatka, której mąż był na wojnie i która po tym, jak się zesłi, przestała się do niego odzywać, chociaż to ona wszystko zainicjowała.

Sadie jest dziewczyną, chociaż ma za sobą pewne doświadczenia z seksem oralnym. Kiedy była w trzeciej klasie liceum, wybrała się na imprezę, a tam ktoś rzucił jej wyzwanie; poszła więc do sypialni i zrobiła to z facetem, z którym wtedy chodziła, z Garym Stevensenem. Przekonała się, że to dziwaczne przeżycie: może odrobinę erotyczne, ale głównie dziwaczne. Powiedziała o tym Gary'emu, a on zaproponował, żeby naprawdę się kochali, ale odmówiła. Co więcej, nie rozumiała, co jest takiego wielkiego w jednym albo drugim; uznała, że seks to takie wydziwianie i zawracanie głowy, a nie bardzo jest czym.

Ale teraz jej się wydaje, że rozumie, co w tym wielkiego, i chce naprawdę kochać się z Ronem, chce poczuć go w sobie, bo pragnie takiej bliskości; chce powiedzieć do niego coś, czego nie umie wyrazić słowami. Raz, kiedy rozmawiali przez telefon z rozmysłem doprowadzając się po trosze do szaleństwa, powiedziała:

- Na miłość boską, Ron, jeżeli nie zrobimy tego niedługo, to mnie rozerwie.

Wtedy Ron wydał dźwięk, którego nie całkiem potrafiła zinterpretować, a ona zapytała:

- Nie chcesz tego? -1 chociaż rozmawiali przez telefon, zaczerwieniła się po uszy; natychmiast pożałowała, że zadała to pytanie.

Ale wtedy on powiedział:

- Oczywiście, że chcę. -1 poczuła się lepiej.
- No to może byśmy... - zaczęła cicho i miękko.
- To skomplikowane - przerwał jej Ron. - Mówiłem ci. Daj spokój na trochę, dobrze?
- W porządku - zgodziła się.
- No to przestańmy się nawzajem rozdrażniać i pogadajmy o ofensywie Tet w Wietnamie.

I Sadie, i Ron przerabiali wakacyjne lektury, przygotowując się do wykładu z historii, na który oboje będą chodzili, kiedy jesienią zaczną studiować na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Uczenie się o latach sześćdziesiątych i Lecie Miłości niezbyt skutecznie pomagało okiełznać pragnienie, by zająć się zgłębianiem pewnych innych problemów.

- Jak możesz nawet myśleć, że mógłbym nie chcieć? - zapytał Ron. - Boże! Nie mogę doczekać się, żeby zobaczyć te śliczne piersi i rozpiąć ci dzinsy, i....

- W porządku - przerwała mu ze śmiechem. - Odkładam słuchawkę. - Ale w tym momencie coś jej się skojarzyło, taka mroczna myśl. - Ron? Mogę cię o coś zapytać?

- Tak?

- Czy ty nie masz jakiejś... zaraźliwej choroby?

Ron roześmiał się tak swobodnie i tak głośno, że uwierzyła, kiedy powiedział, że nie. A więc chodziło o coś innego. A Sadie przysięgła sobie, że nie da mu tkwić w tym jakimś błędnym przekonaniu, z którego powodu się powstrzymywał. Chciała, żeby to on był tym pierwszym. Była już pora, powinna dawno mieć to za sobą, a teraz rozumiała, dlaczego do tej pory czekała: chodziło o kogoś takiego jak on.

- Jak tam z twoim tatą? - pyta Ron.

- Tak jak zawsze. On jest naprawdę dobry. Chciałabym, żebyś to jego poznał. - Kieruje wzrok na tłum ludzi siedzących przy wyjściu, próbując znaleźć kogoś, kto przypominałby jej ojca. Nikogo takiego nie ma. Nikt w najmniejszym stopniu go nie przypomina.

- Może niedługo to się uda.

- Za kilka miesięcy przyjedzie do San Francisco. Będiesz mógł wtedy go poznać, jeżeli będziesz chciał. - Żołądek jej się ściska na tę myśl - nie na myśl o spotkaniu ojca i Rona, tylko na myśl, czy będą z Ronem tak długo razem. Wszystko tak łatwo się może rozlecieć. Zaledwie w zeszłym miesiącu chłopak Meghan, Brian, rzucił ją, nie uprzedzając jej nawet słowem. Meghan wpadła do Sadie, twarz miała zapuchniętą, bo płakała przez pół nocy. Siedziała na łóżku, wpatrywała się bez wyrazu przed siebie i odrzucała kolejne propozycje Sadie, żeby coś, cokolwiek zrobić: iść do kina, na zakupy czy spacer nad ocean, kupić trochę trawki.

- Wygłupiasz się czy co? - protestowała. - Tylko bym się gorzej poczuła.

- Nie - odpowiedziała Sadie. - Nabrałabyś do wszystkiego dystansu.

Ale już mówiąc to, nie była pewna, czy to prawda. Skończyło się więc na tym, że siedziała w milczeniu z przyjaciółką, dopóki Meghan nie zgłodniała, a wtedy wyszły do piekarni Miette na Octava Street, gdzie zjadły prawie cały torcik Tomboy.

Zaczynali właśnie wpuszczać do bramki i Sadie powiedziała Ronowi:

- Za minutę będę musiała wsiadać do samolotu. Ale chciałam ci powiedzieć, że nasza wyprawa jest aktualna. Tata powiedział, że przekona mamę, żeby pozwoliła mi się wybrać na wspinaczkę skałkową. Mama prawie zawsze go słucha, chociaż twierdzi, że nigdy tego nie robi.

- Wspinaczkę skałkową?

- Tak, wiesz, Tate Shiller razem z całą paczką wybierają się powspinać na skałki. Powiedziałam, że z nimi pojedę. Inaczej dosyć trudno byłoby mi się wyrwać na weekend. Nie chciałam prosić Meghan, żeby znowu mnie kryła; trochę już zaczyna ją to męczyć.

- Tata ci uwierzył?

- Ta. On mi ufa.

Tylko przez chwilę Sadie czuje się podle, że okłamała ojca. Ale to mały grzeszek dla większego dobra; pewnego dnia zmieni się w zabawną historyjkę o tym, co się wydarzyło na wczesnym etapie jej związku z Ronem.

- Porządny facet z niego. Jesteś pewna, że nie chcesz mu powiedzieć prawdy?

- Nie mogę powiedzieć jemu, a nie mówić mamie. A jeżeli powiem mamie, to nie pozwoli mi jechać. - Obsługa przy bramce wywołuje numer jej grupy.

- Muszę wsiadać do samolotu - mówi Sadie. Wstaje i zarzuca plecak na ramię. - Zadzwoń do ciebie, jak wyląduję.

- Powiedz pilotowi, żeby się pospieszył - odpowiada chłopak, a ona się uśmiecha i najpierw dotyka telefonu w miejscu z którego słyhać głos Rona, a dopiero potem się rozłącza.

Staje w kolejce za kobietą w granatowym kostiumie i białej bluzce z falbankami, najwyraźniej żegnającą się przez telefon ze swoją drugą ważną połową, skoro mówi: „Kocham cię, słonko”. Tamta słucha przez chwilę, a potem śmieje się niskim, gardłowym śmiechem.

- Ty pierwszy - rzuca do aparatu.

Sadie patrzy na lewą dłoń kobiety, na pierścionek zaręczynowy z olbrzymim diamentem. Zawsze, kiedy widzi pierścionki zaręczynowe, ogarnia ją dziwna mieszanina uczuć: coś w rodzaju podniecenia połączonego z niejasnym smutkiem. Tęsknota za specyficznym rodzajem „inkluzji”, której jednocześnie pragnie i się boi. I co dziwne, towarzyszy temu poczucie klęski, wstydu. Wie, że to absurdalne, ale tkwi w niej takie ciężkie poczucie, że wszystko schrzaniała, że straciła coś, czego nigdy nie' miała.

Kiedy zajmuje miejsce przy oknie i zapina pas, obok niej siada jakiś mężczyzna. Jest tęgi, ma okrągłą twarz, różowe policzki i dokonuje bohaterskich wysiłków, by wciągnąć brzuch.

- Jak leci? - pyta i Sadie z miejsca wie, że ten facet kupi jej drinka. Większość mężczyzn, którzy siedzą z nią w samolocie, tak robi, jeżeli w tym samym rzędzie nie ma nikogo więcej. W tym samolocie są tylko po dwa fotele z każdej strony, więc sprawa wydaje się załatwiona. Kiedy stewardesa skończy już wyjaśniać to wszystko, co pasażerowie powinni zrobić, żeby się uratować w mało prawdopodobnym przypadku katastrofy (kiedy naprawdę jest mało prawdopodobne, by w ogóle ktoś się uratował), Sadie poprosi:

- Czy jeżeli dam panu pieniądze, to kupi mi pan drinka?

Zwykle faceci po prostu machają ręką na jej forszę i sami płacą za drinka, a Sadie im na to pozwala. Jedynym minusem jest to, że później składają coś w rodzaju propozycji, by dołączyła do nich w łazience. Kiedy Sadie puszcza wodze fantazji, ów pomysł nawet ją intryguje, zwłaszcza jeżeli facet to ciacho. Ale w realu byłoby to całkiem coś innego. Rozpinanie suwaków. Absurdalnie ciasne pomieszczenie. Jak by to było siedzieć potem obok takiego faceta i nim pachnieć. I smutna pustka takiego kontaktu.

Ludzie powoli przesuwiają się przejściem, wpychają torby do skrytek nad głową i zajmują miejsca, a Sadie wpatruje się w okno. Myśli o tym, jak ojciec przyłożył dłoń do jej policzka, zanim wysiadła z samochodu, by wejść na lotnisko. I jak podczas obiadu pewnego wieczoru zapytała, czy kiedyś zastanawiał się nad tym, by przenieść się do San Francisco. Milczał przez długi czas, a potem odrzekł:

- Nie sądzę, Sadie.

Jedli przez chwilę ze spuszczoneymi głowami, stukot widelców o talerze zrobił się głośniejszy z powodu nagłego milczenia obojga.

- A czy ty zastanawiałaś się kiedyś, by przenieść się tutaj?
- zapytał potem promiennie, niemal żartobliwie ojciec, a ona powiedziała, że może.

Rzuciła to tak, jakby nigdy wcześniej o tym nie myślała, jakby zastanowiwszy się w tej chwili, naprawdę mogła to zrobić. Może! Potem oboje poczuli się lepiej.

Myślała o tym, jak któregoś ranka przyłapała go, gdy ścielił jej łóżko, i powiedziała:

- Tato, ja mogę to zrobić! - a on podniósł ręce do góry i zamruczał:

- Okay, okay! - a potem następnego dnia znowu pościelił jej łóżko.

Pościelił jej łóżko i umieścił na nim wszystkie stare przytulanki, w ustalonym z góry porządku. Pomyślała o tym, jak siedział w kuchni tego ranka przed śniadaniem, z opuszczoną głową i rękami zaciśniętymi między kolanami. Nie widział jej; a wtedy na paluszkach wróciła na górę po schodach i potem znowu zeszła na dół, tym razem robiąc dużo więcej hałasu. Zastała ojca przy szafce, gdy wyciągał z niej żeliwną patelnię, żeby przyrządzić swoje słynne placki z ziemniaków.

- Chcesz dwa paski i dwa słoneczka do tego? - zapytał. „Dwa paski i dwa słoneczka”. Określenie, którego

kiedyś użył Grover z *Ulicy Sezamkowej*), kiedy był kelnerem i zamawiał bekon i jajka u Charliego, kucharza od szybkich dań. John i Irenę, wraz z siedmioletnią Sadie tulili się do siebie na sofie i oglądali ten program, kiedy Grover to powiedział. Jej rodzice wybuchnęli śmiechem, a potem wyjaśnili córce, co to określenie oznacza. Siedzieli pod ciepłym kocym, który ciotka Johna zrobiła dla niego, kiedy był małym chłopcem, i pili gorącą czekoladę. Na dworze zamieć zasypała świat półmetrową warstwą śniegu i pozamykano zakłady pracy oraz szkoły.

Po obiedzie Sadie i jej rodzice wyszli na podwórko na tyłach domu i zrobili trzy bałwany, a także domek ze śniegu, żeby miały gdzie mieszkać. Później, kiedy

już otulili Sadie do snu, zobaczyła, jak w holu ojciec łapie mamę i ją całuje. A potem poszli do własnej sypialni i usłyszała te odgłosy; w pierwszej chwili myślała o bólu, a potem się dowiedziała, że nie. To były czasy, kiedy Irene śmiała się głośno i składała dłonie pod brodą, słuchając śmiesznotek, opowiadanych przez ojca Sadie; kiedy nuciła, składając pranie, i zlizywała ciasto z palców z przesadną rozkoszą. To było wtedy, kiedy sama robiła w domu kartki z życzeniami na urodziny dla Johna i Sadie i dekorowała każdą z pokoi w domu na Boże Narodzenie - nawet pies nosił niewielką ozdobę na obroży. W tamtych czasach Irene zwykle codziennie około wpół do piątej odbierała telefon i dyktowała Johnowi, co jest im potrzebne, a czasami mówiła: „Tylko ty”.

Samolot zaczyna kołować i Sadie przygląda się, jak pas startowy coraz prędzej ucieka do tyłu. Zawsze lubi się przyglądać, kiedy samolot startuje i ląduje, nie tylko lubi, ale czuje, że musi. To tak, jakby sama tym kierowała, jakby to jej siła skupienia pozwalała im bezpiecznie oderwać się od ziemi, a potem na koniec lotu z powrotem na niej usiąść. Wydaje jej się, że mnóstwo pasażerów samolotu odczuwa to samo: widzi ludzi, którzy pilnują startu i lądowania z taką samą powagą jak ona, i często ją kusi, by zapytać, czy robią to co ona. Ale nigdy nie pyta. Pewnych pytań się nie zadaje. Ludzie są skryci.

- Leci pani do domu? - pyta jej sąsiad. Sadie podnosi w górę palec.

- Sekundkę.

Ziemia zamazuje się, następuje gwałtowny ciąg w górę, a potem wszystko na dole robi się miniaturowe.

Zawsze wtedy ogarnia ją spokój, przez to nagłe oddalenie się, to poczucie, że nie ma powrotu. Zrobione. Zdecydowane.

Patrząc w dół, przestrzega jeszcze jednego rytuału i szuka domu swojego ojca. Nigdy go nie znajduje, ale mimo to zawsze go szuka. Nie wie dlaczego; gdyby go zobaczyła, zrobiłoby jej się tylko jeszcze smutniej. Byłby tam dach jego domu, chodnik, podwórko na tyłach i samochód na podjeździe, a potem pojawiłby się obraz tęskniącego za nią ojca. Siedziałby może na stopniach frontowej werandy, odchyłony do tyłu i oparty na łokciach, z długimi nogami wyciągniętymi przed siebie, i pozdrawiał wszystkich, którzy go mijają. Albo może byłby w pobliskim parku, gdzie lubi przyglądać się, jak dzieciaki grają w dziecienną wersję baseballu.

Poprzedniego wieczoru, kiedy siedzieli na werandzie, powiedział Sadie, że znowu zwrócono się do niego w sprawie trenowania, ale nie sądził, żeby poradził sobie z rodzicami.

- Nie powinno się ich dopuszczać nigdzie w pobliże boiska - stwierdził. - Wszystko, co robią, sprowadza się do tego, że psują mecz swoimi rozdętymi ego.

- Ty też zwykle przychodziłeś na moje mecze - zaprotestowała Sadie, a John odpowiedział:

- Tak. A jak już przyszedłem, to siedziałem, patrzyłem, jak grasz, i trzymałem buzię na kłódkę.

- Chyba że zdobyłam gola - przerwała mu Sadie, a wtedy roześmiał się i przyznał:

- Słusznie. Chyba że zdobyłaś gola. - Popatrzył na nią, twarz mu się zmieniła i dodał:

- Kochałem patrzeć, jak grasz.

Zastanawiała się, czy pomyślał wtedy także o jej matce, czy może za nią też tęsknił; ale oczywiście o to go nie zapytała. Nie mogła go o to zapytać. Próbowwała raz, kiedy miała mniej więcej dziesięć lat; zapytała go, czy tęskni za Irenę, a John wzruszył ramionami i powiedział: „Ach, wiesz” - i zaraz zmienił temat. A Sadie zrozumiała, że gdyby odpowiedział „tak”, czułaby się okropnie. Gdyby odpowiedział „nie”, czułaby się okropnie. A gdyby odpowiedział wymijająco, sugerując, że w ogóle rzadko myśli o Irenę, byłaby zdruzgotana.

Samolot się wznosi, a Sadie patrzy na zachód, żeby sprawdzić, czy uda jej się dostrzec jezioro o dwie przecznice od domu ojca, gdzie John codziennie chodził na spacer z Festusem i gdzie nauczył ją pływać żabką i na boku, i na plecach, a wszystko to jednego dnia, a potem nagroził córkę potrójną porcją lodów, z których większość zjadł Festus, bo je upuściła. Tata proponował, że kupi jej jeszcze jedną porcję, ale Sadie odmówiła, tłumacząc, że to nie byłoby to samo, a zresztą była już najedzona.

- Czego pani wypatruje? - pyta jej sąsiad.

- Sama nie wiem - mówi Sadie. - Niczego.

- Panie i panowie, chcielibyśmy prosić, by przzerwali państwo wszelkie rozmowy i odłożyli lekturę - ogłasza stewardesa i Sadie siedzi spokojnie, czekając, a jej ból i tym samym jej pragnienie narastają. Zaczyna jej drgać kolano i Sadie stara się nad tym zapanować. Weźmie sobie krwawą mary. Wódkę on zamówi. Gdyby, co mało prawdopodobne, zdarzyło się, że jej tego nie załatwi, przerwie wszelkie rozmowy, odłoży lekturę i pójdzie spać.

4.

Pod koniec czerwca przyjaciel Johna, Stuart, namówił go, żeby poszedł na zebranie grupy dla rozwiedzionych rodziców. Wybrali się do baru O'Gary i patrzyli, jak na wielkim ekranie telewizyjnym Twins dają plamę podczas wyrównanego meczu z White Sox. Kiedy mecz się skończył i dobiegła końca sekcja zwłok, Stuart powiedział Johnowi, że tę grupę dla niego zaproponowała jego żona, Angie, która przeczytała w gazecie jakiś artykuł na ten temat.

- Od samego początku miałbyś z tymi ludźmi coś wspólnego - mówił Stuart. - Mógłbyś się z kimś zaprzyjaźnić, a może nawet znaleźć sobie następną partnerkę. I powinieneś szukać rozwódki, a nie wdowy czy niezamężnej dotąd kobiety! Jeżeli dostanie ci się wdowa, zawsze będzie tęskniła za swoim mężem. Jeżeli dostanie ci się baba po czterdziestce, która nigdy nie miała męża, czeka cię cała masa kłopotów.

- Mało brakowało, a byłbym się nie ożenił - powiedział John, a Stuart opuścił brodę i popatrzył sponad szklanki na przyjaciela.

- Co, uważasz, że mam problemy? - zapytał John.

- Tam do diabła, kto nie ma problemów. - Zasygnalizował barmanowi, że chce dostać rachunek. A potem dodał: - Słuchaj, nie chcę ci psuć humoru, ale zaczyna robić się z Ciebie dziwadło. No wiesz, założę się, że chodzisz i sam do siebie gadasz.

- A ty do siebie nie gadasz?

- Nie tyle, co ty. Dużo za dużo do siebie gadasz.

- Skąd wiesz?

- A nie? John milczał.

- Hej - powiedział Stuart. - Nie myśl sobie, że ja... ja tylko mówię, że ludzie powinni być z innymi ludźmi. W małżeństwie człowiek cierpi; ale w samotności cierpi się gorzej. Czytałeś kiedyś tę książkę Marka Twaina *Pamiętniki Adama i Ewy*? Adam uważał, że Ewa to prawdziwe utrapienie, za dużo gadała, cały czas przeglądała się w sadzawkach, doprowadziła do tego, że ich wyrzucili z raju, na litość boską! Ale na koniec powiedział, że lepiej było mu żyć poza rajskim ogrodem z Ewą niż w ogrodzie bez niej.

John nie odezwał się słowem, tylko ostatni raz pociągnął piwa. Przyszło mu na myśl, żeby odpowiedzieć, że Adam nie miał programu sportowego ESPN, ale słowa przyjaciela dotarły do niego. Oj, dotarły.

- Myślę, że powinieneś jeszcze raz spróbować to wszystko. Idź do tej grupy, po prostu posiedź tam i posłuchaj. Jeżeli już nic więcej, to przynajmniej usłyszysz jakieś inne historie niż własna. Może spotkasz kogoś, z kimś pójdziesz coś zjeść, powymienicie się pomysłami.

- Od tego mam ciebie.

Stuart włożył płaszcz i postawił kołnierz.

- Tak. Ale ja nie mogę tego robić cały czas. Wiesz? Potrzeba ci kogoś więcej niż ja.

Stuart od tyłu już lat łątał dziury i dawał mu wsparcie, że pewnie Angie wreszcie to zmęczyło. Więc John zgodził się poszukać takiej grupy, a Stuart powiedział mu, że spotkanie ma odbyć się następnego dnia wieczorem, w kościele unitariańskim, niecałe cztery przecznice od niego. John znał ten budynek - często podziwiał jego architekturę.

- A skąd ty wiesz o tym spotkaniu? - zapytał, a Stuart wzruszył ramionami.

Co znaczyło, uświadomił sobie John, że to Angie je wyszukała, ponieważ rozmawiali o Johnie. „Biedaczysko John”. „Trzeba coś z tym Johnem zrobić”. Czuł się zażenowany, jakby ktoś mu powiedział bardzo poniewczasie, że ma rozpięty rozporek.

Za dziesięć siódma następnego wieczoru John znalazł się w słabo oświetlonej piwnicy kościoła i szukał właściwej sali. Odbywało się tam wiele zajęć, łącznie z lekcją gotowania, od której hol wypełnił się zapachem czekolady. John dołożył starań, by się odpowiednio ubrać i ostatecznie zdecydował się na strój codzienny: biała koszula, džinsy, czarne sportowe buty. Kurtka khaki, gdyby trochę padało. Kiedy już przyszedł do kościoła, wstąpił do toalety, by się odlać, ale również po to, by sprawdzić, czy kosmyk na głowie nie sterczy. Potem wyszedł i ruszył powoli przez hol.

Przystanął, żeby przeczytać niektóre z ogłoszeń na tablicy: nie chciał pojawić się pierwszy na spotkaniu. Zaciekawilo go ogłoszenie ze zdjęciem dobrze utrzymanego volkswagena karmann ghia i nawet zapisał sobie adres mejlowy; może wybierze się, by rzucić na niego okiem, pomimo że miał okropny żółty kolor. Zobaczył ogłoszenie, gdzie można zgłaszać się do ochotniczej pracy w Walk-in-Ministry*, ogłoszenie o pokoju do wynajęcia z używalnością kuchni, o lekcjach japońskiego. Była też ulotka reklamująca pobyt w klasztorze, ale doszedł do wniosku, że jego własne życie ostatnio wystarczająco już taki pobyt przypominało.

Zastanawiał się, o czym mówiliby w takiej grupie. Jakie tematy poruszali rozwiedzeni ludzie? Jak godzili się ze swoimi eks? Jak się rozstawali? Jak cierpiały ich dzieci, wbrew najlepszym chęciom rodziców i niezależnie od wieku?

Kiedy Sadie po raz pierwszy przyjechała do niego na tydzień w sierpniu, mając osiem lat, podniosła się z łóżka w środku nocy i stała obok Johna, dopóki się nie obudził.

- Co się stało? - zaniepokoił się, a ona odpowiedziała:

- Nic.

- Wszystko w porządku? - zapytał. -Tak.

Usiadł. Kiedy wyciągnął rękę do włącznika, poprosiła:

- Nie zapalaj światła. Już wracam do łóżka. Chciałam tylko przyjść i cię zobaczyć.

- Cieszę się, że przyszłaś. Ale może zapalę światło

* Organizacja przykościelna, zajmująca się udzielaniem pomocy wszystkim, którzy się do niej zwrócą (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

i zejdziemy do kuchni, żeby pogadać? Albo zjeść razem pomarańczę?

- Nie, jest w porządku.

- Z radością to zrobię. Albo... - Nie miał co do tego pewności, ale i tak zapytał. - Czy ty... Czy chciałabyś wejść do mnie do łóżka na trochę?

- Nie - powiedziała Sadie. - Jestem już za duża. Ja tylko chciałam zobaczyć. Możemy porozmawiać rano. Dobranoc.

Wróciła do łóżka, a on zajrzał do niej po piętnastu minutach: mocno spała. Sam nie zasnął do wpół do piątej, a wtedy wstał, żeby zaparzyć kawę, i usiadł na werandzie, czekając na wschód słońca.

No i był jeszcze ten moment, kiedy dwuletnia Sadie miała na nóżkach białe skórkowe lakierki, które uwielbiała. Weszła w błoto, a potem zmartwiona podniosła na niego oczy. Łatwość, z jaką mógł zaradzić temu zmartwieniu, nałożyła się nagle na świadomość, że nie zawsze tak będzie. Świat złamie serduszko Sadie i wystawi jej duszę na próbę, nieważne, czy jego córka sobie na to zasłuży, czy nie, ponieważ należała do gatunku homo sapiens, dwunogich ssaków z rzędu naczelnych, który to gatunek żył zdecydowanie jak najbardziej poza ogrodem, i żadne działanie ojca jej przed tym nie uchroni. Przygnębiło go to. Później tego samego wieczoru, kiedy Sadie leżała już w łóżku, podzielił się swoim poglądem z Irenę. Westchnęła i powiedziała cicho:

- Wiem. Czasami po prostu patrzę na rozmiary jej sweterków i serce mi się kroi na myśl o tym, dokąd ona

zmierza. To niesprawiedliwe. I wiem, że życie nie jest sprawiedliwe. Ale to niesprawiedliwe.

Nie opowiedziałby żadnej z tych historii. W ogóle się nie odezwie, jeżeli nie będzie musiał, a wtedy ograniczy się do czegoś neutralnego.

- Wpadłem tu tylko zobaczyć, czy mógłbym się czegoś nauczyć - oświadczy. Powie to przyjaźnie, bez napięcia, tak by jego wypowiedź pokazywała, że nie jest zdesperowany, tylko zadowolony.

Kiedy następnym razem popatrzył na zegarek, zrobiło się sześć po, ruszył więc szybkim krokiem przez korytarz

- jeżeli dobrze pamiętał, zebranie było w pokoju dwoje drzwi dalej. Jakaś kobieta przebiegła obok niego i weszła do sali, w której ustawiono w kręgu około piętnastu składanych krzeseł teraz zajętych przeważnie przez ludzi w średnim wieku, więcej kobiet niż mężczyzn. Raz koź się śmierć, pomyślał John, i wszedł za tą kobietą do środka.

Okazało się, że nazywa się Amy Becker i jest blondynką z uroczym asymetrycznym uśmiechem. Natychmiast poczuł do niej pociąg, co więcej, szalony pociąg, co go w równej mierze zaskoczyło i pobudziło. Miała brązowe oczy, a jemu bardzo się podobało takie połączenie jasnych włosów z brązowymi oczami: Angie Dickinson

- czy był ktoś, kto nie zachwycał się tym połączeniem? Miała bardzo lekki makijaż, jeżeli w ogóle. Była od niego młodsza, uznał, ale nie aż tak wiele. Miała sympatyczną figurę i była ubrana w kwiciastą spódnicę i skromną białą bluzkę, a do tego kolczyki z perełkami. Na nogach miała czerwone buty na niskich obcasach, które pochwaliła kobieta siedząca obok niej, mówiąc:

- Och, spójrzcie tylko na ten kwiatek! Usłyszał, jak Amy mówi:

- Dzięki. Właśnie je kupiłam i martwiłam się, że ten kwiatek głupio wygląda. Ale potem pomyślałam: no cóż, nawet jeżeli jest niemądry, to nic takiego. Niemądre jest zabawne. Zwłaszcza gdy chodzi o buty. No i oczywiście kapelusze. Więc je kupiłam. Co więcej, kupiłam dwie pary. Druga jest zielona, najśliczniejszy odcień zieleni, jak trawa.

John spuścił oczy i uśmiechnął się do siebie. Podobały mu się kobiety, które mimowolnie dają takie przedstawienie. To właśnie coś takiego wzbudziło w nim pociąg do Irene; czasami potrafiła bardzo przypominać taką osobę, na jaką wyglądała ta kobieta.

Amy odgarnęła sobie przydługie włosy z powrotem za ucho, zaczerpnęła powietrza i rozejrzała się po grupie. Zamarła na moment, kiedy jej spojrzenie trafiło na Johna, a on się domyślił, że pewnie dlatego, że jest nowy, ale miał nadzieję, że również dlatego, że też jej się spodobał.

- No dobrze, ostatni dzwonek - odezwał się jakiś mężczyzna, w oczywisty sposób lider tej grupy. - Chciałbym zaprosić wszystkich, żebyście się poczęstowali czymś do jedzenia i picia, zanim zaczniemy; dzisiejszy poczęstunek zawdzięczamy Mike'owi Strongerowi. - Tu włączył się jakiś chudy mężczyzna z nadmiernie wydatną grdyką, który mówił bardzo szybko i chyba niedawno miał zrobiony przeszczep włosów:

- Tak, upiekła je moja dziesięcioletnia córka; była dumna i chciała, żebym je tu przyniósł.

John przyłączył się do kilkorga innych osób przy małym stoliku pod ścianą i wziął sobie kubek kawy

i ciasteczko z czekoladą, ugryzł i wziął jeszcze jedno. Wrócił do kręgu w samą porę, żeby się przedstawić. Miał przemawiać ostatni i był z tego zadowolony, zwłaszcza kiedy się przekonał, że przypadkowo wszedł nie do sali dla rozwiedzionych rodziców, tylko dla małżonków w żałobie.

- Nazywam się John Marsh - powiedział, kiedy przyszła na niego kolej. - Jestem tu pierwszy raz i chyba wolałbym głównie się przysłuchiwać. - Zwiesił trochę głowę, tak jak to jego zdaniem powinien był zrobić osierocony mąż. Powiedział sobie, że będzie się tylko przysłuchiwał i już nigdy nie wróci do tej grupy. Obiecał sobie również, że zaprosi Amy na kawę po spotkaniu i natychmiast przyzna się do popełnionego błędu.

Wykonał jedno z trzech swoich postanowień: kiedy po raz trzeci przyszedł na spotkanie, zaprosił ją, by wypła z nim kawę, a ona się zgodziła, ale pod pewnym warunkiem.

- Byłabym zachwycona, ale nie idźmy na kawę, tylko na drinka do Frosta; i nawet jednego słowa na temat naszych małżonków albo żałoby, albo śmierci. Zostawmy to wszystko dla grupy.

- W porządku - zgodził się John.

Ich rozmowa dotyczyła ogrodnictwa. Amy miała duży warzywnik, a John zgłosił się na ochotnika, że pomoże jej o niego zadbać - powiedział, że lubi grzebać się w ziemi, bo lubił.

- Czy nie przeszkadzają panu robaki? - zapytała Amy i przeszedł ją lekki dreszcz, a John odparł: - Robaki? Ja lubię robale. Moim współlokatorem jest robal.

Amy roześmiała się i powiedziała, że chciałyby, żeby jej nie przeszkadzały, że wie, jak wielkie mają zasługi przy napowietrzaniu i nawadnianiu gleby, a także jej nawożeniu, ale na ich widok skóra jej cierpnie, od czasu kiedy jakiś dzieciak w szkole latał za nią z całym pęczkiem robaków zwisających z patyka.

- No tak, bo mu się pani podobała, prawda? - domyślił się John.

Amy przytaknęła.

- Kiedyś przyłożyłem śnieżką pewnej dziewczynce tak mocno, że się wywróciła. Kota miałem na jej punkcie.

Rozmawiali o psach, ponieważ każde z nich rozważało możliwość, żeby sobie sprawić psa. Rozmawiali

o pracy Amy, która była producentką w popołudniowym programie WCCO. Potem przeszli do jego pracy i jego koncepcji, czym naprawdę jest architektura, i tego, że chce się skupić na wznoszeniu pięknych budynków, które przetrwają lata, a Amy przyglądała się, jak mówił, z brodą opartą na dłoni, uśmiechnięta. Potem postanowili przejść z baru do sali jadalnej, żeby zjeść coś na ciepło, a on pomyślał: dobrze się nam układa, a potem, niech go cholera, jeżeli ona nie powiedziała dokładnie tego samego. Spojrzała na niego z głową przechyloną na bok

i lekkim uśmiechem na twarzy i powiedziała:

- No! Dobrze się nam układa.

- Właśnie to samo pomyślałem - wyznał i szczęście, które poczuł w tym momencie, było czymś, co... no właśnie, co? Rozluźniło go, tak by to ujął, gdyby miał to powiedzieć. Ale nie powiedział. Bardziej był z niego taki facet od śnieżek.

A potem, po ich piątym spotkaniu, poszła razem z nim do domu. Zdjęła swoją niebieską sukienkę w przyćmionym świetle nocnej lampki i westchnęła tak słodko, kiedy w nią wszedł, że niemal się rozplakała. Jej niewinność. Jego oszustwo. Jak to naprawić. I coś jeszcze. To samo uczucie, które prześladowało go kilka ostatnich razy, kiedy uprawiał seks, ten niewymowny smutek. Przez chwilę się zastanawiał, czy po prostu godzi się na to, że się starzeje, czy nie czuje słodko-gorzkiego posmaku, kiedy się kochają, ponieważ na ścianie zostały już wypisane słowa informujące, jak długo jeszcze będzie trafiał strzałką w tarczę. Koniec z waleniem się w pierś, by wybębnić własną niezwyciężoność. Nie, przyszedł czas, by zwracał niechętną uwagę na ogłoszenia, w których srebrnowłose pary moczyły się razem w gorących kąpielach, z lekkimi uśmiechami triumfu na twarzach. Ale ów konkretny smutek nie wiązał się z tym, że John miał już za sobą najlepsze lata i przygotowywał się, by z zażenowaniem usprawiedliwić się przed jakąś zaczerwienioną niewiastą, która będzie mówiła, że wszystko w porządku, że to bez znaczenia, nie, naprawdę. Nie wiedział, o co tu, do diabła, chodziło, ale nie o to.

Zjechał na stację benzynową. Miał szczęście, że dojechali z Sadie na lotnisko; nie zdawał sobie sprawy, że ma tak mało benzyny. Irenę nigdy nie dopuszczała do tego, żeby paliwo w baku zeszło poniżej jednej trzeciej, co było śmieszne, ale zapobiegało kłopotom. Przynajmniej gdy chodziło o paliwo. John przygląda się rosnącym liczbom i dochodzi do wniosku, że posunął się wystarczająco daleko w oszustwie. Zadzzwoni do Amy, zaprosi

ją na ten wieczór i powie jej prawdę. Ma nadzieję, że będzie chciała dalej się z nim spotykać. Jeżeli nie, no cóż, zawsze zostaje mu jeszcze ta grupa, do której miał pójść na samym początku. Albo może wrócić do swobody, jaką daje samotność. Naprawdę nie jest tak źle być samemu i nigdy się nie martwić, co trzeba zrobić dla kogoś, z kimś czy w interesie kogoś. To jakby pozwolić, żeby umysł przez cały dzień chodził w piżamie. I co w tym złego? Jedyna osoba, przed którą musi odpowiadać, jedyna, której jest coś winien, to Sadie. Chociaż, jak córka lubi mu przypominać niemal codziennie, ona potrafi sama o siebie zadbać.

5.

- mówi Irenę. - Nie obchodzi mnie, co sądzi twój ojciec. Opieka nad tobą nie została przyznana ojcu, tylko mnie, a ja uważam, że to niebezpieczne, żebyś bez opiekuna wybierała się z paczką nastolatków, żeby spędzić cały weekend na wspinaczce skałkowej.

Sadie rysuje kreski pałeczkami w sosie z czarnej fasoli, którego kałuża została na jej talerzu.

- Czego ty się tak boisz? - Na jej twarzy widać półuśmiech, który słabo maskuje zdenerwowanie.

- No nie. Od czego tu zacząć? - Irenę rozłamuje ciasteczko z wróżbą, rozwija papierek i czyta na głos: - „Łaska płynie z niespodziewanego źródła”. - Hm. A do tego, jak powiedzieć po chińsku „dziękuję”: *x-i-e, x-i-e*. Ciekawe, jak to się wymawia.

- Ja naprawdę umiem się wspinać, mam. I będę w towarzystwie jeszcze bardziej doświadczonych wspinaczy. Nie jestem idiotką. Nie zrobię niczego ryzykownego.

Irenę odchyła się na krześle zirytowana.

- Po prostu nie rozumiem tego nagłego pragnienia,

żeby spędzić tyle czasu na wspinaczce! Po co miałybyś tam jechać i zwisać z jakiejś ściany skalnej? Czy życie nie jest wystarczająco niebezpieczne?

Sadie unosi brwi i wpatruje się prosto w nią. Irene wie, że teraz powiedziała już za dużo. Że od czegoś, co można by interpretować jako rozsądne zaniepokojenie, przeszła do reakcji dyktowanej przez własne nerwice, taki jej zły nawyk. Dlaczego miałyby robić ze swojej córki, mającej wrodzone zdolności sportowe, a do tego niewiarygodnie odpowiedzialnej, ofiarę swoich wielorakich lęków? To, że Irene nigdy nie wybrałaby się na wspinaczkę skałkową, nie jest wystarczającym powodem, iż nie powinna tego robić jej córka.

Na godzinę przed lądowaniem Sadie zadzwonił John, rzekomo po to by powiadomić Irene, jak spędzali czas, i wyrazić jak zwykle w samych superlatywach swoją opinię o ich córce, bo tylko ona ich jeszcze łączyła. Ale przedstawił również argumenty za tym, by Irene odpuściła trochę Sadie, i Irene wiedziała, że miał rację. Sadie niedługo odejdzie z domu, odjedzie, by zamieszkać w akademiku, a Irene uświadamia sobie, że zamiast przyzwyczajając się do myśli, że córka się od niej uniezależnia, coraz silniej się tej koncepcji opiera.

- Na wszystko przychodzi właściwa pora - powiedziała jej ostatnio Valerie, a Irene odrzekła:

- Tak, dobrze, a skąd wiadomo na pewno, jaka jest teraz pora?

Val się roześmiała.

- Popatrz na kalendarz, że tak to ujmę. - Potem twarz jej spoważniała i dodała: - Irene, spróbuj spojrzeć na to obiektywnie.

Dobrze, że Sadie dorasta! Czy nie będzie miło znowu mieć cały dom dla siebie? Jeśli będziesz miała ochotę na chwilę rozkoszy po południu, nie ma problemu. Możesz pozapalać wszystkie światła w środku nocy. Możesz puszczać sobie przez cały czas muzykę. Jeżeli nie masz ochoty robić zakupów, nie musisz. Nie będziesz musiała gotować.

- Ja lubię gotować! - zaprotestowała Irene.

- Świetnie. Zrób więc dziesięć tysięcy ciasteczek i wyślij je do akademika. Irene, Sadie odejdzie od ciebie niezależnie od tego, co o tym będziesz myślała. Nie każ jej mieć poczucia winy z powodu czegoś, co powinno być naprawdę pełnym entuzjazmem okresem w jej życiu. Idzie na studia! Bądź z niej dumna! Ciesz się, że wyrosła na taką śliczną i odpowiedzialną młodą kobietę! Gotowa jest iść na swoje! Ufaj jej!

- Dobrze ci mówić, Valerie. Kiedy twoje dzieci odeszły, ty nie zostałam sama.

- To prawda - odpowiada Valerie. - A jednak. Zawsze bardzo się starałam być dobrą matką, Irene. Nie przestawaj teraz.

Irene rzuca serwetkę na talerz.

- W porządku, Sadie. Jedź na tę twoją wspinaczkę. Ale czy ty...? Chciałabym, żebyś do mnie zadzwoniła, jak się znajdziesz na szczycie. A potem znowu, kiedy już zejdziesz na dół.

- Mamo!

- Mówię serio. Nie obchodzi mnie, że będziesz się czuła jak dziwadło, bo musisz zadzwonić do matki. Wymyśl jakiś sposób, żeby to zrobić.

- Okay.

Irene prosi o rachunek. Zaciska dłonie, wyobrażając sobie, jak Sadie wczepia się palcami nóg w skałę, straciwszy oparcie dla stopy, a ktoś powyżej niej mówi: „Trzymaj się!”. Potem wyobraża sobie, jak córka stoi na urwisku i patrzy na widok tak piękny, że aż ją w piersiach boli.

- Może sama spróbuję się powspinać na skałki - mówi.

- Okay, mamó.

- No więc... jak tam było u taty?

- Dobrze. Świetnie.

- Czy z nim... Czy wszystko z nim w porządku?

- O co ci chodzi?

- Tak tylko... ogólnie. Czy dobrze mu idzie w pracy? Czy jest wesoły? - A w myślach dodaje: jak wygląda? Czy się z kimś spotyka? Czy pytał o mnie? Czy powiedziałaś mu coś o mnie?

- Tak. Tata zawsze jest wesoły.

Telefon Sadie dzwoni, ale dziewczyna nie zwraca na to uwagi, chociaż z trudem.

- Możemy iść - mówi Irene. - Ma wpaść ciocia Vee.

- Ja wychodzę - wtrąca szybko Sadie.

Ale Irene już to wie. Co innego możesz zrobić, jeżeli masz osiemnaście lat, przez jakiś czas nie było cię w domu i właśnie wróciłaś? Musisz znowu wyjść. Zobaczyć się z przyjaciółmi. Niektóre rzeczy się pamięta.

Po powrocie do domu Sadie wrzuca torby do swojego pokoju, mówi mamie, że idzie do Meghan i niemalże pędem wybiega za drzwi. W kilka minut później pojawia się Valerie.

- No więc, co to za kryzys? - pyta, a Irene idzie do kuchni i wyjmuje te ekstraduże kieliszki do martini.

- Oho! - rzuca Valerie i wsuwa się na jedną z wyściełanych ław przy stoliku. - A mówiłaś, że to drobny kryzys.

- Don wrócił do żony.

- Jezu. To szybko.

- A wiesz co? Tak naprawdę? Niewystarczająco szybko. Valerie w pierwszej chwili w ogóle się nie odzywa, tylko siedzi i przygląda się, jak Irene robi drinki. Potem bardzo cicho pyta:

- Z tobą w porządku? - a Irene odpowiada:

- Pewno! - jakby to było całkiem oczywiste, jakby Valerie właśnie zapytała, czy ludzie mają nosy.

Stawia drinki na stole i ciężko siada po swojej stronie stolika. Trącają się z Val kieliszkami i siedzą, pijąc, każda zatopiona we własnych myślach.

Potem Irene mówi:

- Ja... - Głos jej drży. - Ja tylko... Valerie przytakuje.

- Wiem. - Sięga poprzez stolik, by lekko uścisnąć rękę przyjaciółki.

- I słuchałam Raya LaMontagne.

- Och, nie!

- Pamiętasz ten kawałek w „Jolene”, kiedy on śpiewa: „Ja wciąż nie wiem, co znaczy miłość?”. Ja wciąż nie wiem, co znaczy miłość, Val.

- A właśnie, że wiesz. I czy nie mówiłam ci już z milion razy, żebyś nie słuchała Raya LaMontagne, kiedy jesteś smutna?

- No, jeżeli mam się już przyznać do wszystkiego, to słuchałam jeszcze Lucindy Williams.

- O mój Boże! Mam nadzieję, że masz ustawione bezpośrednie połączenie z pogotowiem dla samobójców; - Valerie gwałtownym ruchem zasłania sobie usta. - Och. Och, Irene, przepraszam, przepraszam, że to powiedziałam.

- Nic się nie stało.

- Czy mogę cię o coś zapytać? Czy zdarza ci się o niej myśleć?

- O mojej matce? Valerie przytakuje.

- No pewnie.

- O czym myślisz?

- Myślę o różnych rzeczach: jak wyglądała, co mówiła. O chwilach, kiedy była dla mnie naprawdę czuła; miała zwyczaj kroić dla mnie cynamonowe grzanki w najidealniejsze małe trójkąciki. Ale najczęściej zastanawiam się, jak się czuła, kiedy tamtego popołudnia szła do garażu. Zastanawiam się, jak jej z tym było, że już nie wróci. Musiała się czuć najbardziej samotna na świecie.

- Więc jej wybaczasz.

- Tak, wybaczam. Zrozumiałam już dawno temu, że tamtego dnia musiała dobić targu z czymś dużo większym niż ja czy mój ojciec, czy życie, które z nami prowadziła. Była kobietą, która nie potrafiła ani okazywać, ani przyjmować miłości. Musiało jej przez to być strasznie ciężko. Tak czy owak, Ray i Lucinda. Ray i Lucinda! Lubię słuchać smutnej muzyki, kiedy jestem smutna. Wydaje się to szczere. Pobudza mnie do płaczu, a czasami jak człowiek porządnie się wypłacze, może poczuć się lepiej.

Ale wiesz, to nawet nie tak, że jestem smutna, tylko że... czuję się nagle, jakbym była za stara na tak wiele rzeczy, o których myślałam, że będę je miała zawsze. Jestem po prostu, no wiesz, zmęczona. Wiesz, o co mi chodzi? Nie cieleśnie. W sercu.

- Och, kochanie.

- A do tego czuję się trochę upokorzona.

- Tak, wiem, że tak się czujesz.

- Dlaczego ciągle to robię, Val? Dlaczego ciągle próbuję kogoś znaleźć?

- Bo nie chcesz być sama.

- A właśnie, że chcę - oświadcza Irene. - Teraz chcę. Koniec z tym. Nie ma nadziei. Jestem wyczerpana. Zużyta. Mogłabym występować na pokazie dziwołagów. - Wysącza swojego drinka do dna. - Zrobię sobie następne martini. Chcesz?

-Nie, lepiej nie. Ja... Och, dobrze. Nie zaszkodzi. Jestem już na tym etapie, że zaczynam tracić czucie w podniebieniu. Teraz będę musiała wziąć taksówkę do domu. Mam nadzieję, że trafię na miłego kierowcę, a nie któregoś z tych nieprzyjaznych. - Podaje kieliszek Irene, a potem mówi: -I wcale się nie nadajesz na pokaz dziwołagów.

- Nadaję się - upiera się Irene. -I ty też. -Nie!

Irene milczy. Pociąga duży łyk martini, potem następny. A potem mówi:

- Pozwól mi się obejrzeć.

- Obejrzeć co?

- Twoje ciało.

- Widziałaś moje ciało miliony razy.

- Nie ostatnio. Od lat już nie.
- Nie mam zamiaru ci go pokazywać. No wiesz, Irene!
- Poważnie, Valerie, muszę zobaczyć ciało innej starszej kobiety. Porównać i znaleźć różnice. Założę się, że Don wrócił do żony z powodu mojego ciała.

Valerie przewraca oczami.

- No dalej - ponagla ją Irene. - Chcę przekonać się, czy jestem normalna.

- Wspaniale. Pokaż mi swoje ciało, a ja ci powiem, czy jesteś normalna.

- Skąd będziesz wiedzieć?

- A skąd ty będziesz wiedzieć? Zresztą tak czy owak, jak chcesz zobaczyć nagie kobiety, to idź do dowolnej szatni przy siłowni.

- Valerie, nie chodzę na siłownię, wiesz o tym. Za każdym razem, jak się zapiszę, to chodzę tam przez sześć dni z rzędu, a potem już nigdy więcej. Nienawidzę siłowni. Są niegodziwe. Są jak Las Vegas. Chodzi mi o to, że to one wygrywają: zapłacisz, ale nie będziesz chodzić. Oni to wiedzą. Gdyby każdy, kto zapłacił, chodził na siłownię, nie starczyłoby miejsca. Założę się, że na każdego, kto tam jest, przypada pięćdziesiąt osób, które nigdy nie przychodzą. Albo sto!

- W porządku, Irene, uspokój się.

Irene wciąga powietrze i wpatruje się w przestrzeń. Po chwili mówi:

- Mam propozycję. Rozbierzmy się obydwie i bądźmy po prostu naprawdę, naprawdę ze sobą szczerze. Chociaż jeśli chodzi o ciebie, to się nie będzie liczyło.

- Dlaczego nie?

- Bo masz męża.
- To, że mam męża, nie znaczy, że nie dbam o swoje ciało!
- Nie powiedziałam, że o nie nie dbasz. Ale nie musisz go wykorzystywać. Seksualnie.

- Oczywiście, że je wykorzystuję!
- Nie musisz go wykorzystywać, żeby przyciągać.
- Powtarzam. Oczywiście, że to robię.
- No to się rozbierz.

Valerie rozgląda się po kuchni.

- Znaczy się... tutaj?

Irene podchodzi do okna i zamyka żaluzje. Potem podchodzi znowu do ławy i siada. Stuka palcami w stół i unosi brwi.

- Nie zrobię tego pierwsza - oświadcza Valerie.
- No, ja również nie.
- To był twój pomysł!
- Ta, ale to ty jesteś mężatką.
- Och, na litość boską! - Valerie pociąga następny łyk, a potem wstaje, ściąga top, spódnicę i rajstopy. - Nie mogę uwierzyć, że to robię! Ale zostaję w bieliźnie. Nie zamierzam zdejmować bielizny.

Irene odchyła się do tyłu i ocenia przyjaciółkę.

- Co to za stanik?
- Chantelle.
- Ładny. Wygląda, jakby dobrze podtrzymawał.
- Powinien, skoro tyle kosztuje.
- Dużo bym zapłaciła za taki stanik.
- No to idź i sobie kup.
- Kupię. Ale zdejmij go. I majtki też.

- Irene! Nie.

- Przecież nie mogę zobaczyć tego, co naprawdę ważne!
Valerie bierze się pod boki.

- To znaczy...?

- To znaczy, czy potknęłabyś się o własne cycki bez tego wymyślnego stanika albo czy schudłaś tam na dole. Wiesz? Ja wyglądam na autentycznie ogołoconą!

Valerie stoi i się zastanawia. Potem obejmuje się rękami; przechodzi ją dreszcz.

- Zimno tutaj.

- Ale tylko wtedy, kiedy nie ma się na sobie ubrania.

- To śmieszne. - Valerie wkłada z powrotem rajstopy, spódnicę i top.

- Niedługo będę musiała iść.

- W porządku. Zobaczyłam to, co chciałam.

- Co? - Valerie wsuwa się z powrotem na ławę. - Co zobaczyłaś?

Milczenie.

- Irene. Co zobaczyłaś?

- Zobaczyłam, Valerie, że nie masz ani śladu wybroczyń. A to znaczy, że nie jestem pewna, czy będziemy mogły nadal się przyjaźnić.

- Co to są, u diabła, wybroczyńy?

- To te ohydne małe czerwone plamki. Przez to, że kiedy się starzejesz, szwankuje szczelność naczynek krwionośnych. Mam je na cyckach i brzuchu. Małe czerwone plamki.

- Pokaż mi.

- Nie. Są ohydne.

- Ja pokazałam ci moje ciało!

- Częściowo.

- No to ty pokaż mi swoje częściowo!

- Świetnie! - Irene zrywa się i zdejmuje wszystko, co ma na sobie. - Proszę bardzo! - mówi. - Proszę cię bardzo! Całe! Widzisz? Jestem obrzydliwa. Powiedz mi prawdę, jestem obrzydliwa, czyż nie?

- Och, Irene. -Co?

- Nie jesteś obrzydliwa.

- Ale z pewnością nie jestem pociągająca. Prawda?

- Okręca się niezręcznie dookoła, a potem z lekkim zawrotem głowy siada z powrotem na ławie naprzeciw przyjaciółki. - Fuj. Na golasa ta skóra jest dziwna w dotyku.

- To skóra? - mówi Valerie. - Myślałam, że winyl.

- No tak - przyznaje się Irene. - Sztuczna skóra. Ale mimo to jest dziwaczna w dotyku.

Wstaje i zaczyna się ubierać z nadzieją, że Valerie znajdzie coś, co będzie mogła pochwalić, coś, czego aż do teraz ona, Irene, nie widziała, nie zauważyła albo nie rozumiała, że to pociągające. Ale jej przyjaciółka mówi:

- Kochanie. To nie pora na nasze ciała. - Głos ma smutny.

Irene stoi bez ruchu, białe bawełniane majtki, które trzyma w ręce, wyglądają jak znak kapitulacji.

- Chodzi mi o... Czy zresztą i tak nie gasisz światła?

- pyta Valerie.

A potem w popłochu obydwie odwracają się na odgłos otwierających się frontowych drzwi.

-Zapomniałam czegoś! - woła Sadie, wchodzi

do kuchni i zastaje matkę przyciskającą kłęb ubrań do nagiego ciała. -O.

- Cześć, Sadie - mówi Valerie.

- Cześć.

- Właśnie porównujemy ciała.

- Uhm. Okay. Muszę zabrać telefon, zapomniałam go. Do zobaczenia.

Ani jedna, ani druga kobieta nie porusza się dopóty, dopóki dziewczyna znowu nie wyjdzie. Potem Irene się ubiera w milczeniu. Kiedy ponownie siada przy stole, mówi:

- No i masz tobie. Osiem tygodni zarobku dla jakiegoś terapeuty, spokojnie.

- Chyba nie - pociesza ją Valerie.

- Naprawdę?

- Nie wydaje mi się, żeby ją to obeszło.

- Naprawdę?

- Wiesz, jak to jest, kiedy ma się tyle lat co ona. Nie myśli się o nikim poza sobą.

- Gdybym to ja miała osiemnaście lat i wróciła do domu, i zastała moją mamę gołą w kuchni z jej najlepszą przyjaciółką, bardzo by mnie to obeszło.

- No to powiesz jej później, co robiłyśmy. Zrozumie. To dobry dzieciak.

Irene wzdycha.

- Wiem, że dobry. A, jeszcze coś, ona wybiera się na wspinaczkę skałkową na cały weekend, bez opiekuna. Jak ci się to podoba?

- Myślę, że to wspaniale.

Irene nic nie mówi, ale ma na twarzy wypisane: „Zła odpowiedź”.

- A pamiętasz, co ty robiłaś, jak miałaś osiemnaście lat? - pyta Val.

- Pewnie wciąż jeszcze bawiłam się lalkami.

- Nie. Jeżeli dobrze pamiętam, pieprzyłaś się z tym perkusistą z tej okropnej grupy przez cały czas i codziennie.

- Nie przez cały czas i nie codziennie.

- Z pewnością na to wyglądało.

- To były inne czasy. Nie takie niebezpieczne. A seks był... był jak podanie ręki.

- Wiesz co, pobawiłabym się teraz lalkami, jakby ktoś się ze mną pobawił. Chcesz się pobawić lalkami?

- Nie. Papierowymi mogłabym się pobawić. Bo interesuje mnie tylko przebieranie ich. Pamiętasz te kapelusiki, które miały papierowe laleczki, z takim nacięciem, żeby można je było włożyć na głowę?

- Prawdziwe lalki też można przebierać.

- Za dużo roboty. Lubiłam te papierowe. Łatwo włożyć ubranie, łatwo zdjąć.

Valerie spogląda na zegarek.

- Słuchaj, muszę iść. Zapomnij o Donie. Napiszesz jedno z tych twoich głupkowatych ogłoszeń i za tydzień będziesz się z kimś spotykać. Żałuję tylko, że kiedyś nie napiszesz prawdziwego ogłoszenia.

- Ja zawsze piszę prawdziwe ogłoszenia!

- Nie, ty piszesz żartobliwe ogłoszenia, bo trudno ci powiedzieć cokolwiek poważnego, kiedy coś głęboko przeżywasz. A w dodatku chodzi ci o to, żebyś mogła powiedzieć: „Ha, to nie było na serio”, gdyby cię ktoś zranił.

- Dziękuję, pani doktor. Czy niedługo zobaczymy cię w programie Oprah Winfrey?

- To prawda, tak postępujesz! A dopóki jestem doktor Val, to nie martw się o Sadie. I tak nie musi już cię słuchać. To znaczy, prawnie.

- Wiem. Nie mów jej.

- Uwierz mi, ona wie. A wiesz co jeszcze? Musisz pozwolić, żeby cię trochę na poważnie znienawidziła.

- Co ty gadasz?

- Mówię, że musi czuć, że wolno jej cię nienawidzić. Inaczej nigdy się od ciebie nie uwolni.

- Łatwo ci mówić. Masz synów.

- Ale z synami jest tak samo! Moi synowie musieli mnie znienawidzić, żeby mogli odejść i dorosnąć. I nadal mnie czasami nienawidzą. Naprawdę czasami mnie ranią! Opo-
wiadałam ci, co wyprawiają. Daj spokój, Irene. Wiesz, że tak to jest. Dzieciaki są okrutne dla rodziców. Ty też tak robiłaś. Kiedy twój ojciec przyjeżdżał w odwiedziny, traktowałaś go podle, jeżeli nie w czynkach, to w myśli. A potem, jak odjeżdżał, dręczyło cię poczucie winy, bo go kochałaś.

- Kto mówi, że traktowałam go podle?

- Ty tak mówiłaś!

- No cóż...

- Muszę iść, słonko.

- Wiem.

Valerie podchodzi do Irene i ją przytula.

- Och, rozchmurz się, chmuradło, nie jest tak źle.

- Ta. Dzięki, że wpadłaś. I za operetkowy występ. Irene przygląda się z kuchennego okna, jak Valerie idzie po chodniku i znika za rogiem. Wylewa resztki

z kieliszków do zlewozmywaka. Włącza telewizor i odchodzi. Potrzebny jest jej tylko dźwięk, iluzja, że ktoś siedzi w drugim pokoju.

O dziewiątej trzydzieści Ireneę kładzie się do łóżka i otwiera książkę kucharską, którą polecił jej przeczytać Henry Bliss. Ma wybrać najbardziej kuszące zakąski i wynotować przepisy.

- Proszę dopilnować, żeby były egzotyczne i piękne! - powiedział. Zawsze jej to mówi. Kiedy ostatnim razem wręczyła mu przepisy, wziął jeden z nich w dwa palce i odsunął od siebie, jakby był nie tylko niesmaczny, ale i cuchnący.

- Rolada pizza? - zapytał. - Ja proszę o eleganckie przekąski, a ty przynosisz mi przepis na roladę pizzę?

- Zrobiłam tę roladę! - zapewniła go Ireneę. - Jest dobra! I dodaje się do niej pesto, i tapenadę z oliwek i kaparów! Czy to nie jest przynajmniej trochę egzotyczne?

- Ireneę! - westchnął Henry. - Wszyscy w San Francisco znają pesto i tapenadę. One są jak sól i pieprz!

- A ja nie sądzę, żeby wszyscy wiedzieli, co to jest tapenada - odparła, na co Henry przymknął oczy i pokręcił głową. Potem oświadczył: - Jesteś z Minnesoty. Twój współplemieńcy dopiero niedawno odkryli, że sok z cytryny nie musi pochodzić z zielonej butelki. Ale to nie znaczy, że wszyscy są tacy nieoświeceni!

Przyjdzie dzień, że wręczy mu przepis na parówki w cieście albo dip cebulowy Liptona, a tak się składa, że jej zdaniem ten dip jest przepyszny.

Kiedy Sadie wraca do domu, Ireneę już śpi z książką kucharską otwartą na stronie z przepisem na glazurowane tofu, który wymaga dodania skórki z *yuzu*, liścia

pachnotki oraz *dashi kombu*, czyli rosółu z alg. Budzi się, słysząc głos córki, podnosi się z łóżka i staje przed zamkniętymi drzwiami sypialni Sadie. Stuka delikatnie do drzwi. Słyszy, jak Sadie mówi: - Oddzwonię do ciebie - a potem: taa?

- Mogę wejść? -Taa!

Irene popycha drzwi i staje w progu. Nie jest pewna, po co przyszła. Może wciąż jeszcze śpi.

- W porządku - mruczy. - Dobranoc. - Wycofuje się, by wrócić do swojej sypialni.

- Mamo?

Irene odwraca się do niej.

- Czy coś się stało?

- Nie. A właściwie tak. Miałam ci powiedzieć przy obiedzie, ale zajęłyśmy się tą wspinaczką skałkową. Ja... Don i ja nie będziemy już się widywali.

- Och. Przykro mi. Powinno mi być przykro?

- Chodzi ci o to, czy to od niego wyszło?

- No tak. Od niego?

Irene opiera się o framugę, krzyżując ręce.

- Tak, od niego. Yhm.

- Ale... Dlaczego? - pyta Sadie. - Czy chcesz mi wyjaśnić, dlaczego?

- Tak naprawdę to nie wiem. Powiedział, że wraca do żony. Ale myślę też, że po prostu aż tak bardzo mu się nie podobam. Więc wtedy, jak wróciłaś do domu, właśnie poprosiłam Valerie... Chciałam, żeby obiektywnie wypowiedziała się na temat mojego ciała.

Sadie spuszcza wzrok.

- Wiem, że musiałaś się poczuć jak... Zresztą, tak to było. Przykro mi, że akurat na to trafiłaś.

- Nie ma problemu.

- A co u Meghan?

- W porządku.

Irenę stoi i się uśmiecha. Rozgląda się po pokoju Sadie, patrzy na plakat z Paolo Nutinim przyklejony do ściany, na liczne fotografie przyjaciół. Na komódce leży książka, którą i John, i ona czytali Sadie, kiedy była małą dziewczynką; należała do jej ulubionych. Nosi tytuł *Łódki z papieru* i jest to wiersz, który napisał hinduski poeta Rabindranath Tagore - o małym chłopcu, który wypisuje swoje imię i to, gdzie mieszka, na papierowych łódeczkach i puszcza je na wodę w nadziei, że ktoś je znajdzie i dowie się, kim on jest. Sadie widzi, że matka patrzy na tę książeczkę i pyta żartobliwie:

- Poczytać ci? - a Irenę odpowiada:

- Nie tę książeczkę.

Wraca do łóżka i leży przez jakiś czas, nie śpiąc. Przypomina sobie, jak John czytywał jej na głos, a ona jemu. Najczęściej w łóżku, ale czasami robili to w salonie na sofie, siedząc obok siebie bez kapci. Jakie to było wspaniałe. Jakie się wszystko wydawało bezpieczne, jaki to był słodki dar. Wciąż jeszcze nigdy z nikim innym tego nie robiła. Raz się zdarzyło, że facet, z którym się parę razy spotkała, to zaproponował. Wyciągnął książkę z półki i powiedział:

- Pozwól, że ci coś przeczytam.

- Czy mogę? - zapytała Irenę i wyjęła mu z rąk książkę. - Pokaż mi, który to fragment. Wolałabym go przeczytać sama.

6.

Sadie czeka, dopóki nie usłyszy, że matka zamyka drzwi swojej sypialni. Liczy do stu, powoli, a potem dzwoni do Rona.

- Cześć - mówi. - Śpisz?

- Nie. Cześć. Co robisz?

Sadie odwraca się na bok i naciąga pled na głowę.

- Nic. Tylko myślę o tobie.

- Co za zbieg okoliczności.

- Jeszcze sześć dni do soboty.

- Nieco ponad sto trzydzieści godzin.

- Jak się tak liczy, to wydaje się dłużej.

- Wciąż tego chcesz, tak? -Tak.

Przeważnie tak. Nie lubi kłamać rodzicom. Ale ani jedno, ani drugie z nich nie puściłoby jej na weekend z chłopakiem, zwłaszcza takim, którego nie widzieli na oczy! A ona nie chce, żeby go poznali, zanim... No, sama nie wie, do kiedy. Przypuszcza, że chce, żeby go poznali dopiero wtedy, kiedy już będzie go pewna. Kiedy

on będzie jej pewny. Kiedy nic nie zagrozi temu, co dla niej takie ważne, takie istotne. I takie kruche.

Patrzy na księżyc za oknem. Dzisiaj jest pełnia; pięknie było w parku. Poszli w stronę mostu Golden Gate i Ron pocałował ją mnóstwo razy, przyciskał ją do siebie coraz mocniej, aż zabrakło jej tchu i wykrztusiła, żeby przestał. I przestał, tak po prostu. Usiadł i uśmiechnął się do niej.

- Wszystko w porządku? - zapytał i na moment niemal się na niego rozzłościła. Dlaczego był taki... daleki? Dlaczego był taki spokojny i chłodny? Czy on tego w ogóle nie odczuwał? Mówił, że czuje, ale wcale nie zachowywał się tak, jakby odczuwał. Proszę, oddycha normalnie, a odrobinę rozczochrane na tyle głowy włosy są jedyną oznaką, że naprawdę niewiele brakowało do tego, by zaczęli się zapamiętali kochać. A ona wciąż z trudem łapała oddech, dzinsy miała żenująco (i niewygodnie) wilgotne, serce łomotało jej tak, że na pewno było to widać.

- Głupio mi - powiedziała.

I wtedy wyraz jego twarzy się zmienił; Ron położył się obok niej i odwrócił jej głowę tak, że Sadie była zwrócona twarzą do niego.

- Nie. Nie powinno być ci głupio. Ja czuję wszystko to samo, co ty. Tylko że ja...

Czekała, wstrzymując oddech, ale nie powiedział nic więcej.

- Tylko że ty co? - Usiadła. Zasłonił ręką twarz.

- Hej, ten księżyc jasno świeci, prawda? Nigdy nie widziałem, żeby był taki jasny, a ty?

- Co chciałeś powiedzieć? Ron miał zakłopotaną minę.
- To znaczy... Kiedy?

Westchnęła, oparła czoło na kolanach i popatrzyła na ziemię pod sobą. Trawa była srebrzysta, każda łodyżka wyraźnie zarysowana. Sadie wolałaby, żeby jej na nim nieco mniej zależało. Ale zależało jej bardzo.

On również usiadł i oparł dłoń na jej plecach.

- Jeszcze nie pora - powiedział. - To wszystko. Musisz mi po prostu zaufać. Czy spróbujesz mi zaufać?

- Naprawdę ci ufam - zapewniła, ale nie patrzyła na niego.
- Sadie?

Teraz odwróciła się do niego; miał na twarzy ten swój uśmiech, więc co mogła zrobić? Odpowiedziała uśmiechem. Pocałował ją lekko, a potem wstał i sięgnął po jej dłoń.

- Musimy odprowadzić cię z powrotem do domu.

- Nie chcę.

- Wiem. Ja też nie chcę. - Ale podciągnął ją na nogi.

Wysadził Sadie o pół przecznicy od domu, tak by ich nikt razem nie widział, ale patrzył w ślad za nią, dopóki nie doszła do drzwi, pilnując, czy jest bezpieczna. Pod tym względem był staroświecki; otwierał jej drzwi samochodu, dopóki nie poprosiła, żeby przestał. (A wtedy, co dziwne, zaczęło jej tego brakować).

Sadie przekłada poduszkę na drugą stronę i obraca się na drugi bok.

- Czy zobaczę cię jutro?

- Jutro nie.

- Dlaczego nie?

- Obiecałem matce, że pomogę jej poprzestawiać meble. A potem muszę zacząć pakować rzeczy w moim pokoju. Mama chce urządzić w nim gabinet, kiedy wyjadę na studia.

Sadie nie potrafi sobie tego wyobrazić; przecież jej pokój w domu ojca w St. Paul został tak pieczołowicie zachowany! Pewnie oczekiwała, że Irenę postąpi tak samo z jej pokojem tutaj. Jakie by to było uczucie, gdyby mama tego nie zrobiła, gdyby tak samo nie mogła doczekać się wyjazdu córki, jak ona sama? Dziwny pomysł; w głowie się nie mieści!

- No a co z poniedziałkiem? - pyta.

- W poniedziałek też nie. Nie mogę ci powiedzieć, dlaczego. Niespodzianka.

- Naprawdę? - pyta Sadie.

- Naprawdę.

Ron nie proponuje: „Zaplanujmy coś na wtorek”, a ona też nie ma zamiaru tego powiedzieć. Są chwile, kiedy jej serce pikuje na łeb, na szyję, chwile, kiedy on mówi albo robi coś, co każe jej myśleć, że to wszystko mogłoby się skończyć, tak po prostu. A wtedy, gdyby rodzice o nim wiedzieli, byłoby okropnie. Irenę próbowałyby pomóc, przychodziłyby i siadała na łóżku, pytając:

- Czy chcesz porozmawiać? - a to tylko pogarszałoby sytuację. A ojciec! On powiedziałaby:

- Kim był ten facet? - A potem starałby się ją pocieszyć tak, jak to robił, kiedy przegrywała mecz.

- Proszę cię, wierz mi, Sadie.

- Wierzę ci. - Tylko że nie tak do końca. Och, to

okropne, kiedy człowiekowi na kimś tak bardzo zależy. - Zresztą - ciągnie. - Chciałam ci tylko powiedzieć dobranoc. I... Sama nie wiem. Nic. Dobranoc.

- Dobranoc. - Jego głos jest cichy, brzmi, jakby był senny. Aż jej się od tego podkurczają palce u nóg. Dlaczego on nie powie czegoś o wtorku? Czy już zaczyna być nią zmęczony?

Ale teraz Ron się odzywa:

- Sadie? Znasz te piosenki, te opowieści, to gadanie o ludziach, którzy czują się tak, jakby byli dla siebie stworzeni? Tak ja się czuję w stosunku do ciebie. Czuję się jak... sam nie wiem. Jakbyśmy dokładnie do siebie pasowali. Nie wiem czemu, a przynajmniej nie potrafię teraz tego powiedzieć. Ale... Zasypiaj z tą myślą, dobrze?

- Dobrze. - Sadie czuje się już lepiej. - Pewnie powinnam kończyć.

Mówi to w sposób, który pozwala jej mieć nadzieję, że Ron zaprotestuje: „Nie. Pogadajmy do rana”. Ale on tego nie mówi. Rzuca jej „dobranoc” i już go nie ma.

Sadie trzyma telefon nad sercem. Dopiero co byli razem, dopiero co rozmawiała z nim po tym, jak się widzieli, ale czuje się osamotniona. Leży przez chwilę, słuchając płynących z zewnątrz cichych odgłosów ulicznego ruchu. Myśli o ojcu, który na pewno teraz śpi; wyobraża go sobie w podkoszulku i spodniach od piżamy, i tęskni za nim. To uczucie rozkwita w jej piersi: tęskni za nim. Jest taki miły! Jest mądry, zabawny, jest kreatywny. Sympatycznie wygląda. Gdyby matka poznała go dopiero teraz, zakochałaby się w nim. Co za ironia.

Słyszy, jak drzwi pokoju matki otwierają się, a potem słyszą odgłos splukiwanej toalety, szum ciekącej wody. Myśli o tym, że matka poprosiła Valerie, by ta wyraziła obiektywną opinię o jej ciele. Boże! Powinna przestać tak bardzo się starać. Właściwie to Sadie mogłaby niejednego nauczyć matkę na temat mężczyzn, gdyby tylko matka zechciała posłuchać. Ale nie zechciałaby.

Starając się pomóc rodzicom, Sadie dowiedziała się o wielu rzeczach, których nie należy robić. Ale co należy robić? Żal jej ich obojga. Czasami patrzy na matkę, która stoi przy kuchence, przygotowując coś na obiad,

1 co widzi? Nie wie, ale serce jej się ściska. Czoło matki zmarszczone z wysiłku. Ten głupi fartuch, opadające skarpetki; ciągle kupuje takie niemądre skarpetki, a potem pokazuje je Sadie i pyta: „Czyż nie są słodkie? Takie trochę wystrzałowe, nie? Pomyślałam, że są takie słodkie”. Od czasu do czasu Sadie przynosi matce coś w prezencie, jak wtedy kiedy była mała. Taki prezent bez powodu: babeczkę. Szalik. Książkę. A matka jest zawsze taka wdzięczna. Za bardzo wdzięczna, jak pies. Wtedy Sadie zaczyna się złościć, że w ogóle jej coś dała, ale i tak pójdzie i znowu coś dla niej kupi.

Patrzy na książkę na komódce, tę, którą chciała poczytać matce, a którą matka z miejsca odrzuciła. Sadie wie czemu. Jak tylko złożyła tę propozycję, natychmiast tego pożałowała. Przypomniałyby im się czasy, kiedy jeszcze byli razem, mama nie musiała ślęczeć z niezadowoloną miną nad kalkulatorem i obliczać podatków, a ojciec dostawał domowe ciasto w swojej kuchni, zamiast kupować te żalosne odkrojone porcje w trumienkach z plastiku.

Ludzie są głupi. Dlaczego są tacy głupi? Istnieje algorytm, według którego zostali zaprogramowani: kochaj i bądź kochany. Postępuj zgodnie z tą zasadą, a będziesz szczęśliwy. Sprzeciwiaj się, a nie będziesz. To takie proste, że aż trudno zrozumieć.

Sadie zamyka oczy i widzi twarz Rona, jego długie rzęsy, pełne usta, włosy opadające mu na oko. Jego długie nogi i to, jak powoli wkłada kurtkę. Robi jej się jakoś tak rzewnie, czuje pragnienie, które w dużej części jest frustracją. Jej uczucie dla niego jest takie ogromne, takie skomplikowane, takie wymagające.

- Ufam ci - szepcze. Czasami, jak się coś powie, to się to coś ziści.

7.

W poniedziałek wieczorem John i Amy siedzą u niego przy stole kuchennym, kończąc obiad. John przyrządził *cacciatore* z kurczaka, z którego jest irracjonalnie dumny (sekret polega na dodaniu obfitej dawki goździków). W którymś momencie Amy pokazała ręką na własną brodę, by dać mu znać, że ma coś na swojej, a Johnowi spodobało się to, jak naturalnie układają się ich kontakty. Amy pokazała, on wytarł brodę - gotowe. Możecie sobie mówić, co tylko chcecie, o wspaniałych i cudownych aspektach odurzających romansów - wygłaszać przydługie i poetyczne deklamacje na temat miłości, *Sturm und Drang*, pocałunków w niesionym wichrem deszczu - a John i tak najlepiej lubi owe ulotne i niedramatyczne chwile, które przyczyniają się do tego, że czujemy się swobodnie i komfortowo, które dają nam poczucie zakotwiczenia w związku. Poczucie, że nie jesteśmy na służbie. Pokazujesz się na pierwszej randce, mając na nogach najlepsze buty, z nadzieją, że dotrzesz do etapu, kiedy będziesz mógł te buty zdjąć, tak właśnie uważa.

Amy zjada ostatni kęs, a potem składa serwetkę przy talerzu.

- Dziękuję ci. To było pyszne.

- Proszę cię bardzo. Cieszę się, że ci smakowało.

- Czy mogę dostać przepis?

Możesz dostać kucharza! - to zdanie wpada mu nagle do głowy, ale nie wypowiada go na głos, oczywiście, że nie, jest za wcześnie na takie oświadczenia.

- Z radością dam ci przepis - mówi.

- Hej, wiesz, co mi się dziś przydarzyło?

John odchyła się do tyłu na krześle, krzyżuje ramiona, uśmiecha się.

- Nie. Co ci się dziś przydarzyło?

- No więc postanowiłam pojechać do pracy autobusem zamiast samochodem. Weszłam do środka i usiadłam blisko kobiety, która zaczęła płakać. Płakała bardzo cicho, tylko od czasu do czasu podnosiła rękę i ocierała łzę. Miała taką chustkę na głowie, taką złachaną starą kwiaciastą chustkę, ale czystą i bardzo porządnie zawiązaną. A na kolanach trzymała torebkę i ścisnęła ją tak, jakby to były czyjeś dłonie. Z początku chyba nikt nie widział, że płacze, ale potem wszyscy wokół to zauważyli. I zrobiło się bardzo cicho. A potem w końcu jakiś mężczyzna na tyle autobusu wstał, podszedł, usiadł obok niej i objął ją ramieniem, i słowa nie powiedział, tylko wpatrywał się wprost przed siebie i ją obejmował, a ona dalej płakała, ale teraz już było lepiej, było to widać, tak jakby się leciutko uśmiechała, mimo że wciąż płakała. I nawet nie wiem, czy on ją znał! Myślę, że wszyscy się zastanawiali nad tym samym: czy on ją

w ogóle zna? Ja myślę, że musiał ją znać; inaczej pewnie byłaby się zerwała i zaczęła krzyczeć albo coś, ale nigdy nie wiadomo! Nie wiadomo, to mógł być ktoś, kto jej współczuł, bo płakała. I postanowił, że ją pocieszy. A ona mu pozwoliła. I myślę, że to było coś w rodzaju cudu. Żywa przypowieść czy coś w tym rodzaju. Do tego taka ciekawa! Pomyślałam: Będę codziennie jeździła tym autobusem! To jest wspaniałe! I pomyślałam jeszcze: Widzisz? Tylko tego trzeba, ludzie są sobie nawzajem potrzebni. I chyba zawsze wychodzi z nas to, co najlepsze, kiedy dopuszczamy się nawzajem do siebie, do tego, co jest nam potrzebne. Myślę, że wszyscy wokół tej kobiety czuli się tak, jakby chcieli wiwatować, wszyscy czuliśmy się wspaniale, bo ona poczuła się lepiej. Oczywiście nie wiwatowaliśmy, to byłoby... No, to byłoby jak na jednym z tych filmów, kiedy widzi się taką scenę, to człowiek tylko przewraca oczami i ma ochotę wyjść, kupić sobie więcej popcornu. Ale wszystko jedno, nikt nie wiwatował, nikt nawet wprost na tę parę nie patrzył, poza jedną młodą kobietą, z którą tak jakby coś było nie w porządku, bo tylko gapiła się prosto na nich i mamrotała do siebie. Ale przez to wszystko zaczęłam myśleć... No, ogarnęło mnie takie przemożne uczucie... sama nie wiem. Wszyscy jesteśmy jednością. Naprawdę wszyscy jesteśmy jednością.

John pochyla się do przodu.

- Widzę, że LSD w czerwonym sosie zaczyna działać. Amy czerwieni się i podnosi rękę do policzka.

- Och, Boże, za dużo mówiłam, prawda? Zawsze za dużo mówię. Nie żebym zamierzała, ale jest tak,

jakby te wszystkie myśli zaczęły zabiegać o to, żeby dać im przydział: „wybierz mnie, wybierz mnie"! - a ja nie wiem, co mam wybrać, no i wiesz, wybieram je wszystkie, a wtedy zaczynam za dużo mówić. I już nie mogę przestać, tylko mówię i mówię. Jak widzisz. Chociaż czasami pamiętam, że mówię za dużo, i wtedy nie mówię nic. A to też źle. Chociaż prawdopodobnie nie tak bardzo. Och, popatrz tylko, biegunka słowna, przepraszam cię, wyjmij mi baterijki.

John śmieje się i pochyla nad stołem, żeby pocałować ją w czoło.

- Uwielbiam słuchać, jak mówisz. I wiem, o co ci chodzi. Wiem dokładnie, o co ci chodzi. - Pokazuje na frontową werandę. - Chcesz wyjść i klapnąć sobie?

Amy z radością kiwa głową.

- Tylko najpierw pozmywajmy.

- Nie, nie; ty jesteś gościem. Pozmywam później. Amy waha się, a potem mówi:

- Ja nie chcę być gościem. Chcę ci pomóc posprzątać. Okay?

- Okay.

Ale coś się w nim zmienia. Mówiąc to, czuje się podenerwowany i wydaje mu się, że ona to słyszy; a on zaczyna żałować, że w taki sposób zepsuł nastrój.

Sprzątają razem w kuchni, Amy ostentacyjnie milczy, wsunęła sobie ścierkę za pasek spódnicy. Dobrze im się razem pracuje, John czuje, że zaczyna się odprężyć. Amy bardzo mu się podoba. Naprawdę ją lubi. Kobieta, która za dużo gada i przyznaje się do tego, jakież to odświeżające. A to, że tak dużo gada, jest bardzo miłe, to miła ulga po tych małomównych, które zachowują chłodną rezerwę i mają za złe.

Pod koniec Irenę była zimna w ten właśnie sposób. Na kilka dni, zanim odeszła, siedziała sztywno na sofie obok niego, a on ją zapytał:

- Dokąd odchodzisz, kiedy tu jesteś? Oglądali wtedy *Meet the Press*, program, który kiedyś cieszył ich oboje i przy którym nawet reklamy sprawiały im przyjemność, ponieważ dzięki nim mieli czas porozmawiać z podnieceniem o tym, co właśnie usłyszeli. Mieli takie same poglądy polityczne, a to jeszcze wzmacniało poczucie bliskości, gdy dyskutowali o tym, co uważali za grube błędy rządu. Pod koniec Irenę już nie rozmawiała z nim podczas reklam, tylko zamiast tego wpatrywała się prosto w ekran. Oboje tak robili. Przyglądali się z pozornym zainteresowaniem czemuś, co żadnego z nich w ogóle nie interesowało. Siedzieli bez ruchu, bez słowa, jak manekiny, ale ich twarze wyprane były nawet z tego niemal nieobecnego wyrazu, jaki mają manekiny w witrynach sklepowych.

Tamtego dnia, kiedy zadał jej pytanie, dokąd odchodzi, kiedy jest tutaj, przewróciła oczami i wyszła, a on oglądał program do końca sam. Poczul w środku dobrze znany ból, gdy uświadomił sobie, że wszystko w ich małżeństwie zakończyło się albo smutkiem, albo gniewem. Próbował określić, kiedy to się zaczęło, ale nie potrafił wskazać konkretnego momentu. Próbował odgadnąć, co było powodem, ale tak naprawdę żadnego nie było. To się po prostu stało. Stara historia, która właśnie im się przydarzyła: nastąpił szczególny rodzaj erozji, nie zajęli się nią w odpowiedni sposób, rozrosła się i w końcu już nic nie dało się z nią zrobić.

Kiedy John był w trzeciej klasie liceum, grał w sztuce, w *Antologii Spoon River* Edgara Lee Mastersa. Występował w roli Fletchera McGee, a pierwsze jego słowa brzmiały: „Odbierała mi siły po minucie, odbierała mi życie po godzinie”. Niepokoiły go te słowa, podobnie jak słowa wypowiedane przez bohaterkę sztuki, Mabel Osborne (grała ją Jill Santos, promienna brunetka, w której był ogromnie, beznadziejnie zadurzony).

Mabel, wypowiadając się o pelargonii posadzonej na swoim grobie, mówi: „Wszyscy wiedzą, że umierasz z pragnienia, a przecież nie przynoszą ci wody! Mijają cię, mówiąc: «Ta pelargonie potrzebuje wody»”. Przez całe tygodnie, kiedy odbywały się próby, słysząc raz za razem te słowa, John zastanawiał się, jak między ludźmi, którzy byli kiedyś zakochani, mogło dojść do czegoś takiego. Gdyby tylko udało mu się zwrócić uwagę Jill na siebie, ożeniłby się z nią i nigdy by się tacy nie stali. Byliby szczęśliwi, mieliby gromadkę ładnych dzieci, które ze śmiechem gonilyby się po trawniku przed domem. Później, kiedy jego małżeństwo z Irene tak kompletnie się rozleciało, zrozumiał aż za dobrze, jak to było z tą zaniedbaną pelargonią. Taka sytuacja szybko robi się paskudna, a wtedy chcesz tylko, żeby wreszcie zdechła do końca i żebyś mógł mieć ją z głowy.

Ale Amy. Kolejną dobrą stroną Amy jest to, że nie lubi podróży i nie wierciłaby mu przez cały czas dziury w brzuchu, żeby pojechać tu albo tam. Irene tak postępowała, a to zawsze budziło w nim poczucie, że dom z nim nigdy jej nie wystarczy, że pragnie pojechać do Włoch,

do Afryki, chce kupić letni dom, żeby nie siedzieli tu przez cały czas.

Powiedziała to, wyglądając przez okno na podwórko za domem pewnego deszczowego dnia, a on miał ochotę zapytać: Co ty widzisz, kiedy to mówisz, Irenę? Trawę, którą w końcu doprowadziliśmy do takiego stanu, że cudownie jest chodzić po niej boso? Ten mały warzywniak z siatkowym płotkiem, nad którym napracowała się Sadie, żeby go postawić, a potem z dumą go obfotografowała? Krzew amerykańskiej borówki, przy którym ty sama się upierałaś? Linę do huśtania się pod wiałem? A może ten dwuosobowy hamak, do którego pewnego wieczoru, kiedy Sadie spała w swoim pokoju na górze, wleźliśmy i kochaliśmy się tam bardzo pomysłowo? Nie zapytał jej o to. Zapytał ją natomiast, dlaczego ciągle chce wyjeżdżać z domu, a ona obrzuciła go miażdżącym spojrzeniem i oznajmiła: „Ludzie wyjeżdżają na wakacje, Johnie. Ludzie muszą wyjeżdżać na wakacje”. No cóż, on nie musiał. Całe to pakowanie i rozpakowywanie. Te okropne stosy poczty po powrocie, to zapomniane skwaśniałe mleko w lodówce. Amy była kobietą, która najwyraźniej podzielała jego przekonania, kobietą, dla której wakacje oznaczały, że nigdzie w ogóle się nie wyjeżdża.

Powiedzenie jej prawdy, że nie jest wdowcem, staje się coraz ważniejsze. Musi to zrobić tego wieczoru.

Jak tylko usadowili się na werandzie z kieliszkami wina, Amy nagle wyprostowała się na fotelu.

- John, muszę ci coś wyznać.

John śmieje się.

- Zabawne, że to mówisz. Ja też.

- Czy mogę ja pierwsza?

John zaprasza szerokim gestem: Proszę cię bardzo. Amy spuszcza wzrok, wtyka pasemko włosów za ucho i mówi cicho:

- To będzie o moim mężu, o tym kiedy umierał. Chyba wspomniałam ci, że umarł w domu.

Zerka szybko na Johna, który przytakuje.

- No więc tego ostatniego dnia siedziałam obok niego i nie spałam przez całą noc - znowu - i byłam taka wyczerpana, aż do szpiku kości. A on był już wtedy naprawdę w fatalnym stanie. Przykro mi, że tak to określam, ale był w fatalnym stanie, i na dodatek sam tak o sobie mówił. Nawet któregoś dnia śmialiśmy się z tego. Poprosił o lusterko, przejrzał się w nim i na chwilę całkiem osłupiał; a potem po prostu zaczął się śmiać, i ja też. Och, to był taki dziwaczny i zarazem cenny moment.

- Tak czy owak, w ogóle nie był do siebie podobny. A w pokoju czuć nim było. Naprawdę, czuć było cały czas, i żebym nie wiem co robiła, nic nie pomagało. Ale tamtego dnia siedziałam z nim, a wtedy nagle zaczął mieć kłopoty z oddychaniem, nie mógł złapać powietrza i charczał, i... - Przerywa, zbiera się w sobie. - Na tym etapie nie mógł już mówić, ale wiedziałam, że ma kłopoty z oddychaniem. I wiedziałam, co zrobić, żeby mu pomóc; robiłam to już wcześniej. Milion razy poprawiałam go, odsysałam. Ale tym razem nic nie zrobiłam. Po prostu tam siedziałam. A on umarł.

Patrzy na niego, oczy ma pełne łez.

- Lekarz powiedział mi, że nie pożyłby już długo, może jeszcze kilka dni, ale wtedy pozwoliłam mu umrzeć. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Ale w tych ostatnich chwilach patrzył na mnie, bo potrzebował pomocy, a ja nic nie zrobiłam.

Myślę, że miał świadomość, że z rozmysłem nic nie robię. A w jego oczach była tylko... - Amy przełyka z trudem. - A w jego oczach była tylko miłość. Nie miałam prawa tego robić. Tak bardzo nie miałam prawa. I ciągle stoi mi przed oczami tamta chwila. Żałuję, że mu nie pomogłam. Ale nie zrobiłam tego. Na pewno pomyślisz, że jestem okropna. Zabiłam go. -Amy.

- Zabiłam!

- Rak go zabił.

Amy nic nie mówi, ociera łzę z jednego oka, potem z drugiego.

- Zastanawiam się, czy był ci wdzięczny.

- Nie sędzę, żeby był wdzięczny. - Pierś jej drga od powstrzymywanego szlochu.

- No cóż, chcesz, żebym ci powiedział, co myślę? Amy kiwa głową.

- Myślę, że ostatnią rzeczą, jaką widział, była żona, która go kochała i nie chciała, by dłużej cierpiał. Wiedział, że umrze. Myślę, że mógł na przykład umrzeć, straciwszy przytomność. Albo sam, po jeszcze dłuższych cierpieniach. Zamiast tego umarł, patrząc w twarz osobie, która kochała go najbardziej, tej, którą sam najbardziej kochał. Dla mnie to dobra śmierć.

- Ale chodziło o to, żebym to ja dłużej nie cierpiała! John czeka chwilę, zanim się odezwie, oceniając zapadłe między nimi milczenie. Potem mówi:

- Wiesz, kilka lat temu czytałem w gazecie taki artykuł, którego nigdy nie zapomnę. To było o mężczyźnie, która zabił swoją żonę, strzelając jej w tył głowy. Byli starzy, mieli niemal po dziewięćdziesiąt lat, a ona chorowała na alzheimera; opiekował się nią całe lata. Wyobrażam sobie, że nie wystarczy powiedzieć, że było to trudne. Pewnego dnia na moment odzyskała pełną jasność umysłu. I to w tym momencie ją zastrzelił. Przyznał się natychmiast, wezwał z miejsca policję. Na procesie obecne były wszystkie jego dzieci: I wszystkie stały bez reszty po jego stronie. W pierwszej chwili myślałem, że to dlatego, że w tym momencie przytomności umysłu ta kobieta musiała go poprosić, by ją uwolnił. Ale potem doszedłem do wniosku, że mogło to być dużo bardziej skomplikowane, że mogła go wcale nie poprosić. Mogło chodzić o to, że kiedy zobaczył, że jego żona znowu jest sobą, to przeważało szalę, ponieważ wiedział, że taki stan się nie utrzyma, a nie mógł znieść myśli, że znowu ją utraci. Albo może chciał, by była świadoma, jaki jest jego ostatni dar dla niej. Tak czy owak wydaje mi się jasne, że to co zrobił, było aktem miłosierdzia, a nie wrogości. I uważam, że jego dzieci też tak myślały. Amy milczy. Potem mówi:

- No cóż, po prostu musiałam to komuś powiedzieć. - Wiem, że to mnie z niczego nie rozgrzesza, ale... Po prostu musiałam to komuś powiedzieć. Tobie. Potrzebowałam tego, chciałam, żebyś to o mnie wiedział.

- Cieszę się, że mi powiedziałaś.

Amy odchyła się do tyłu na fotelu i wzdycha. - No tak. A do czego ty miałaś się przyznać?

John się waha. Czy to bardzo zły moment, żeby akurat teraz jej o tym mówić? A może przyczyni się to trochę do tak pożądanej poprawy nastroju? Nie jest pewien.

- Wszystko jedno - mówi. - Nie teraz.

- Och, nie - reaguje Amy. - Musisz mi powiedzieć. Nie może to być nic aż tak złego jak to, co ja ci powiedziałam.

- Powiem ci kiedy indziej.

- Powiedz mi teraz.

- No dobrze - decyduje się John. - W porządku, powiem ci. Chodzi więc o to, że... Że poznałem cię w fałszywej sytuacji. Nie fałszywej. To przypadkowe kłamstwo. Nie jestem wdowcem, Amy. Jestem rozwiedziony.

- Co? - Amy marszczy brwi.

- Nie jestem wdowcem. Jestem rozwiedziony. Moja była żona mieszka w San Francisco. Ma na imię Irenę. Tamtego wieczoru przyszedłem do kościoła, szukając grupy dla rozwiedzionych rodziców. Ale zobaczyłem ciebie i...

- Och, mój Boże. To dlatego nigdy nic nie mówiłeś! Ty tylko... szukałeś przygody!

- Nie, to nie tak. Chcę powiedzieć, że kiedy szedłem za tobą, nie wiedziałem, że znajdę się na tym spotkaniu. Poszedłem za tobą, bo myślałem, że idziesz do grupy dla rozwiedzionych.

- Ale musiałeś od razu się zorientować, że jesteś w niewłaściwym miejscu!

- No tak. Ale wtedy ja już... No, bardzo się tobą zainteresowałem. Więc po prostu zostałem. Chciałem ci powiedzieć od razu, ale...

Amy wstaje.

- Muszę iść.

John podnosi się z fotela i robi krok, żeby stanąć przed nią. Zaczyna ją obejmować, ale Amy odsuwa się od niego.

- Amy, słuchaj, wiem, że to musi wyglądać, że ja...

- Muszę się nad tym zastanowić. Teraz po prostu muszę iść do domu.

- Dobrze, ale proszę, zrozum. Tak bardzo mnie pociągałaś. To było takie zaskoczenie, od tak dawna tak się nie czułem, nie wiedziałem, co zrobić. I jakoś mi się wydawało, że nigdy nie była właściwa pora, żeby ci powiedzieć prawdę.

- Przysłuchiwałeś się, jak tylu ludzi mówiło o swoich prywatnych sprawach!

John zwiesza głowę.

- Oni ci ufali!

- Wiem.

Amy wchodzi do domu - pewnie po torebkę i sweter. Tak. I wychodzi znowu z kluczykami do samochodu w dłoni.

- Tak bym chciał, żebyś nie odchodziła.

- Muszę.

- Pozwól, że odprowadzę cię do samochodu.

- Stoi tuż przed domem.

- Wiem, ale mimo to pozwól.

- Nic mi nie będzie. - Zbiega po schodkach i szybko idzie po chodniku.

- A może zadzwoniłbym do ciebie później? Nie ma odpowiedzi.

- Amy?

Amy odwraca się.

- Potrzebuję trochę czasu, Johnie, dobrze? Zadzwoń do ciebie, jeżeli... zadzwonię do ciebie.

Znika w samochodzie i odjeżdża.

John patrzy na fotel, w którym siedziała. Na jej kieliszek, wciąż w połowie pełny. Wypija wino, aż do przesady świadom plamy ze szminki na szkle. Jest również świadom, że powinni grać teraz Twins, i nienawidzi siebie za to, że coś takiego w ogóle mu przyszło na myśl. Ale. No właśnie.

Wchodzi do domu i włącza telewizor. Cholerny świat. Mogła być kandydatką. Patrzy na zegarek, jakby chciał oszacować, ile ta znajomość trwała. Cholerny świat.

Skupia uwagę na ekranie.

- Dno - mówi. - Aut.

8.

W sobotę rano Irenę wstaje wcześniej, żeby zrobić Sadie śniadanie, zanim córka wyjedzie wspinać się na skałki. Przygotowuje owsiankę z rodzynkami, suszonymi morelami i orzechami włoskimi, pszenną grzanekę z masłem orzechowym, miseczkę z pokrojonym melonem, truskawkami i bananami. Kiedy Sadie wchodzi do kuchni, tak zaspana, że aż niezdarna, staje jak wryta na widok tej uczyty.

- Daj spokój - mówi Irenę. - Musisz być dobrze odżywiona, jeżeli masz się wspinać.

- Tak, ale nie potrzebuję...

- Jeżeli nie chcesz wszystkiego, to nie zjedz wszystkiego.

Sadie wsuwa się na ławę, odgarnia sobie włosy z czoła.

- Przestań się wkurzać.

- Nie wkurzam się.

Sadie dmucha na owsiankę i podnosi łyżkę do ust.

- A właśnie że tak.

- Nie mów z pełnymi ustami.

- Przestań być taka wkurzona! Irenę siada przy stole.

- Przepraszam. - Wyciąga rękę, bierze leżącą na wierzchu w misce owoców Sadie truskawkę i zjada. Mam złe przeczucia co do tego, chce powiedzieć. Mam bardzo silne przekonanie, że zdarzy się coś złego. Zamiast tego mówi: - Pewnie się tylko denerwuję, że chcesz to robić.

- Dlaczego?

- To niebezpieczne, Sadie.

- Tak naprawdę to nie. Wdrapiemy się na małą skałkę, rozbijemy obóz na noc, a następnego dnia zejdziemy.

- Kto jeszcze tam się wybiera?

- Koledzy z mojej klasy, mamó. Nie znasz ich. Jaki to ma sens, żebym ci znowu recytowała ich nazwiska?

- Okay. - Matka podchodzi do kuchenki i zaczyna ją szorować. Przez chwilę słychać tylko podzwanianie łyżki Sadie o miskę.

W końcu Irenę wraca do stołu i siada.

- Wiem, że jestem nadopiekuńcza - mówi.

- Tak, powinnaś była mieć więcej dzieci. Dziesięcioro albo jedenaścioro. Trochę by ci się ten niepokój lepiej rozkładał.

- Może i tak. - Irenę się uśmiecha.

- Nic mi nie będzie. Naprawdę.

- Okay, ale... Zadzwoń do mnie i daj mi znać, że wszystko w porządku, dobrze? Wystarczy króciutki telefon, kiedy już będziesz na górze, i króciutki, kiedy zejdziesz na dół. Nie musisz nawet nic mówić. Zadzwoń tylko i powiedz: „To ja”, i się wyłącz. Kiedy będziesz

mogła. Co powiesz? Gdybym nie odebrała, zostaw mi wiadomość.

- Pracujesz dzisiaj?

- Dzisiaj mam przyjęcie wieczorne w jakiejś rezydencji; jutro mamy brunch na Sea Cliff.

- O rany. Tam chyba mieszkają gwiazdy filmowe. Czy to w domu jakiejś gwiazdy? Czy będziesz podawała kanapeczki jakiejś primadonnie?

- To dom jakiegoś oficjela. Jediną primadonną będzie Henry Bliss.

- Biedny Henry - mówi Sadie, wsadzając sobie kawałek melona do ust.

- Biedny Henry?

Sadie wzrusza ramionami.

- To artysta. Jest denerwujący wyłącznie dlatego, że tak przejmuje się swoją robotą. Tak czy owak, kochasz go, tylko nie chcesz się do tego przyznać. - Wstaje, wygina się do tyłu i przeciąga. - Okay, dzięki za śniadanie.

Irenę patrzy na do połowy pełną miskę owsianki i nie-
tkniętą grzanekę.

- Co, już skończyłaś?

- Wiesz, że nigdy z samego rana nie jestem głodna. Wiesz to, prawda? To znaczy dzięki, że to zrobiłaś, ale jeszcze nie zgłodniałam.

Irenę kiwa głową. Przestań się wkurzać.

- Chcesz wziąć ze sobą trochę batoników energetycznych?

- Mam jednego w plecaku. - Podnosi wzrok na zegar kuchenny. - Wezmę prysznic i przygotuję się. Nie sprzątaj niczego; może zjem jeszcze trochę, jak wyjdę.

Owsianka już zdąży wystygnać, myśli Ireneę. A Sadie, jakby czytała jej w myślach tak, jak to czasem robi, odwraca się i dodaje;

- Mikrofalówka.

Ireneę podchodzi do kuchennego okna i wygląda na zewnątrz. Dużo mgły dzisiaj. Czy tylko tu, czy wszędzie? Słońce ją wypali. Proszę, niech ją wypali. Sadie osuwa się na ziemię, ktoś mówi: „Sam nie wiem; pewnie nic nie widziała”

Dzwoni telefon, a kiedy Ireneę odbiera, Henry wzdycha:

- Wiedziałem. Dlaczego wciąż tam jesteś? Dlaczego jeszcze nie jesteś na zakupach? Wszystkie dobre produkty się skończą.

- Henry - protestuje Ireneę. - Jest ósma rano.

- O to mi chodzi.

- Daję córce śniadanie.

- Nie umie sama jeść?

- Cha, cha. - Słyszy, jak Sadie wyłącza prysznic. Najkrótszy prysznic na świecie. Po prostu nie może się doczekać, żeby spaść z tej skałki.

- No to kiedy wyjdiesz? - pyta Henry.

- Za jakieś piętnaście minut.

- A więc proszę dopisać coś do listy.

Ireneę podchodzi do szuflady z różnościami i wyciąga ołówek.

- Okay. Słucham.

- Czy masz ołówek?

- Tak, Henry, mam ołówek. I do tego trzymam go w ręce.

- W porządku, proszę pisać. Irenę przewraca oczami.
- Migdały marcona. Proszę kupić pół kilograma.
- W porządku. Niedługo się zobaczymy.
- Proszę chwilę poczekać. To nie wszystko.
- Co jeszcze?
- *Piment d'Espelette*.

O Boże, nienawidzi tego, kiedy musi pytać. Zanim poznała Henry'ego, uważała się za całkiem wyrafinowaną kucharkę. Już nie.

- Co to jest? Henry wzdycha.
- Henry, proszę mi to po prostu powiedzieć.
- To chili w proszku, bardzo grubo mielone, zrobione z papryczek espelette. Naprawdę o tym nigdy nie słyszałaś?

- Szokujące, wiem - mówi Irenę, nie dodaje natomiast, że nie ma również pojęcia, co to są migdały marcona, ale przynajmniej wie, że to migdały. A teraz, po zastanowieniu, przypomina sobie, że to hiszpańskie migdały, bardzo delikatne, i wie dokładnie, gdzie ich szukać w sklepie.

- Co będziemy robili z tych migdałów i chili? - pyta.
- Prażoną kukurydzę.
- Żartujesz sobie ze mnie?
- Nie, Irenę, nie żartuję sobie z ciebie. - Irenę widzi go, jak stoi tam niczym mały Napoleon; ma na sobie koszulę tak białą, że oczy bołą, perfekcyjnie zawiązaną muchę, czarne dżinsy zaprasowane w ostry jak brzytwa kant, fartuch w białe i czarne pasy oraz eleganckie bifokale. - Tak się składa, że smakuje bajecznie.

- Nie mam wątpliwości.

Słyszysz, jak Sadie coś do niej woła, i mówi Henry'emu, że musi iść.

- Proszę podpiąć włosy do góry - mówi Henry.

- Przecież zawsze to robię.

- No cóż - odpowiada nadętym głosem. - W pewnym stopniu.

- W porządku - zgadza się Irene. - Ruszam w drogę.

- Chwileczkę, proszę poczekać. Skoro i tak jesteś spóźniona, możesz równie dobrze pojechać do sklepu z serami i kupić trochę gorgonzoli z zalewy, trzy kilogramy, a do tego jeszcze tylko kilogram sera Ubriaco. A, i jeszcze nowe girolle.

- Ile tego nowego girolle?

- Girolle - mówi powoli Henry - to narzędzie, Irene. Używa się go, żeby ze szwajcarskiego sera *tête de moine* robić te małe *rosettes*. Pamiętasz?

- Och! Tak. A więc... jedno girolle.

- Tak. W porządku, jadę do tego domu. Zobaczymy się na miejscu. Proszę pójść do tylnych drzwi. Do drzwi kuchennych.

- Coś takiego, nie powinnam zadzwonić do drzwi frontowych i powiedzieć: O rany! Ależ ten dom jest wielki! Co wy wszyscy będziecie robić w takim wielkim domu? A niech to szlag!

- Proszę mi przypomnieć, żebym na ciebie nawrzeszczał, kiedy tu dotrzesz; teraz nie mam czasu.

- Och, nie będziesz potrzebował, żebym ci przypominała.

- Całuję i ściskam. Irene odkłada słuchawkę.

9.

Sadie stoi rozdygotana na rogu, na którym miała się spotkać z Ronem. Ron się spóźnia i zaczyna być zła. To nie jest dobry znak, myśli. Z taką właśnie niedbałością zachowywał się chłopak Meghan, zanim ją rzucił: spóźniał się, nie dzwonił tak często. A Meghan to po prostu zносиła. Później powiedziała, że żałuje, że mu za to w jakiś sposób nie odpłacała: nie umówiła się z nim gdzieś i nie przyszła, nie wybrała się gdzieś z innym facetem. Uważała, że była zbyt uległa, dała zrobić z siebie popychadło i to go przede wszystkim zraziło, zachęciło do złego traktowania.

- Nie możesz dopuścić, by cię nie doceniali - powiedziała.

Sadie próbuje dzwonić do Rona, ale odzywa się tylko jego poczta głosowa: wysłała też do niego dwa SMS-y i żadnej reakcji. Ma nadzieję, że to, że nie pojawił się na czas, ma coś wspólnego z niespodzianką dla niej, o której mówił; może kiedy tę niespodziankę zaprezentuje, nieważne, co to będzie, Sadie zapomni o tym, że się spóźnił.

Zerka na zegarek i widzi, że czeka od dwudziestu siedmiu minut. Stoi tu niemal od pół godziny! Rozgląda się po ulicy w jedną i drugą stronę; z rozmysłem wybrali tę spokojną uliczkę. I to na tym rogu mieli się spotkać, jest tego pewna. Przypuszcza, że to możliwe iż on się w ogóle nie zjawi. I co wtedy? Głupio byłoby wracać do domu, a poza tym co zrobić, gdyby z jakiegoś powodu matka wciąż tam była? Nie ma ochoty musieć wymyślać jakiegoś wyjaśnienia, dlaczego jest w domu. I nie może wybrać się na tę wspinaczkę, tak jak mówiła, bo zanim dotrze na miejsce, będzie za późno, by przyłączyć się do grupy, tamci już wyruszyli. Stoi więc rozdygotana i zastanawia się, co począć.

Jakiś samochód podjeżdża do krawężnika i Sadie widzi, że kierowca na nią kiwa. Podchodzi bliżej, a on opuszcza okna po stronie pasażera.

- Czy jestem gdzieś niedaleko od Sally Ann's Breakfast? Podano mi zły adres.

- Jest pan o jakieś sześć przecznic od tego baru. - Daje mu wskazówki, obejmując się mocno ramionami. - Niech pan sobie zamówi przekładaną francuską grzankę - radzi. - Przekładają je serkiem kremowym i malinami, są naprawdę dobre.

- Och, nie będę tam jadł; chcę tylko rzucić okiem na ten lokal. Zajmuję się poszukiwaniem lokacji.

- To fajnie. - Sadie kiwa głową; czuje jeszcze mocniejszy dreszcz, znowu rozgląda się po ulicy za Ronem. Nic.

- Dzięki! - mówi mężczyzna i zaczyna odjeżdżać od chodnika. Ale potem zatrzymuje się, znowu opuszcza

okno i mówi: - Przepraszam, ale... Wszystko z panią w porządku? -Ta!

- Czy mogę panią gdzieś podwieźć? Wygląda na to, że pani tu zamarza. Powiem pani coś: a może zafunduję pani śniadanie?

- Nie, dziękuję - mówi Sadie, ale myśli: ma takie gęste włosy i wspaniałe oczy.

- Może chociaż kawę? Może mogłaby mi pani polecić jakieś inne dobre bary.

Sadie ponownie odmawia, ale jak tylko mężczyzna rusza, woła za nim, a on się zatrzymuje. Sadie podchodzi szybko do samochodu. A co tam, pojedzie do Sally Ann's, napije się trochę ich słynnej gorącej czekolady i rozgrzeje się. Niech sobie teraz Ron siedzi i na nią czeka, przekona się, co to za uczucie. Sadie wyobraża sobie, że kiedy będzie wracała, Ron zobaczy, że wysiada z samochodu innego faceta i zapyta: - Kto to był? - a ona po prostu powie: - Jeden z moich przyjaciół, który tędy przejeżdżał i zobaczył, że tu stoję. Pojechaliśmy na kawę. - Nie lubi takich gierek i nie chce czegoś takiego uprawiać z Ro-nem, ale może naprawdę wszyscy mężczyźni są do siebie podobni, przynajmniej pod pewnymi względami.

Kiedy podchodzi do samochodu, wtyka głowę w otwarte okno, świadoma, że kiedy to robi, góra bluzki odchyła się i widać piersi; jest świadoma również tego, że facet ma taką klasę, że nie patrzy na nie bezpośrednio, chociaż mimo to je widzi. Starszy facet, który umie się nie zachowywać tak jednoznacznie; po prostu ciacho.

- Jeżeli to panu nie przeszkadza, zmieniłam zdanie.

Pojadę z panem do Sally Ann's. W tej okolicy są też inne bary, o których mogę panu opowiedzieć, naprawdę dobre.

- Wspaniale! Byłbym wdzięczny. Miejscowi zawsze wiedzą najlepiej.

Sadie jeszcze raz rozgląda się po ulicy za Ronem. Potem mówi:

- Jeszcze tylko jedno. Czy mógłby mnie pan później tu z powrotem podwieźć? Jestem z kimś umówiona.

- Ależ oczywiście - godzi się facet i co więcej wysiada z samochodu, by otworzyć jej drzwi. Przynajmniej ktoś się o nią troszczy, okazuje jej szacunek.

- Nazywam się Seth Goodman - mówi, ruszając.

- Sadie.

- Seksowna Sadie.

- Tak. Powinien pan skręcić na najbliższym skrzyżowaniu.

Facet jedzie prosto.

- O, przejechał je pan. Chciał pan dojechać do Sally Ann's, prawda?

Facet się śmieje.

- Wie pan co? - mówi Sadie. - Przykro mi. Zmieniłam zdanie. Naprawdę nie powinnam była odjeżdżać, kiedy ma przyjść mój przyjaciel. Lepiej tam wrócę. Albo może mnie pan tu wysadzić.

Ale facet nic nie mówi, tylko jedzie dalej. Sadie patrzy przed siebie, żeby sprawdzić, czy nie będzie gdzieś czerwonego światła. Nie. Ale na szczycie pagórka jest znak stop. Kładzie dłoń na klamce drzwi, gotowa wyskoczyć, kiedy samochód przystanie. Tylko że on nie staje.

Mija ten znak stopu, potem następny, potem dodaje gazu i kieruje się w stronę Bay Bridge.

- Nie mogę tak - mówi Sadie. - Muszę się z kimś spotkać.

Facet zerka w tylne lusterko i przyspiesza.

- Czy może mnie pan wypuścić?

- Wy luzu j.

- Powiedziałam, że chcę wysiąść! Niech pan się zatrzyma!

Natychmiast!

Facet patrzy na nią.

- Nie denerwuj mnie. Naprawdę mnie nie denerwuj.

- Niech pan da spokój - mówi Sadie, ścisząc głos, zmieniając ton na zaniepokojony, ale przede wszystkim przyjazny, jakby byli parą przyjaciół, którzy tylko ze sobą żartują. Jakby on ją unieruchomił, trzymając luźno jej głowę pod ramieniem na jakiejś popijawie.

Facet nie odpowiada, tylko jedzie dalej.

Sadie naciska klamkę, chociaż jadą z dużą szybkością. Drzwi są zablokowane, najwyraźniej on to zrobił. - Proszę, niech mnie pan wypuści - mówi nadal cichym, spokojnym głosem.

- Jak przyjdzie pora - odpowiada mężczyzna. - Wy-luzuj.

Sam nie jest wyluzowany. Kolano podskakuje mu jak wściekłe. Ma na sobie czarne dzinsy, białą koszulę i brązową skórzaną kurtkę. Jego oczy są jasnoniebieskie, lekko asymetryczne. Wysokie kości policzkowe, czarne włosy. Sadie myśli: zapamiętaj wszystko. Czarne niki. Małe uszy, grube nadgarstki. Duża okrągła plama na dywaniku na podłodze. Odwraca od niego wzrok i stara się uspokoić.

Kiedy wjeżdżają na most, pyta:

- Dokąd jedziemy?

Facet rzuca jej szybkie spojrzenie.

- Co ci powiedziałem? Powiedziałem: wyluzuj. Dzwoni jej komórka: to sygnał Rona. Sadie sięga po

nią gwałtownie; facet wyrywa jej aparat z ręki i wyrzuca za okno. Sadie widzi, jak telefon błyska w słońcu, a potem uderza o chodnik.

- Muszę iść do łazienki - mówi. To prawda.

- Taa, na pewno.

- Naprawdę muszę. Tamten wzrusza ramionami.

- Rób pod siebie.

- Chce pan, żebym panu zniszczyła samochód?

- Proszę cię uprzejmie.

Jakiś samochód zrównuje się z nimi i Sadie pochyla się lekko do przodu, próbując zwrócić uwagę kierowcy. Ale ten gapi się prosto przed siebie, podrygując głową w takt muzyki. Sadie pochyla się, by nacisnąć klakson, ale Seth brutalnie odtrąca jej rękę.

- Słuchaj, co ci powiem. Masz siedzieć i więcej się nie ruszać. I masz nic więcej nie mówić. - Wyciąga z kieszeni marynarki nożyk do przecinania kopert firmy Stanley i pokazuje go Sadie. - Być może pamiętasz, do czego zdolny jest taki z pozoru nieszkodliwy przyrząd. - Robi sobie małe nacięcie na nadgarstku. - Auu - syczy. Uśmiecha się. - Rozumiesz już, jaki jestem? Nie obchodzi mnie. Nic mnie nie obchodzi.

Sadie patrzy na kropelki krwi pojawiające się na nacięciu. Nie porusza się. Nie oddycha. Serce jej wali,

myśli się kłębią, zaczyna jej się kręcić w głowie. Wciąga powietrze i zatrzymuje je w płucach.

No. Lepiej. A teraz narasta w niej z rozpaczliwą siłą wewnętrzny nakaz: Zrób coś! Tylko co? Czuje, że oczy wypełniają jej się łzami, i szybko mruga, żeby je powstrzymać. Pociera jedną wargą o drugą, i jeszcze raz, i jeszcze.

Nie płacz, myśli. Uważaj. Zaczyna dygotać i uświadamia sobie, że z każdym wydechem cicho postępuje. Zerka ukradkiem na faceta, żeby sprawdzić, czy ten odgłos go nie złości. Facet chyba tego nawet nie zauważa. Prowadzi teraz tak, jakby absorbowwały go własne myśli, jakby jej tam wcale nie było.

Sadie wpatruje się przed siebie i myśli, że zaledwie kilka minut temu stała na rogu. Myśli o Ronie, który tam podjeżdża i jej szuka, i wrywa jej się cichy szloch. Odchrząkuje, żeby ukryć ten odgłos, i sili się na obojętny wyraz twarzy.

Wjechawszy między pagórki Berkeley, facet przystaje w jakimś pustym miejscu. Sadie odwraca się twarzą do niego.

- Teraz dochodzimy do mojego ulubionego etapu - mówi.
- Zdejmuj bluzkę.

- Nie - protestuje Sadie, a on uderza ją w twarz, potem jeszcze raz. Ból jest tak piekący, że Sadie wrywa się cichy okrzyk, czuje, że jeden z kolczyków obluzowuje się i spada.

Zaciska zęby i ściąga bluzkę przez głowę, a potem przytula ją do siebie. Ma na sobie stanik, o którym matka nie wie, taki lawendowy, kupiony w Victoria Secret, i nosi do tego majteczki od kompletu. Mizdrzyła się przed

lustrem, kiedy je przymierzała, wyobrażając sobie, co powie Ron, jak je zobaczy.

- Obwiążę ci głowę bluzką - mówi facet. - Jeżeli będziesz mi się sprzeciwiała, przyrzekam, że tego pożałujesz.

Wyszarpuje jej bluzkę i obwiązuje szczelnie wokół jej oczu. Kiedy kończy, Sadie otwiera oczy, żeby zobaczyć, czy może coś zobaczyć. Nie.

- Za mocno - mówi mu. - To boli. Samochód znowu rusza.

- Czy pan... Dlaczego pan to robi? - pyta. Głos ma cichy, drżący. - Jeżeli mnie pan teraz wypuści, nikomu nie powiem. Obiecuję.

Facet nic nie mówi, ale Sadie czuje, że słucha. Ośmielona ciągnie:

- Rozumiem, że mógł pan pomyśleć, że...

- W porządku, dosyć tego! - Facet gwałtownie hamuje, a Sadie czuje dotyk zimnego metalu na gardle.

- Nie, nie, nie - mówi. - Proszę, nie. - Głos jej drży. Broda też.

- Nie chcesz, żebym cię pocałował? -Nie.

- No to się, do kurwy nędzy, zamknij!

Sadie się zamyka. Siedzi spokojnie. Na początku próbuje liczyć zakręty, ale potem się poddaje. Nie mogą tkwić na wieczność w tym samochodzie. Kiedy on zgasi silnik i wysiądą, natychmiast zacznie wrzeszczeć „mordują”. A potem rzuci się do ucieczki.

Jednak kiedy facet w końcu wyłącza silnik, chwytą ją za ramię tak mocno, że aż wyrywa jej się krzyk. Potem

na wpół prowadzi, a na wpół wlecze ją do jakiegoś budynku i wpycha do środka.

- Wrócę z twoim nowym najlepszym przyjacielem
- oznajmia. - Chcę, żebyś była dla niego bardzo, bardzo miła. Kreatywna. Zrobisz tak, to cię potem wypuszczę.

- Sadie słyszy jakiś dźwięk, domyśla się, że to dwa zamki. Słyszy kroki, a potem odgłos zapalającego silnika i odjeżdżającego samochodu. A teraz nie słyszała już nic poza jej urywanym oddechem.

Zdejmuje bluzkę z głowy i z powrotem ją wkłada, ręce tak jej się trzęsą, że z trudem może pozapinać guziki.

- Och, Boże - nie przestaje powtarzać. Stoi rozdygotana, zapłakana, rozgląda się po słabo oświetlonym pomieszczeniu, w którym się znalazła.

Jest to jakaś szopa, nie większa niż dziesięć kroków na dziesięć, z betonową podłogą, bez okien. Z gołym materacem na podłodze i niczym więcej. Sadie przechodzi w kąt szopy i przykuca, by się załatwić, patrzy na mały strumyk utworzony przez mocz i myśli, że może ostatni raz robi siusiu. Kiedy kończy, opuszcza się przed nią pająk na drżącej jedwabistej nici, a ona krzyczy, zrywa się i szybko zapina spodnie.

Przechodzi na drugą stronę szopy i liczy do stu, żeby mieć pewność, że ten facet odjechał wystarczająco daleko, a potem zaczyna krzyczeć, tak długo i tak głośno, że niemal całkiem traci głos. Nie słyszy niczego poza słabym śpiewem ptaków. Uderza pięściami i stopami w ściany szopy w nadziei, że niewielkie rozmiary i prymitywna konstrukcja pozwolą ją rozwalić. Ale nie. Kopie w cienkiej warstewce ziemi na skraju betonowego

fundamentu, potem zdejmuje stanik i próbuje kopać usztywniającym go drutem. Rzuca się na drzwi tyle razy, że boi się, że złamie sobie bark.

Wciąż jeszcze ma swój plecak; teraz siada koło niego i zagląda do środka w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby się przydać. Portfel. Klucze. Kilka par bielizny. Trzy batony! Skąd one się wzięły? Sadie kłamała, mówiąc matce, że zapakowała batonik. Oczy jej napęcznieją się łzami, kiedy myśli, że Irenę je tam wsunęła, zakładając, że trochę uzupełni zapasy córki, tak na wszelki wypadek, jak miała w zwyczaju. Musiała to zrobić, kiedy Sadie była pod prysznicem. To cudowne, ma teraz jedzenie; jest taka wdzięczna. Grzebie głębiej i znajduje to, na co miała nadzieję: butelkę wody, również dołożoną przez matkę.

Zjada batonik, wypija odrobinę wody, a potem wstaje. Resztkami głosu woła o pomoc. Potem znów rzuca się na drzwi: raz, dwa razy, trzy razy. I znowu. Znowu. Drugie ramię. To samo. Kopie w drzwi najpierw jedną nogą, potem drugą. Potem kładzie się na podłodze i kopie obiema nogami.

W końcu cała obolała kładzie się na nagim, pachnącym stęchlizną materacu i patrzy tępo w górę.

Tyle razy czytała w gazetach albo online o kobietach, które uprowadzano, a potem zabijano. Wpatrywała się w ich twarze i próbowała sobie wyobrazić, jak do tego doszło, jak to było i czy w jakimś stopniu były za to odpowiedzialne. Patrzyła na nie i robiło jej się ich żal i tych, którzy je kochali. Ale miała też poczucie, że wydarzało się to w jakimś równoległym wszechświecie. Coś takiego jej nigdy nie mogło się przydarzyć. Patrzyła na oczy tych

kobiet, na ich włosy, na kształt ich ust, na naszyjniki, które mogły nosić, i zastanawiała się, jak one się czuły. No cóż, teraz wie. Jest równocześnie przerażona i zła, bardziej na siebie niż na tego faceta. To ona pozwoliła, by tak się stało. Dała się nabrać na głupi fortel, z własnej woli wsiadła do samochodu. Leży, czujnie nasłuchując jakiegokolwiek dźwięku, próbując wymyślić, co jeszcze mogłaby zrobić.

Powiedział, że jedzie po kogoś i chce, żeby dla tego kogoś była miła, a potem ją wypuści. Ma wątpliwości, czy ją wypuści. Zastanawia się, czy naprawdę kogoś przywiezie, czy może wróci sam. Albo nie. Niczego tak naprawdę o nim nie wie. Nie potrafiła zrozumieć jego psychiki, nie wiedziała, w jaki sposób do niego podejść, jaki psychologiczny chwyt mógłby zadziałać na jej korzyść. Umie postępować z ludźmi, niemal zawsze udaje jej się zyskać ich sympatię, ale nie tym razem. Jak tylko wsiadła do samochodu, oczy tego mężczyzny zrobiły się bez wyrazu, jak u ryby. Nie sądziła, by zdołało do niego dotrzeć cokolwiek, co mogła powiedzieć albo zrobić. A co z tym kimś, kogo on podobno ma przywieźć? Jeżeli współdziałała z facetem, który ją porwał, nie będzie zainteresowany wysłuchiowaniem próśb Sadie o pomoc.

Tak więc jest możliwe, że zostanie wykorzystana i zabita. Ma poczucie, że to jakaś przerażająca abstrakcja; nie potrafi sobie wyobrazić, że naprawdę jej się to przytrafi. Ale jeżeli się przytrafi, ma nadzieję, że nie będzie trwało długo. Ma nadzieję, że będzie potrafiła wyobrazić sobie coś pięknego, na co będzie mogła patrzeć, kiedy to wszystko będzie się działo. Ma nadzieję, że przezywając

swoje ostatnie chwile, będzie w stanie skupić się na tym, co było w jej życiu, na rzeczach innych niż ten okropny dzień, i niemających z nim nic wspólnego.

Ale może uda jej się przeżyć. Może uda się przekonać ich, żeby ją wypuścili, kiedy z nią skończą, albo nawet wcześniej. Czytała kiedyś w gazecie o kobiecie, która obudziła się z głębokiego snu i zobaczyła mężczyznę, który włamał się do jej domu, zamierzając ją zabić (tak jak zabił już kilka innych kobiet). Zadała mu proste pytanie: „Czego panu trzeba?” - a tamten na jej oczach się załamał, padł na podłogę i zaczął płakać, przyciskając pięści do twarzy, na którą naciągnął nylonową pończochę, a potem ściągnął tę pończochę. Powiedziała, że zobaczyła w nim wtedy niebezpieczne, ale zranione zwierzę, i przemawiała do niego życzliwie, myśląc, że jeżeli ją zabije, to przynajmniej jej ostatni uczynek będzie wypływał ze współczucia.

- Cóż za kalifornijska reakcja - powiedziała matka, kiedy też obejrzała ten program, z nutką czegoś, w czym Sadie rozpoznała pogardę. Ale Sadie miała wrażenie, że rozumie reakcję tej kobiety. Kiedy twoje życie prawie dobiegło kresu i ty o tym wiesz, czy nie jest możliwe, że zechcesz dokonać czegoś najbardziej wielkodusznego w życiu?

Kiedy niedawno umierał jej stareńki kot, Shadow, Sadie poprosiła matkę, by nie zawoziła go do weterynarza, ponieważ było oczywiste, że to już niedługo.

- Jesteś pewna? - zapytała Ireńę, a Sadie powiedziała, że tak, jest pewna.

Powiedziała matce, która stała, płacząc, w holu, że chce być z nim sama, dobrze? Ireńę kiwnęła głową. Sadie

zabrała kota do swojej sypialni, weszła razem z nim pod kołdrę. Przemawiała do niego łagodnie, głaskała go i kołysała. Kiedy zaczynał odchodzić, poczuła, jakby coś się zmieniło, i przyglądała się, jak jedna z jego źrenic całkowicie się rozszerza. Zanim rozszerzyła się druga źrenica i przestał oddychać, popatrzył jej w oczy, a potem delikatnie położył łapę na jej piersi. Wydawało się, że ulotnił się cały ból - a był on niemały - który do tej pory odczuwał.

Ma nadzieję, że jeśli dziś umrze, będzie mogła czuć się tak samo, jak on się chyba wtedy czuł. Albo jak dziadek Meghan, który w ostatniej chwili swojego życia usiadł na szpitalnym łóżku, popatrzył na drugą stronę pokoju na coś, czego nikt inny nie mógł zobaczyć, i zapytał: „To ty?”. Uśmiechnął się cudownie i umarł. Tak po prostu. „To było jak na filmie - opowiadała Meghan. - Naprawdę niesamowicie, ale też naprawdę pięknie. Sprawilo, że już nie bałam się umrzeć. Wiesz, przynajmniej przez jakiś czas”.

Tamtego dnia wraz z Meghan dużo rozmawiały o śmierci, leżały na podłodze, zjadając resztki wytwornych serów i krakersów, które Irene przyniosła do domu po imprezie, i rozmawiały o tym, czym może być dla nich umieranie, co naprawdę znaczy. Czy to może być prawda, jak głosiły niektóre religie, że nasze życie to tylko coś, przez co musi się przebrnąć, żeby dotrzeć do życia pozagrobowego? Sadie zawsze czuła się urażona takimi pomysłami, podobnie jak Meghan. Jak to ujęła jej przyjaciółka tamtego dnia: „Jak można patrzeć na zachód słońca i sugerować, że życie jest czymś, co tylko należy znosić. Albo, wiesz, dziecko?”.

Sadie wpatruje się w sufit, zaczyna wolniej oddychać. W dziwny sposób się odpręża. Jeżeli dziś umrze, będzie żyła. I teraz się dowie, co się dzieje potem. Ma nadzieję, że będzie mogła wrócić i opowiedzieć innym, żeby się nie martwili.

A jeżeli jej przeznaczeniem będzie żyć dalej, to... To co? Wyobraża sobie, jak wychodzi z tej szopy, cała i nienaruszona, wolna, by kontynuować swoje życie. Wyobraża sobie, jak wchodzi w drzwi ich mieszkania i widzi Irenę w kuchni, wyobraża sobie, jak woła: „Mamo?”, a Irenę odwraca się, żeby ją zobaczyć, z rozjaśnioną twarzą, jak zawsze kiedy Sadie wraca do domu, a potem jej twarz się zmienia, gdy matka widzi, że coś się stało. Albo może nie powiedziałaaby mamie. Może zachowałaaby to zdarzenie dla siebie, żeby nie stało się pożywką dla lęków Irenę. Może byłoby w tym coś szlachetnego, takie odwrócenie sytuacji i na odmiannę chronienie Irenę. I teraz wyobraża sobie, jak wchodzi do środka, jakoś usprawiedliwia przed matką swoją nieobecność, przekonując ją, że to był taki minibunt, i że żałuje, że przez nią matka się martwiła choć trochę, a potem idzie do swojej sypialni, siada na środku łóżka i przytula do piersi swojego starego pluszowego króliczka, i czuje swój dziecienny zapach na czubku jego łebka.

Myśli, że jeśli przeżyje, jeżeli rzeczywiście uda jej się w jakiś sposób stąd wyjść, przebaczy temu mężczyźnie po to, żeby sobie ulżyć, pozbyć się jak największej części tego, co się dzisiaj stało. Przebaczy mu po to, żeby żadna cząstka jej życia nie należała już do niego. Wie, jak to zrobić.

Kiedy Sadie była w siódmej klasie, zwróciła się przeciw niej jej najlepsza przyjaciółka. W ogóle bez powodu, a przynajmniej Sadie żadnego nie potrafiła znaleźć: po prostu ni z tego, ni z owego postanowiła uprzykrzyć Sadie życie. Kiedy Sadie odwiedziła ojca niedługo po tym, jak przyjaciółka zaczęła tak źle ją traktować, opowiedziała mu o tym. Słuchał, leżąc na podłodze w jej sypialni, a ona leżała w łóżku. Zawsze najbardziej lubiła właśnie takie wspólnie spędzone chwile, kiedy rozmawiali tuż przed jej zaśnięciem. A kiedy skończyła mówić, ojciec powiedział, że dzieciaki w tym wieku potrafią być naprawdę bezlitosne, zwłaszcza dziewczynki, i że to, co robi jej przyjaciółka, ma dużo więcej wspólnego z nią samą niż z Sadie.

- Wiem, że ci z tym nieprzyjemnie - ciągnął - ale chciałbym, żebyś zrobiła coś takiego. Stwórz sobie w wyobraźni pudełko. Chcę, żebyś do tego pudełka schowała wszystkie te przykrości, które ci wyrządziła Isabel. Powkładaj tam wszystkie te przykrości i jeszcze wszystkie te zranione uczucia, które się w tobie potem obudziły. A potem połóż to pudełko wysoko na wyobrażonej półce. Po prostu je tam zostaw. Nie musisz niczemu zaprzeczać, ale nie musisz też tego wyciągać na wierzch. Po prostu je tam odstaw, a może któregoś dnia będziesz mogła znowu na nie popatrzeć i zobaczysz wszystko w innym świetle. A co najważniejsze, zapamiętaj: ty nie zrobiłaś niczego złego. Po prostu tak się ułożyły sprawy między wami dwiema. Chwilowo.

Sadie jeszcze raz podchodzi do ściany szopy i stara się coś dostrzec przez szpary, ale nic z tego nie wychodzi;

widzi wyłącznie wąską kreskę zieleni. Wraca, siada na materacu i opiera głowę na rękach. Oczy jej zapuchły od płaczu. Nie ma pojęcia, gdzie jest. Nie ma pojęcia, która godzina, i żałuje, że już nie nosi zegarka, że zamiast niego używa komórki. Słyszy jakiś hałas i sztywnieje, ale najwyraźniej to tylko jakieś zwierzę; słyhać coraz cichszy szelest, a potem zapada cisza. Puma?

Sadie kładzie się, zamyka oczy i czeka wyprostowana. Może tylko i wyłącznie czekać, więc robi to najlepiej, jak potrafi.

10.

W sobotę rano John siedzi na patio u W.A. Frosta, czekając, aż pokaże się Tom Meister. Zamierzają razem zjeść lunch i pogadać o finansowaniu najnowszego pomysłu Johna - chodzi o odnowienie hotelu na Wabasha. Tom to jedyny bankier udzielający kredytów hipotecznych, który ma w sobie choćby odrobinę sentymentalizmu, tak naprawdę jest praktycznym romantykiem; a dokładnie taki typ bankiera jest Johnowi potrzebny do zrealizowania tego projektu. Pracował już wcześniej z Tomem i lubi go. Rozwinęło się między nimi coś w rodzaju niezobowiązującej przyjaźni; zawsze, kiedy jakiś klient daje Tomowi bilety na mecz Vikingów czy Twinsów, Tom zaprasza Johna, żeby z nim poszedł. Ze swojej strony John od czasu do czasu umawia się z Tomem na drinka i wysłuchuje opowieści tamtego o niepowodzeniach z płcią przeciwną. Tom, trzydziestosiedmioletni kobieciarz, nie potrafi się ustatkować, ale chętnie sobie wyobraża, że problem jest dużo bardziej skomplikowany. John po prostu pozwala mu się wygadać. Tom ma rozwinięte poczucie humoru

i umie zachować dystans; nie należy do facetów, którzy wysiadują w barze przygarbieni, z wilgotnymi oczami i mażą się w swoje piwo. Co więcej, kilka tygodni temu, zanim opowiedział Johnowi o ostatniej katastrofie, jaka go spotkała, wsunął się na stołek barowy obok niego, rozluźnił krawat i zaczął podśpiewywać fragment piosenki country: „Stratowałam moje głupie serce i na miazgę całkiem je rozdeptałam”. Potem zamówił sobie koktajl na piwie i skrzydełka na ostro i zapytał:

- Okay, gotów jesteś posłuchać?

Tom chronicznie się spóźnia na większość spotkań, ale od czasu do czasu przychodzi punktualnie, więc John zawsze czuje się zmuszony być o umówionej godzinie. Zwykle przynosi ze sobą książkę albo gazetę, ale tym razem zapomniał. Mógłby przestudiować menu w ów do przesady skrupulatny sposób, jak robią to ludzie, którzy siedzą sami, ale już wie, co chce: kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorem oraz zupę marchewkową z curry. Pewnie mógłby sprawdzić pocztę, ale zrobił to niecałe piętnaście minut temu, tuż przed przyjściem do restauracji. Szukał wiadomości od Amy, lecz jej nie znalazł. Myślał, żeby jej wysłać mejl, ale na koniec zdecydował, że tego nie zrobi, nie do końca pewien, czy postępuje tak, bo to on sam potrzebuje chwili spokoju, czy też ze względu na nią. Bolało go, kiedy odeszła tak, jak to zrobiła; ale nagle przestało.

Odchyła się do tyłu na krześle i przygląda ludziom wchodzącym na patio, z dobrotliwym zainteresowaniem rozciągniętego na parapecie okiennym kota: Ładna dziewczyna. Sympatyczna aktówka. Znam tego człowieka skądś - aktor z „Brave New Workshop” Dudleya Riggsa?

Przy stoliku obok niego siadają dwie kobiety i zaczynają cicho rozmawiać, niemalże stykając się głowami. John założyłby się o wszystko, że zajmują się uświęconym tradycją obrabianiem mężczyzn. Dyskretnie przysuwa się nieco bliżej i słyszy:

- Och, daj spokój, ona zawsze była przewrażliwiona na tym punkcie. I każdym innym też! Taka z niej pozująca na królową aktoreczka. Gdyby on miał jedną działającą szarą komórkę, toby ją rzucił.

No cóż, to tyle jeśli chodzi o z góry przyjęte założenia. A skoro już o założeniach mowa, to zastanawia się znowu, czyby nie napisać mejla do Amy. Bardzo prawdopodobne, że przez to, jak się zachowała, kiedy ostatni raz byli razem, czuje się zażenowana i czeka, żeby to on wykonał pierwszy gest pojednawczy. Ale chyba powinien jednak dłużej poczekać. Najlepiej nie spieszyć się z takim sprawami.

Przygląda się jakiejś starszej parze, która je lunch; wprost rzuca się w oczy, że ci dwoje czują się w swoim towarzystwie swobodnie i cieszą się sobą. Założyłby się, że są ponad pięćdziesiąt lat po ślubie, chociaż kiedy ostatni raz tak mu się wydawało, zapytał tego gościa, spotkawszy się z nim w toalecie, jak długo jest żonaty z kobietą, w której towarzystwie wydaje się taki szczęśliwy, a ten odpowiedział:

- Tam do diabła, w ogóle nie jesteśmy małżeństwem. Jak się panu wydaje, dlaczego paplamy jak dwie sroki? To dopiero nasza druga randka!

John sprawdza, czy siedząca po sąsiedzku para ma obrączki na palcach: tak. No i dochodzi do wniosku, że są

razem szczęśliwi od czasów, kiedy mieli po dwadzieścia parę lat. Kłócili się, ale kłócili się uczciwie. Rozumieli, co to zaangażowanie, i wierzyli w nie. To naprawdę się stało.

Patrzy na zegarek. Tom spóźnił się już pół godziny; John zaczeka jeszcze pięć minut, a potem do niego zadzwoni. Podnosi wzrok na drzewa, żeby sprawdzić, czy uda mu się wypatrzeć jakieś ptaki albo jeszcze lepiej gniazda. Kiedyś dawał Sadie po ćwierć dolara za każde gniazdo, które wypatrzyła. Chciał, żeby stała się spostrzegawcza, i lubił ją uczyć, jakie zmyślne pod względem architektonicznym są te maleńkie domostwa. Najbardziej ze wszystkich podobały jej się gniazda żółtaczka baltimorskiego, tak mu powiedziała tego dnia, kiedy jej takie gniazdo pokazał, a kiedy zapytał dlaczego, wyjaśniła, że chyba są najtrudniejsze do zbudowania. Ta mała zawsze goniła za wyzwaniem. To dobra cecha, o ile człowiek nie posuwa się do skrajności.

Będzie się dziś wspinała na skałki, zapewne nawet robi to już teraz. John żałuje, że nie jest razem z córką. Ominęła go tak duża część jej życia i ma sobie to za złe. Ale Irene za wszelką cenę chciała przeprowadzić się na wybrzeże, a on nie chce mieszkać w San Francisco. Jest tam za dużo tego, co tamtejsze. Lombard Street i wagoniki tramwaju linowego, i Fisherman's Wharf raczej go odstręczają, niż oczarowują. Nie lubi gapiących się turystów, którzy rozprawiają o moście Golden Gate i o tym, jak żałują, że nie mogą mieszkać w miejscu takim jak to.

Podoba mu się natomiast bardziej subtelny styl jego własnego miasta, obfitującego w nieroztrąbione

na wszystkie strony skarby: Mickey's Diner i Manny Steakhouse. Nisze w katedrze St. Paul, domy wtulone w Crocus Hill. Gigantyczny międzynarodowy sklep spożywczy na rogu University i Dale; nobliwy antykwariat na Snelling, wszechobecne jeziora. Oboje z Sadie uwielbiają coroczny kiermasz stanu Minnesota, traktory i kolorowe kapy, a także nagrodzone ciasta i ujmującą paplaninę ludzi sprzedających noże Miracle. Lubią widok dzieciaków z Fundacji Edukacyjnej 4H*, śpiących w pobliżu swoich krów, i zaprzężone do wozu Budweisera olbrzymie szkockie konie zimnokrwiste Clydesdale, udekorowane dzwoneczkami i w uprząży nacieranej ręcznie olejem oraz wykończonej mosiądzem. Każdego roku przyłączają się do tłumu podziwiających, którzy stoją przed wyrzeźbioną z masła Księżniczką Kay z Mlecznej Drogi i jej dworkami. Postacie są wystawione w chłodzonych gablotach. A najbardziej ze wszystkiego lubią namiot kościelny, gdzie tęgie życzliwe kobiety w spłowiałych kwiaciastych fartuchach podają lody z przypominającymi mięsne pulpeciki kulkami otoczonymi tartą czekoladą.

W St. Paul narodziła się grupa Wolverines, orkiestra, której członkowie noszą przetarte fraki i grają piosenki jazzowe z lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku; niejedną z nich sami zapisali, słuchając wielokrotnie starych płyt. Jest księgarnia Garrison Keillor's.

* Organizacja 4H - dobrowolna, niezależna organizacja edukacyjna przeznaczona dla dzieci i młodzieży, kładąca szczególny nacisk na rozwój umiejętności życiowych, zainteresowań i podniesienie poziomu wiedzy.

I ciepłarnia przy parku Como. Jest James Hill House. Bulwar rzeki Missisipi i Aleja Summit. Nawet mroźne zimy i wilgotne lata w St. Paul John również lubi. Po części dlatego - tu uśmiecha się smętnie - że stanowią wyzwanie.

Zerka znowu na zegarek, a kiedy podnosi wzrok, widzi, że na patio wchodzi jakaś kobieta. To Amy; towarzyszy jej wysoki przystojny mężczyzna, który śmieje się głośno z czegoś, co właśnie powiedziała. Nie zauważyła go, więc gdy jest doń odwrócona plecami, John odchodzi od stolika i prosi, by posadzono go w środku, w rogu po drugiej stronie, tak żeby go nie mijała, wychodząc. Siada i natychmiast zaczyna stukać kłykciami po stole. Kiedy widzi Toma, woła go po imieniu i wstaje, by do niego pomachać.

- Cześć - mówi bankier, wysuwa krzesło i siada. - Przepraszam, że się spóźniłem. - Składa okulary, wsuwa je do kieszonki na piersiach. Rozgląda się po sali i kiwa głową, witając młodą kobietę o kilka stolików dalej, która do niego macha. Jest śliczna, ma gęste jasne, długie aż do pasa włosy.

- No tak, Tommy - mówi John.

- Pomyśl tylko - przerywa mu Tom. - Ta blondynka, która wygląda jak Barbie? Ma tak na imię! Barbie! Hej, właściwie czemu my nie siedzimy na patio? Ciemno tutaj. A na zewnątrz jest ślicznie.

- Tu jest ciszej - wyjaśnia John. - No więc, jak ci już wspominałem, myślę o hotelu z apartamentami do wynajęcia, a tu mamy to cudenko. Hotel z przedłużonym pobytem zamyka się w niespełna trzech tysiącach

miesięcznie. Wynajęcie apartamentu kosztuje około tysiąca miesięcznie, ale gdy stoi pusty, to nie oferuje żadnych usług. Ja uplasowałbym się gdzieś pośrodku, za jakieś tysiąc osiemset, więc byłbym konkurencyjny. I gdyby zrobić coś takiego na Wabasha, w tym wspaniałym starym hotelu, praktycznie nie miałbym żadnej konkurencji. Chciałbym, żeby była tam restauracja, która mogłaby obsługiwać zarówno ludzi z zewnątrz, jak i gości hotelowych, i chciałbym urządzić na dachu ogród - będzie stamtąd widok na rzekę. Rozmawiałem już z inżynierem specjalizującym się w wytrzymałości konstrukcji - zrobienie ogrodu nad jedenastoma piętrami nie będzie problemem. Tom mruga.

- Cześć. Jak się masz? Zamówiłeś już?

- Przepraszam. - John podaje mu menu. Natychmiast po złożeniu zamówień znowu zaczyna. - Pomyśl o ludziach, którzy tu przyjeżdżają w interesach na sześć, osiem tygodni. Są jak wysiedleńcy, oderwani od swoich domów, od rodzin i przyjaciół. Potrzebne im jakieś wygodne lokum, a także towarzystwo ludzi w podobnej sytuacji. Ja im to dam. I nawet więcej. Na przykład, nie będą musieli ponosić wydatków na codzienne usługi pokojówki, zamiast tego będę miał w ofercie kogoś, kto przyjdzie i posprząta wtedy, kiedy będą chcieli.

Jego towarzysz kiwa głową, zastanawiając się.

- Ile pokoi?

- Sto sześćdziesiąt pięć.

Bankier wpatruje się w przestrzeń, robiąc w myśli obliczenia. John zna go na tyle dobrze, by wiedzieć, że pomysł nie wzbudził w nim natychmiastowej euforii. Będzie musiał bardziej go dopasować do Toma.

Odchyła się do tyłu, kiedy kelner stawia przed nim lunch, bierze kęs do ust i czeka, aż tamten zrobi to samo - on również zamówił sobie smażone jajko z bekonem, sałatą i pomidorem.

- Cholera, dobre to jest! - mówi po pierwszym kęsie Tom.

- No - przytakuje John. - Posłuchaj więc, to jest pomysł nie tylko dla ludzi, którzy są w podróży służbowej. Przypuśćmy, że rzuciła cię dziewczyna.

Widelec jego towarzysza zawisa w pół drogi do ust, Tom patrzy na Johna.

- Przypuśćmy, że mieszkałeś z nią i nagle ona cię wywaliła.

- Tak, spróbuję sobie coś takiego wyobrazić - mówi Tom.

- No więc dobrze, znalazłeś się na ulicy i nie masz gdzie się podziać, chyba że na rozkładanej kanapie u siostry. Ale nie chcesz mieszkać u siostry, która będzie pytała, co się stało tym razem, podczas gdy siostrzeńcy i siostrzenice będą ci grzebać w torbie i co pięć minut prosić, żebyś z nimi zagrał w Candy Land. Nie masz ochoty patrzeć, jak twoja siostra i jej mąż będą wieczorem siedzieli i oglądali film przytuleni do siebie i przynosili sobie nawzajem miseczki z lodami. Nie chcesz też zwałać się na głowę przyjaciołom nie wiedzieć na jak długie nocowanie, za stary już jesteś na takie gówna. Nie jesteś pewny, jakie będzie twoje następne posunięcie; potrzebujesz po prostu trochę czasu, żeby to przemyśleć.

Tom kiwa głową.

- No tak.

John odchyła się do tyłu na krześle. Teraz już go prawie ma.

- Przychodzisz do mojego hotelu, gdzie czeka na ciebie wygodny pokój i możesz być sam, jeżeli tego chcesz. Ale są tam też inni ludzie, więc nie musisz być sam. Mogą nawet znaleźć się też tacy, których rzucili partnerzy.

- Faceci, z którymi można pogadać - włącza się Tom.

- Nie tylko faceci - mówi John i po twarzy tamtego poznaje, że interes jest niemalże ubity.

- No to na co patrzymy? - pyta Tom. - Osiem, dziewięć milionów?

- Dziewięć przecinek pięć.

- Porozmawiam z Billem Montgomerym dziś po południu; może uda nam się ściągnąć cię na spotkanie w połowie tygodnia.

Po lunchu John wychodzi na parking i znowu natyka się na Amy: tamten facet otwiera właśnie przed nią drzwi samochodu. Teraz ona też go widzi. Wygląda na zaskoczoną, ale potem uśmiecha się i macha do niego. John w odpowiedzi macha bez uśmiechu, potem daje nura do samochodu i odjeżdża.

Niedzielne poranki są dla Boga, tak jak go rozumie Ireń. Inaczej mówiąc, w niedzielę rano Ireń bierze udział w spotkaniach AA. Właśnie spieszy się na takie spotkanie. Potem pojedzie na brunch, przy którym dziś będzie pracowała.

Ireń nie jest alkoholiczką, ale jeden z jej przyjaciół, nazwiskiem Carl Palmer, jest, i przed kilku laty po raz pierwszy wzięła w czymś takim udział w jego towarzystwie. Planowali, żeby w pewną niedzielę wybrać się na Angel Island, ale Carl powiedział, że najpierw musi pójść na to spotkanie. Ireń zapytała, czy może pójść razem z nim, a on odrzekł, że spotkania są otwarte. Ireń od dawna była nimi zaciekawiona. Kilkoro z jej znajomych często brało w nich udział i wyglądało na to, że niesłuchanie korzystnie to na nich wpływa.

Spotkanie odbywało się w salce lekcyjnej przy kościele na Presidio Kteights. Ireń i Carl spóźnili się i usiedli z tyłu. Przed zebranymi stała i przemawiała jakaś młoda kobieta i Ireń musiała pochylić się do przodu, żeby ją

słyszeć. Miała lekko ochryply głos i Irenę pomyślała, że byłaby z niej dobra wykonawczyni bluesów. Miała brudno blond dredy, nosiła za duży granatowy sweter z kapturem, a do tego niebieskie džinsy i robocze buty. W jednej ręce trzymała kubek z kawą, na każdym jej palcu błyskał pierścionek.

- No więc tamtego wieczoru byłam w domu - opowiadała kobieta - dzieciaki spały, miały dwa i trzy lata, spały od jakichś dwóch godzin, a ja próbowałam oglądać telewizję, ale już się zaczynało, wiecie, po prostu tak bardzo potrzebowałam się napić, a niczego w domu nie miałam. Zaczęłam chodzić tam i z powrotem, i w końcu nie mogłam wytrzymać, wypadłam z domu i poszłam do baru przy najbliższej przecznicy. Powiedziałam sobie, że wezmę sobie tylko jednego szybkiego drinka.

W tłumie rozległo się coś w rodzaju mamrotania, całe mnóstwo pełnych zrozumienia „yhm”.

- Wiem, dobra? - powiedziała kobieta. Wypadłam? - pomyślała Irenę. Zostawiłaś dwu- i trzylatka bez opieki!

- Tak czy owak wróciłam do domu o pierwszej w nocy. I od razu poszłam do pokoju dzieci, i z nimi było wszystko w porządku, mocno spały, ale ja usiadłam na podłodze i wywróciłam się, i płakałam. I wtedy to było samo dno, a następnego dnia poszłam na moje pierwsze spotkanie... I teraz mi idzie dobrze, i od miesiąca nic nie piłam.

Kobieta dostała oklaski, ale Irenę siedziała sztywno na krześle, zastanawiając się, jak mogłaby się precyzyjnie przedstawić między ludźmi, którzy przyszli po niej, by wyjść. Chciała

się stamtąd wydostać. Ta kobieta zostawiła swoje dzieci bez opieki! Na tyle godzin! I wróciła pijana! Irene spojrzała w lewo, a potem w prawo, próbując podjąć decyzję, którądy będzie najlepiej wyjść. Carl chwycił ją za ramię.

- Siedź - powiedział cicho. - Nie należy wychodzić, kiedy ktoś się wypowiada. - Nie był zły, ale stanowczy, więc Irene przestała się wiercić.

- Dziś rano mój syn opowiedział mi, co mu się ostatniej nocy śniło - ciągnęła kobieta. - Nie opowiem wam jego snu, chociaż był dobry. Ale to, że opowiedział mi swój sen, spowodowało, że nabrałam ochoty, by opowiedzieć wam mój sen. Wiem, że większość ludzi nie lubi słuchać, jak ktoś opowiada swoje sny, ale tym chciałabym z wami się podzielić. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciw temu. Jest krótki - dodała, a tłum zachichotał.

Kobieta zaczerpnęła powietrza.

- No więc było tak, śniło mi się, że stałam na dziobie łódki z kory brzozonej, takiej samej, jaką miałam jako dziecko, kiedy dorastałam nad jeziorem Wisconsin. Ale nie byłam na jeziorze, tylko na morzu, i opadła gęsta mgła, fale zrobiły się naprawdę wysokie, a woda była taka czarna. Byłam śmiertelnie przerażona. I nie mogłam ruszyć rękami, żeby wiosłować, nie mogłam otworzyć zaciśniętych pięści. Pomyślałam, mój Boże, nie mogę się ruszyć, łódka wywróci się do góry dnem. Nie wiedziałam, czemu się jeszcze nie wywróciła. Obejrzałam się za siebie i zobaczyłam, że łódka jest naprawdę długa, ale to naprawdę, tak że prawie nie było widać jej końca. I napakowana ludźmi. Nie wiedziałam o tym, bo siedziałam tyłem do wszystkich. Ale napakowana była ludźmi. A oni wiosłowali.

Podobnie jak mówiło wielu z was, okropnie się wstydziałam przyjść tu pierwszy raz. Tak się bałam przyznać do swoich słabości i złego postępowania. Po pierwsze, jedno i drugie było bardzo złe. Po drugie, gdybym się do nich przyznała, musiałabym z nimi coś zrobić. Ale ten sen mi przypomniał, że wielu z was jest ze mną na tej samej łódce, prawda? - Ludzie się śmieją, ona także, a potem mówi: - No dobrze, to już wszystko, ale na koniec chcę powiedzieć, że nie mogę się doczekać, aż moje dłonie zaczną działać i będę mogła wiosłować za kogoś innego. I chcę jeszcze powiedzieć, że ratunkiem dla nas jest to, że tylu nas znalazło się na tej łódce. Jakiś mężczyzna siedzący w tyle sali zawołał: - Ratunkiem dla nas jest to, że nie ma nikogo, kto nie byłby na tej łódce!

W tym momencie Carl spojrział na Irenę, a ona skinęła głową.

12.

Sadie wzdryga się i budzi. Z zewnątrz z daleka słyhać szczekanie psa. Minęła noc; słońce przesącza się przez szpary szopy. Jest zimno. Facet nie wrócił.

- Ratunku! - woła Sadie. Wstaje z materaca i podchodzi do drzwi szopy. - Ratunku! - Przyciska ucho do drzwi: nic. Wali w drzwi, kopie w nie. - Ratunku! Ratunku! Ratuuuunku!

To słowo wydaje się absurdalne. Ratunku. Wypowiedziała je tak wiele razy, że zaczyna tracić znaczenie.

- Ratunku! - woła po raz ostatni, a potem się śmieje. Śmieje!

Może zaczyna wariować. Ludziom zdarza się zwariować w takich okolicznościach. Musi wziąć się w garść. Nie wolno jej myśleć o fakcie, że nikt jej nie znajdzie. Nie wolno jej myśleć, że on wróci. Musi myśleć o tym co nieistotne i pilne.

Idzie w róg szopy, tam gdzie już wcześniej robiła siusiu, i znowu sika. Niewiele tego; nie miała dużo do picia.

I będzie musiała racjonować tę wodę, która jej została, na wszelki wypadek. Robi jej się przykro, kiedy znowu o tym myśli, jak Irenę wkładała jej tę wodę do plecaka, troszcząc się o nią, chociaż Sadie nie przestaje odpychać matki od siebie. Jeżeli się stąd wydostanie, kiedy się stąd wydostanie, wynagrodzi jej to. Jakoś. Chociaż mówiła tak już wcześniej, że wynagrodzi matce różne rzeczy, a potem niczego takiego nie zrobiła. A co więcej, od kiedy doszło między nimi dwiema do tej nieustannej, nasilającej się walki, sytuacja tylko się pogarsza. Sadie próbowała porozmawiać o tym z tatą, ale wyglądało na to, że on tylko chce bronić Irenę. Do tego stopnia, że w pewnym momencie zapytała:

- No to dlaczego się rozwiodłeś?

Ojciec zaczął odpowiadać, ale w końcu nie odpowiedział. A ona nie naciskała. Na niego nie naciska.

Ale teraz nie pora, by przesadzać z poczuciem winy. Teraz trzeba pomyśleć praktycznie.

Próbuje przypomnieć sobie to, czego się uczyła, jak długo człowiek może wytrzymać bez wody: trzy dni? Tydzień? Nie będzie jeszcze piła wody. Zaczeka, aż zachce jej się bardziej pić.

A więc. Wysikała się. Co teraz? Gdyby była w domu, wzięłaby prysznic i umyłaby zęby. Pociera energicznie twarz, sprawdza, czy nie ma śpionek w kącikach oczu. Potem wyjmuje szczoteczkę do zębów i pastę i czyści zęby, a potem wypłukuje pastę do kąta, w którym sikała - w łazience, powiedzmy. Zastanawia się, czy nie zużyć trochę wody do wypłukania ust, ale postanawia jej nie marnować. Zamiast tego przesuwa palcem wskazującym

po górnych zębach, potem po dolnych, i wysysa pastę z palca. Następnie potrząsa głową i przegarnia włosy palcami, czesząc się najlepiej, jak się da. Czuje ucisk w jelitach i stara się go zignorować.

Wraca na materac, siada i przyciąga kolana do piersi. Przyciąga je mocniej. Gimnastyka. Wstaje i zaczyna robić pajacyki, zrobi ich sto, a potem będzie robić brzuszki, a potem pompki. A potem zje kęs batonika, tylko jeden kęs, chociaż jest naprawdę głodna.

Sadie zaczyna właśnie pompki, kiedy słyszy coś na zewnątrz. Kroki?

Pędzi do drzwi, zaczyna wołać, a potem przestaje. To mógłby być on. Wstrzymuje oddech, słucha. Już nic.

Czuje, jak ogarnia ją rozpacz, bezradność, ale potem równie nagle czuje gwałtowny przypływ gniewu.

- Wypuść mnie, ty dupku! - krzyczy. - Nie boję się ciebie! Wypuść mnie! Wypuść mnie! - Nic. Stoi zadyszana. Czeka. Nic.

- Jesteś tam? - pyta. A potem mówi:

- Przepraszam. Czy mógłby mnie pan wypuścić? Nic.

Nie będzie płakała. Nie będzie. Wraca do plecaka i wypija maleńki łyżeczek wody. Jak najmniejszy. Mocno zakręca butelkę. Bo jakby się rozlała? Chowa butelkę z powrotem do plecaka. Znowu ją wyjmuję. Wyjmuję wszystko z plecaka, a potem porządnie układa z powrotem. Sprzątanie. Stawia plecak w kącie naprzeciw łazienki.

Podchodzi do materaca, na którym spała, i strzepuje z niego brud. Może będzie bardziej czysty z drugiej

strony? Podnosi materac, a potem go upuszcza. Przechodzi ją dreszcz. Zdecydowanie nie, zdecydowanie nie jest bardziej czysty z drugiej strony. Widzi, że pod drzwiami szopy rośnie jakaś roślina. Podchodzi, żeby jej się dokładnie przyjrzeć. Gładzi maleńkie zielone listki. Ulubiony zwierzątek? Dzieło sztuki? Coś, co będzie mogła zjeść? A jeżeli to trujące? A jeżeli ktoś przyjdzie ją uratować, a ona umrze, bo zjadła coś trującego?

Jeżeli ją zerwie i położy na materacu, będzie mogła patrzeć na nią przez ciasno zwiniętą pięść i to będzie tak, jakby jej łóżko było porośnięte pnączami, i zrobi się ładne, i poprawi jej humor. Ale wtedy roślina umrze.

No to roślina będzie jej zwierzątkiem, drugą żyjącą istotą, która utknęła w tym samym miejscu co ona.

- Ratunku! - wrzeszczy, ale nie bardzo głośno. To bezcelowe, praktycznie rzecz biorąc.

Może uda jej się orientować w upływie czasu po tym, jak będzie się zmieniał kąt, pod którym wpada światło. Kiedy światło znajdzie się nad jej głową, czas na lunch. Może nie będzie pory na lunch. Może do tego czasu ją uratują. Albo to drugie.

13.

Co my tu mamy? - pyta jeden z gości na przyjęciu, biorąc papierową serwetkę i przyglądając się trzymanemu przez Irenę półmiskowi.

-Mamy tutaj grillowany podplomyk z *za'atarem*

- odpowiada Irenę. Prostuje półmisek, który zaczął się przechylać na bok.

- A co to jest *za'atar*!

Co to jest *za'tar*? Irenę zastanawia się przez chwilę, potem recytuje:

- Mieszanka tymianku, majeranku i mielonego sumaka. Och. I nasion sezamu! - To ostatnie dodaje trochę zbyt głośno, a potem, już ciszej, mówi: - To mieszanka przypraw z Afryki Północnej.

Gość odgryza kawałek i kiwa głową.

- Dobrze! - mówi, a z ust wylatują mu drobne okruchy. Czerwieni się lekko na twarzy, co Irenę uważa za urocze.

- Przepraszam - dodaje.

- Nic się nie stało. - Jej rozmówca jest przystojnym mężczyzną: wysoki, jasnowłosy, z szarymi oczami. Nie

za bardzo się udziela towarzysko; przeważnie częstuje się tym, co przynosi Irenę, a potem staje w kącie przepastnej jadalni i bawi się jakimś urządzeniem, które trzyma w ręce - kto mógłby za nimi nadażyć? Nawiązało się między nim a Ireną coś w rodzaju prowizorycznej przyjaźni. Za każdym razem, kiedy przynosi coś nowego, jemu pierwszemu to proponuje.

Irenę roznosi przekąski, ponieważ dwoje pracowników Henry'ego zachorowało. Normalnie woli trzymać się na uboczu i pracować w kuchni. Nienawidzi roznoszenia przekąsek. Nie podoba jej się to, jak traktują ją goście, zwłaszcza na tych najwystawniejszych przyjęciach, kiedy biorąc coś od niej, bogacze zachowują się tak, jakby klepali ją po głowie. Można by pomyśleć, że jej na tym zależy! Jeżeli oni nie zjedzą przekąsek, no to zje je personel. Henry pozwala swoim pracownikom zabierać do domu wszystkie resztki, których nie chcą gospodarze. A na co bardziej wystawnych przyjęciach gospodarze nie chcą niczego, poza resztkami alkoholu.

- Och, nie, proszę sobie to zabrać - mówią, nadęci własną wspaniałomyślnością.

Ale rzucają też coś w rodzaju spojrzenia właściciela na każdą tacę z jedzeniem, którą oddają. Jakby okazywali szczodrość dlatego, że im mamusia kazała.

- A co będzie teraz? - pyta mężczyzna. A potem dodaje: - Nazywam się Jeffrey Stanton, nawiasem mówiąc. Ponieważ to z panią rozmawiałem więcej niż z kimkolwiek innym na tym przyjęciu, równie dobrze mogę się przedstawić.

- Ja jestem Irenę.

- Irenę...

- Marsh. - Przez moment martwi się, że Henry zaraz wypadnie z kuchni, pokrzykując: „Nie! Nie! Nie! Nie podaje się gościom swojego nazwiska!”.

Podsuwa jej to pomysł, by swoje nazwisko przeliterować. A to z kolei zachęca Jeffreya do przeliterowania swojego i Irenę się śmieje. W rezultacie taca się przekrzywia i kilka podpłomyków spada na podłogę. Jeffrey szybko je podnosi i przykłada palec do ust.

- Nikt nie widział - szepcze.

- Zabiorę je do kuchni i wyrzucę.

- Och, nie, niech pani tego nie robi. Proszę pójść i poczęstować nimi tamtego faceta, o tam. - Pokazuje palcem na mężczyznę, który stoi odwrócony do nich plecami. Tamten ma srebrne włosy i wygląda imponująco, nawet od tyłu.

- Kto to jest? - pyta Irenę.

- Mój szef. Emerson Cummings. Literuję: d-u-p-e-k.

- Ach - mówi Irenę.

- Właściwie to nie chciałbym - ciągnie Jeffrey - żeby mu pani podała brudne podpłomyki. Nie chciałbym, żeby mu pani cokolwiek podała.

Wahadłowe drzwi do kuchni uchylają się i pokazuje się w nich Henry Bliss, rzucając Irenę spojrzenie.

- Muszę iść - mówi Irenę.

Kiedy wraca do kuchni, Henry'emu z trudem udaje się opanować.

- Co ty wyprawiasz? Mamy rożenki z boczkiem, trzeba je natychmiast wydać; stygną. I musisz podać bresaolę.

- Jaką bresaolę? - Irenę odstawia tacę z podplomykami i zjada jeden z tych, które nie upadły na podłogę. Zastanawia się.

- Tę bresaolę ze struganą brukselką i chrzanem. Stoi tam, Sandy właśnie układa na tacy storczyki. Musimy to podać, Irenę! - Bierze się pod boki. - Przysięgam, że nienawidzę zwalniać ludzi, ale chyba będę musiał cię wyrzucić.

- Wiesz co, Henry? Nie będziesz musiał. Rezygnuję.

- Wróci do logopedii. Albo znajdzie sobie coś innego. Ma dość.

- Och, przestań. - Odchodzi od niej, otwiera drzwiczki piecyka i przymykając oczy, nagarnia sobie pod nos ciepłego powietrza i wciąga je głęboko. - Już naprawdę niedługo będę potrzebował do tych buraczków winegretu z orzechami włoskimi! Irenę, proszę pójść i pomóc go przyrządzić. Proszę się pospieszyć.

- Nie, Henry - odpowiada głośno Irenę. - Rezygnuję.

- Inni pracownicy w kuchni milkną: Tommy, przystojny młody Azjata, który niemal nigdy nie przestaje chichotać, Linda, specjalistka od ciast z ambicjami, która żyje w ciągłym strachu przed Henrym, ale także go ubóstwia. Cayenne, która tak sama siebie nazwała i która przekłuła sobie wszystko, co się da przekłuć, i teraz nalega na Irenę, by ta zrobiła sobie kolczyk w nosie.

Henry podchodzi i staje przed Irenę.

- Proszę mówić ciszej. I nie możesz w tej chwili zrezygnować. Wiesz, że brak mi dziś ludzi. Te kulki sezamowe wychodzą z frytownicy dokładnie za siedem minut i muszą zostać podane natychmiast!

Irenę zdejmuje fartuch i kładzie go na jednym z masywnych granitowych blatów.

- Och, na... Irenę! Będziemy podawali *souvlaki* z suszonych fig, a ty to uwielbiasz! I sałatkę z homara! Z kukurydzą i bazylią, i cukinią! Posłuchaj, ja... Możesz wziąć wszystkie resztki do domu. Wszystkie. I powiem, że mi przykro!

- A mnie nie - oznajmia Irenę i wychodzi przez drzwi kuchenne na zewnątrz, gdzie świeci słońce i ptaki śpiewają, i zostało jeszcze kilka godzin dziennego światła. Tak z miejsca odeszła z pracy dwa razy w życiu: raz, kiedy była kelnerką w lodziarni i nawrzeszczeli na nią, że ma za krótki mundurek - ten sam mundurek, który sami jej dali do noszenia, oficjalnie. Drugi raz, jak była sekretarką w firmie, gdzie szalał seksizm, a szef zamknął ją w gabinecie i przycisnął do siebie, a kiedy się opierała, powiedział, żeby lepiej nauczyła się grać w tę grę. Wyszła tamtego dnia na lunch i nie wróciła. Zapomniała już, jak to miło wziąć znowu swoje życie we własne ręce.

Niemalże podrzuca w powietrze kluczyki od samochodu, ale pewnie chybiłaby, gdyby próbowała je złapać. Zamiast tego idzie szybciej i kiedy jest już na froncie budynku, właściwie podskakuje.

Na schodach prowadzących do drzwi frontowych widzi Jeffreya Stantona. Mężczyzna podnosi rękę.

- Cześć!

- Cześć.

- Wychodzi pani?

- Zrezygnowałam. Przed chwilą zrezygnowałam z pracy. - Wzrusza ramionami. - I już.

- O! Ma pani ochotę nauczyć mnie przy drinku, jak się to robi?

Irene się śmieje.

- Możemy pojechać moim samochodem - proponuje Jeffrey. - Jest tu blisko.

Och. On mówi serio. Irene zerka ukradkiem na komórkę, żeby sprawdzić, czy córka już dzwoniła. Nie. Och, co z tą Sadie? Dlaczego tak się sprzeciwia niemal wszystkiemu, o co Irene ją poprosi? Malutka Val, która zamieszkała w jej umyśle, mówi: Bo musi się od ciebie oderwać, pamiętasz? Odczep się od jej życia i martw się o własne!

- No dobrze, chodźmy - mówi Jeffreyowi i czuje, jak jej przelatuje dreszczyk po kręgosłupie.

Val ma rację. Do diabła z martwieniem się o Sadie. Odczep się, odczep się, odczep! Sadie chce być taka niezależna? Wspaniale. Niech będzie. Irene wyłączy telefon w nadziei, że Sadie zadzwoni i usłyszy jej pocztę głosową. A także w nadziei, że Sadie wróci do domu przed Irene i będzie musiała się zastanawiać, gdzie jest matka. Irene wycofa się bardzo daleko, no i wtedy zobaczymy, na ile Sadie chce być naprawdę niezależna. Zwykle zostawiłaby córce wiadomość, informując, dokąd się wybiera i kiedy może wrócić. Nie tym razem. Mowy nie ma. I popatrzcie tylko: to wcale nie jest takie trudne, jak myślała. Czuje się świetnie. Co za ulga, że nie trzeba ciągle tłumaczyć, gdzie się jest. Sadie również marzy, żeby tę ulgę poczuć, przyznaje smętnie Irene. Ale! Sadie ma osiemnaście lat. Irene ma... nie ma osiemnastu!

Może, jeżeli Sadie nie będzie w domu, kiedy Irenę wróci, to puści sobie na stereo Joan Baez. Głośno. Bette Midler. Tę płytkę Glenna Millera, którą uwielbia, a której Sadie nie znosi. (Mamo! Ta płytka brzmi tak, jak pachnie naftalina!) Zrobi sobie kolację z naciskiem na jednoosobową. Jeżeli Sadie wróci głodna, no cóż. W tę grę mogą grać dwie osoby.

Irenę podchodzi do samochodu Jeffrey, a on otwiera drzwi. Prius. Jasnozielony. Co za wspaniały facet.

- Co pani powie na Top of the Mark? - pyta ją Jeffrey, kiedy oboje mają już zapięte pasy.

- Naprawdę?

- Nie nadaje się?

- Nie, świetnie - mówi Irenę. - Jedźmy. - Puma, myśli sobie. A potem myśli: Nie, nie puma. Za stara jestem na pumę. Jestem starą lwicą, rozciągniętą na słońcu, którą już nie za bardzo interesuje ściganie zwierzyny, ale nie jest ponad to, żeby przyjąć jakiś dar. Należny jej dar. Tak, lwica w słońcu, która zapracowała sobie na to, żeby przestać gonić za czymś, co nie chce być złapane.

14.

W niedzielę po południu John wybiera się na film tak bezbarwny, że zapomina na czym był, zanim wsiada do samochodu. Przypuszcza, że to, iż tak zaczyna marudzić na filmy, jest kolejną oznaką starzenia się, ale czy ci wszyscy bohaterowie muszą być tacy naiwni? Czy film musi być w jakimś innym języku niż angielski, żeby zapisał się na dłużej w pamięci, zachęcał do dalszych przemyśleń i rozmowy? Nie żeby miał z kim rozmawiać

o filmach. Nawet Sadie przez ostatnich kilka dni nie odbiera telefonu.

Idzie do pralni i ucina sobie pogawędkę o pogodzie z przyjazną Koreanką, która tam pracuje, częstuje się jednym z lizaków stojących na ladzie. Lubi tę kobietę za jej niezmienną pogodę ducha, jej schludne bluzki

i kardigany, a nawet - co dziwne - za to, że ona pamięta jego numer telefonu, ale nigdy nie pamięta nazwiska.

Zatrzymuje się przy sklepie żelaznym, co zawsze robi z przyjemnością, po części z powodu wspomnień, jakie budzi w nim taka wizyta - wspomnień o tym, jak chodził

do takich sklepów z ojcem. Ojciec chyba zawsze potrafił odpowiedzieć na każde zadawane przez Johna pytanie o jakieś narzędzie czy część i wydawał się od razu wiedzieć, do której skrzynki się udać po dowolny rozmiar gwoźdźcia czy śruby, haka czy uszczelki. Sam Marsh w takich miejscach promieniował pewnością siebie, na którą John patrzył z przyjemnością; później pomyślał, że ojciec mógł tą metodą uśmierzać ból po stracie żony, matki jego syna. To, co było w sklepie żelaznym, miało sens. Była tam odpowiedź na każdy problem. Przynajmniej w tym świecie ojciec, nie pytając, wiedział, co zrobić, kiedy coś się zepsuło.

Na koniec John zachodzi do sklepu spożywczego. Tutaj, słuchając wersji piosenki *Krople deszczu padają na moją głowę*, popycha apatycznie wózek po alejkach to w jedną, to w drugą stronę, wybierając jak zwykle za dużo produktów z działu owoców i warzyw. Przepenia go poczucie samozadowolenia, kiedy ładuje do wózka brokuły i kalafiora, i pęczki marchewki, ale zawsze kończy się tak, że dobrą połowę z tego wyrzuca.

Istnieje potężny rozdział pomiędzy wyobrażaniem sobie, jak własnoręcznie przyrządza zupę marchewkową z curry, a rzeczywistością, w której bierze do ręki marchewkę tak przywiędłą, że da się ją zgiąć niemal na pół, a następnie wyrzuca ją razem z fusami od kawy. Pewnie powinien się przyłączyć do zespołu singli, mężczyzn i kobiet, którzy stoją w ubraniach roboczych przy ladach z gotowymi daniami i wybierają zestawy jednoosobowe, ale jest w tym coś, co go przygnębia.

Chciałby przynajmniej zachować złudzenie, że mógłby sobie gotować. Że jest mężczyzną, który wkłada pasiasty fartuch, włącza na stereo operę i wtóruje śpiewakom, równocześnie z entuzjazmem dolewając czerwonego wina do sosu do makaronu.

Kiedy wraca pod dom, widzi przy krawężniku samochód Amy, a ona siedzi w środku. John staje na podjeździe, trzymając torby z zakupami, i czeka, by podeszła do niego. A chociaż się obawia, że przyjechała po zapomnianą bransoletkę, tę, którą znalazł na podłodze w sypialni, jednocześnie zastanawia się nad tym, co kupił, i czy uda mu się z tego wymodzić szybko jakąś kolację dla dwojga. Próbuje zorientować się w jej wyrazie twarzy, ale mu się to nie udaje.

- Cześć - mówi Amy, wysiadając.

- Cześć.

- No dobrze. Przyjechałam, żeby ci coś powiedzieć. Tęsknię za tobą. Ale nadal jestem na ciebie wściekła. I uważam, że to co zrobiłeś, było naprawdę złe.

- Ja też tak uważam. I przykro mi.

- Postawiło to twój charakter pod znakiem zapytania. John kiwa głową.

- Potrafię to zrozumieć. - Chce powtórzyć, że nigdy nie miał zamiaru jej oszukiwać, że tylko ciągle brnął coraz głębiej, a potem nie umiał znaleźć właściwego sposobu, żeby powiedzieć jej prawdę. Ale wyczuwa, że chwilowo najlepszą taktyką będzie, jeżeli ograniczy słowa do minimum.

Co chyba nie najlepiej działa, bo Amy odwraca się i rusza z powrotem w stronę swojego samochodu.

- Amy! Czy mogłabyś... Czy moglibyśmy jeszcze porozmawiać?

Amy otwiera drzwi auta.

- Daj mi jeszcze jedną szansę! - krzyczy John tak głośno, że aż go to żenuje. Teraz wszyscy sąsiedzi na tej ulicy zostali wtajemniczeni w zmienne koleje romantycznej części jego życia. Może wszyscy w całym mieście.

Amy wyciąga stojący na przednim siedzeniu samochodu kosz z bukietem kwiatów, w których John poznaje kwiaty z jej ogrodu, a do tego butelkę wina. Podchodzi znowu do niego.

- Jeszcze jedną szansę. Ale, John, proszę, nie kłam mi już nigdy więcej. Prawda zawsze jest lepsza.

Policzki ma zarumienione, szminkę świeżą, a na szyi wisiołek z perełką, leżącą w zagłębieniu między jej obojczykami. Włożyła sukienkę w kwiaty z cienkim czarnym paskiem i pantofelki bez palców. Jest taka śliczna.

- Wiem - mówi. - Nie skłamię ci już więcej, obiecuję.

- Chodzi mi o to, że w niczym - podkreśla Amy.

- A jeżeli obetniesz sobie włosy i naprawdę będziesz z tego zadowolona, a mnie się to nie spodoba?

- Musisz zebrać się na odwagę i mi powiedzieć. I jeszcze musisz mi mówić, jeżeli w czymś wyglądam grubo. I jeśli nieostroźnie igram z czyimiś uczuciami. A zwłaszcza jeżeli ciebie coś złości, musisz mi powiedzieć, zanim cię to za bardzo rozzłości. Słuchaj, ujmijmy rzecz prosto: jeżeli zadam ci pytanie, ty w odpowiedzi powiesz mi prawdę, żeby nie wiem co. A ja zrobię to samo. Dobrze?

John zastanawia się nad tym. Rozważa, czy deklaracja prawdy nie jest ważniejsza od deklaracji miłości. Sądzi, że to niewykluczone. Bierze oddech i mówi:

- Umowa stoi. Amy się śmieje.

- Wiesz, dlaczego ci wierzę?

- Dlaczego?

- Bo tak długo się nad tym zastanawiałeś, zanim odpowiedziałeś.

- No, to było ważne pytanie. Słuchaj, właśnie wracam ze spożywczego. Jak widzisz. Chcesz zjeść ze mną kolację? Mogę przyrządzić jarzyny z jarzynami. I owocami.

- Tak. I chcę ci powiedzieć, że ten mężczyzna, z którym mnie widziałeś w restauracji, to mój brat. Właśnie odwiozłam go na lotnisko, a po drodze opowiedziałam mu o tobie. Poradził mi, żebym tu jak najprędzej przyleciała.

- Dobra rada.

W kuchni John odstawia torbę i odwraca się do Amy, a potem unosi jej dłoń, by ją pocałować.

- Taki jesteś słodki - mówi Amy.

- Zrobiłem to tylko po to, żebyś obrała marchewki. Amy podchodzi bliżej i całuje go lekko w usta.

- Z radością obiorę marchewki. I z radością zjadłabym z tobą kolację, ale muszę ci powiedzieć, że nie umieram z głodu. Mogłabym chwilę poczekać. Gdybyś chciał... no wiesz, poczekać chwilę.

- Tak się cieszę, że nie kupiłem nic, co by się od razu zepsuło - mówi John, bierze ją za rękę i prowadzi na górę.

Kiedy schodzą na dół, jest już wpół do dziesiątej i oboje są głodni jak wilki. Dają sobie spokój z przyrządzaniem kolacji i zjadają kanapki z masłem orzechowym i galaretką oraz naprędce przyrządzoną sałatkę owocową. A potem Amy idzie po swoją torebkę i wyciąga z niej jakąś kartkę.

- Jesteś gotów?

- Na co?

John zawiązuje mocniej pasek szlafroka, pochyla się do przodu, żeby zobaczyć co to za papier. Zalewa go nagłe poczucie obawy, jakby wszystko, co zaszło właśnie między nimi, było fikcją, a teraz ona zamierza pokazać mu coś, co oznacza, że mimo wszystko chce jednak zerwać ich związek.

Ale kiedy Amy kładzie kartkę na stole, John widzi, że to komputerowy wydruk przedstawiający szczeniaka - obraz nie jest ostry, ale pies wygląda na mieszańca, z jednym uchem stojącym, a drugim oklapniętym.

- Chyba coś znalazłam - mówi. - Czy chcesz wybrać się ze mną i go obejrzeć, i zobaczyć, czy się zgadzasz?

- Pewnie.

- Myślę, że powinniśmy się zgodzić. To znaczy, to będzie mój pies, ale pewnie dużo będzie przy nas obojgu. Racja?

- Mam nadzieję, że tak.

Amy bacznie przygląda się zdjęciu, potem patrzy na Johna, a górne światło pada na jej twarz w taki sposób, że ją postarza, mimo to Amy wygląda ślicznie. John myśli, że wie, jak Amy będzie się starzała, jak będzie wyglądała za dziesięć lat, a nawet za dwadzieścia. Co

ważniejsze, myśli, że wie, jaka ona będzie. Po tym, jak się kochali, spędzili dłuższy czas na rozmowie, i John był pod wrażeniem jej optymizmu, życzliwości. Zanim poznał Amy, pogodził się już z myślą, że pewnie na starość zostanie sam, wmawiał sobie, że lepiej na tym wyjdzie, ale teraz w tym tunelu zabłysło jakieś światło.

Amy przysnęła na trochę, a on leżał obok niej, ukojony do głębi jej obecnością: ciepłem jej ciała, miarowym oddechem, zapachem perfum, których zawsze używa, z nutką czegoś, czego nie potrafi zidentyfikować, ale co zawsze kojarzy z zielenią. Leżał w półmroku wieczoru, słuchając przejeżdżających samochodów, głosów bawiących się dzieci, powtarzających się nawoływań rudzików, które uwiły sobie gniazdo pomiędzy jego domem a domem sąsiada. Myślał o Amy, jak siedziała w swojej sypialni w ostatnich dniach życia męża, o tym, że serce jej pękało milion razy, kiedy patrzyła, jak on w taki sposób odchodzi. I myślał o decyzji, jaką podjęła, która miała nie dać jej spokoju do końca życia. Można odmienić swoje życie na tyle sposobów, podejmując jedną impulsywną decyzję.

- A więc odejdz! - powiedział do Irene. - Chcę, żebyś odeszła. Chciałem tego od lat!

A Irene, wyciągając z płaczem walizkę ze schowka, mówiła, że nienawidzi go i nie może się doczekać, żeby odejść. A potem już jej nie było, jej i Sadie.

Kiedy odjechały, z ośmioletnią Sadie, która przyglądała się przez okno, jak John stał bezradnie na frontowej werandzie w samych skarpetkach i z zaciśniętymi pięściami, poszedł na górę i ukląkł przed sedesem, bo

myślał, że zwymiotuje. Ale nie; klęczał z głową nad miską, z otwartymi ustami, docierał do niego chłód owalnej powierzchni wody z rezerwuaru, widział, jak marszczy się lekko od jego wydechu, i nic się nie działo. Potem siedział oszołomiony na podłodze w łazience i gapił się przed siebie. Potem zadzwonił do Stuarta.

Broniąc się przed tym wspomnieniem, John znowu zamknął oczy, potem wyciągnął rękę i delikatnie dotknął włosów Amy, a ona otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział jej uśmiechem, z bezgraniczną ulgą, że wrócił do teraźniejszości.

- To wybierzesz się ze mną jutro, może koło dziesiątej? - mówi Amy o psie, którego zdjęcie właśnie mu pokazała.

- Tak - mówi John. - Czy zostaniesz ze mną dziś na noc?

- Tak. - Amy kiwa głową, wtyka sobie niesforne pasemko włosów za ucho i znowu kiwa głową.

John myśli: wiedziałem, że to zrobi, że pokiwa głową dwa razy. Daje mu to takie solidne poczucie pewności, że już naprawdę dobrze ją zna.

15.

Irene, w piżamie nie od kompletu i szlafroku, siedzi przed komputerem. Wpatruje się w ekran i próbuje myśleć o tym, co mogłaby napisać w jeszcze jednym ogłoszeniu, ale potrafi myśleć tylko o tym, jak krótko trwało jej beztroskie ignorowanie córki. Prawda jest taka, że teraz już na serio martwi się o Sadie. Sadie mogła mieć pretensje, że matka zmusza ją do dzwonienia do siebie, ale byłaby zadzwoniła. Zadzwoniłaby, prawda? Czyżby Irenę miała ni z tego, ni z owego przestać znać własne dziecko? No, dopiero pięć po ósmej, jeszcze nie jest tak bardzo późno. Za wcześnie, żeby odchodzić od zmysłów. Zachowa sobie odchodzenie od zmysłów na późny niedzielny wieczór, żeby miała się wtedy czym zająć.

Wypija łyk herbaty i kończy to danie z buraczków, które sobie przygotowała na wczesną kolację. Potem znowu zaczyna stukać w klawiaturę, szybko.

Czy może jesz kolację, czytając to ogłoszenie?

Kiedy byłam małą dziewczynką, przez długi czas chciałam mieć taką bransoletkę, która by mnie kłuła,

jak zrobię coś złego. Coś w rodzaju zewnętrznego sumienia. Ale potem, któregoś dnia, w podstawówce, gdy akurat byłam na huśtawkach, dotarło do mnie, że bardzo zazdroszczę Cynthii Hamilton, której pudełko przeznaczone na walentynki wypełnione było po brzegi. I byłam wściekła na panią Monroe, moją nauczycielkę matematyki, że jest nauczycielką matematyki. I przepelniało mnie poczucie winy, że znalazłam dolara na podłodze w kościele, do którego chodziliśmy, i chociaż wiedziałam, że w zamierzeniu miał trafić na tacę, to zatrzymałam go dla siebie. Pomyślałam sobie, że gdybym miała taką bransoletkę, jakiej chciałam, moja ręka byłaby tak pokłuta w nadgarstku, że dłoń by mi odpadła.

Irene wzdycha. Może Val ma rację. Może powinna dać sobie spokój z tymi wariackimi ogłoszeniami i spróbować być szczerą. Chociaż tę bransoletkę naprawdę chciałam mieć! I była szczerą, sugerując, że sumienie, które karałoby człowieka fizycznym bólem, to nie taki zły pomysł.

Zaczyna znowu. Pisze: „Kobieta w poszukiwaniu. Cursor mruga. W poszukiwaniu kogo? Czterdziestotrzyletniego mężczyzny? Chyba nie. Jeffrey Stanton powiedział jej przy lunchu, który jak się okazało, mocno się przeciągnął, że bardzo go pociągają starsze kobiety i zawsze go pociągały. Rutynowo zakochiwał się w swoich nauczycielkach, w jednej całkiem na poważnie. Kiedy był w ostatniej klasie liceum, miał burzliwy romans z pięćdziesięcioletnią nauczycielką od zajęć artystycznych.

- Pięćdziesięcioletnią! - powtórzyła Irene.

- To wtedy kobiety robią się interesujące - wyjaśnił

Jeffrey. Dodał, że umawia się wyłącznie ze starszymi kobietami.

- Hm - mruknęła Irenę. Jakaś jej część czuła się mile połączona; jakaś inna myślała sobie: Rany, ale świrus z tego faceta.

- Czy mogę pana o coś zapytać? - odezwała się. - To dosyć osobiste pytanie.

- Proszę - odrzekł, odkładając widelec, by poświęcić jej całą uwagę.

- Czy postępuje pan tak, ponieważ boi się pan związać z kimś w swoim wieku?

Jego odpowiedź wydawała się uczciwa:

- Sam sobie zadawałem to pytanie. Ale nie sędzę. Myślę, że chodzi o to, że zmienił się charakter kobiet. Nie za bardzo podoba mi się tak zwana nowoczesna kobieta.

- Ja jestem nowoczesną kobietą - zaprotestowała obrażona Irenę.

- Jest pani nowoczesną kobietą o staroświeckim sercu - odparł. - Czyż nie?

Pewnie tak.

- Niech pani posłucha - ciągnął. - Nie chcę pani namawiać, żeby zrobiła pani coś, z czym będzie pani się czuła nieswojo. Przyszło mi tylko na myśl, że przypadliśmy sobie do gustu. Ja... jestem właśnie pomiędzy jednym związkiem a drugim, jak to mówią, i naprawdę chętnie spędziłbym z panią więcej czasu. Myślę, że jest pani interesująca, i uważam, że jest pani piękna.

Do oczu Irenę napływają łzy i musi z zażenowaniem mrugać powiekami, żeby je powstrzymać. Potem się śmieje:

- Przepraszam.

- Minęło już trochę czasu, od kiedy ktoś pani coś takiego powiedział?

- Minęło sporo czasu.

- Ale to prawda, wie pani. Jest pani piękna.

- No cóż. Dziękuję panu.

- Nie wierzy mi pani.

Irenę patrzy na niego i ma tyle rzeczy do powiedzenia, ale nie jest w stanie złożyć ani jednego zdania. Czy uważa się za piękną? Oczywiście, że nie. A przecież czasami jej się wydaje, że wygląda ładnie. Czasami uważa, że wygląda naprawdę ładnie.

- Kiedy mówię, że jest pani piękna, pani myśli: Już nie. Prawda?

Irenę wzrusza ramionami.

- To prawda. Urody nie można zatrzymać.

- Czy tak pani uważa? -No... tak.

- Czy znane pani jest japońskie słowo *shibui*! Irenę potrząsa głową przecząco.

- Odnosi się ono do pewnego rodzaju estetyki. Chodzi tam o zrównoważenie prostoty ze skomplikowaniem, chodzi o uświadamianie sobie subtelnych szczegółów. W ten sposób człowieka nie zaczyna męczyć to, co widzi. Chodzi tam również o nieustanne odnajdywanie nowego znaczenia w pięknie. Którego to piękna, nawiasem mówiąc, mijające lata nie tylko nie przekreślają, lecz je uwydatniają.

- No cóż - mówi Irenę. - Myślę, że ta koncepcja może się sprawdzać w stosunku do nieożywionych przedmiotów.

Jeffrey wyjął portfel i Irenę pomyślała: Za szybko. Przypuszczała, że go obraziła. Ale nie o to chodziło. Jeffrey wyciągnął małą fotografię jakiegoś obrazu. Obraz przedstawiał starszą kobietę, pewnie tuż po sześćdziesiątce, nagą, siedzącą w fotelu. Jedwabny szlafrok rozlewał się niebieską kałużą u jej stóp.

- To była moja największa miłość - powiedział Jeffrey. - Ona przedstawia sobą to, co próbuję pani wytłumaczyć. Jej uroda dźwięczała od wewnętrznego piękna. To naprawdę ważne, jeżeli chce się zrozumieć *shibui*. Brzmi to prosto, właściwie jak jakiś banał; ale jest prawdą: kobieta jest najpiękniejsza, kiedy jest sobą. Japończycy nazywają to urodą z „wewnętrzną implikacją”. Nie chodzi o coś na pokaz,

o popisywanie się strojem i makijażem, i zachowaniem. Taka uroda jest cicha. Subtelna. A oto, co najbardziej interesujące: *shibui* polega na tym, by ten, kto na kogoś lub coś patrzy, stworzył sam dla siebie coś z tego, co widzi; w ten sposób obserwator zmienia się w artystę. Przypuszczam, że to sprzeczne z intuicją, jak równanie w dwie strony. Żałuję, że nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć.

- Nie, chyba rozumiem. - Irenę popatrzyła na plamę słońca z boku na twarzy kobiety, na wystającej kostki jej dłoni. A potem oczywiście na jej piersi, na brzuch.

i po raz pierwszy zobaczyła ciało starzejącej się kobiety w inny sposób, który nie ma nic wspólnego z rywalizacją ani lękiem, ani obrzydzeniem do samej siebie. Zobaczyła je po prostu takim, jakie jest: skóra, kości, oczy. Linie, kąty i płaszczyzny. Światło i cień. I piękno, tak. Włosy kobiety były kompletnie siwe, ale całkiem długie i gęste, z przedziałkiem na boku, falujące.

- Co się stało? - zapytała. -Rak.

- Och - westchnęła i znowu popatrzyła na obraz, tym razem widząc więcej. - Przykro mi. Jak długo byliście państwo razem?

- Osiem lat.

- To tyle, ile ja byłam mężatką.

- To tyle, ile i my byliśmy małżeństwem.

- Była pańską żoną?

- Była moim życiem.

Irenę ponownie popatrzyła na obraz.

- Kto to namalował? - zapytała, a Jeffrey odpowiedział:

-Ja.

- Pan maluje?

- Jeszcze jedno zaskoczenie, co? Jest we mnie coś więcej niż tylko zarządzanie portfelami zamówień i akcji.

Pod koniec posiłku zgodziła się pójść z nim na operę, na przedstawienie za dziesięć dni. Irenę podobało się, że to jeszcze stosunkowo dużo czasu. Będzie miała dzięki temu możliwość, żeby się wyplątać, gdyby zmieniła zdanie.

Niezależnie od tego, jakie podejmie postanowienie, rozmowa z Jeffreyem nasunęła jej myśl, że nie powinna wypadać z gry, no i teraz zarzuca następną wędkę.

Zanosi talerz i widelec do kuchni, wkłada je do zmywarki. W drodze powrotnej do sypialni mija lustro w holu i przystaje, by na siebie popatrzeć. Czy to, na czym jej naprawdę zależy, sprowadza się do towarzystwa mężczyzny? Myśli o dziewczynie, którą kiedyś była: jak leżała na brzuchu nad wąskim strumyczkiem

i zanurzała stuloną dłoń w wodzie, by łapać kijanki, a koszuła podjeżdżała jej do góry na plecach. Jak trzymała matkę za rękę, kiedy wchodziły po szerokich stopniach do biblioteki, a potem wieczorem z rozkoszą układały się w łóżku otoczone książkami, które opowiadały historie pozwalające odejść od tu i teraz.

Pamięta, jak siadała okrakiem na górnej poręczy płotu na podwórku na tyłach domu, żeby bawić się w kowbojkę, z jednym z szali matki zawiązanym na szyi, w czarnym aksamitnym kapelusiku na głowie, tym, który nosiła do kościoła, a który w jej wyobraźni przekształcał się w stetsona, ze zwiniętym ręcznikiem służącym za siodło.

Pamięta, jak poszła do liceum pierwszego dnia lekcji, mając na sobie po raz pierwszy obcisłą czarną spódniczkę i jaskraworóżową bluzkę, która ciągle wyłaziła spod paska. I jak w liceum puszczała sobie Ike'a i Tinę Turnerów w sypialni, przyciszając głos tak bardzo, że ledwo ich było słyszeć, ponieważ ojciec uznawał tych piosenkarzy za wulgarnych.

Na studiach poznała Val, za co będzie wdzięczna losowi codziennie do końca swego życia. Potem po studiach przyszły czasy, gdy pracowała jako logopedka, kiedy chodziła na randki ze wszystkimi, od lekarzy, przez facetów, którzy pracowali na budowie, do kawiarnianych grajków. Za każdym razem, kiedy spotkała mężczyznę, który jej się podobał, mówiła o tym Val, i za każdym razem, gdy związek się rozlatywał, mówiła o tym Val. A związki ciągle się rozlatywały.

Ale potem pojawił się John. A jeszcze potem Sadie: pamiętała chłodny szary poranek, kiedy urodziła córkę, i to dziwne późniejsze skrepowanie między nią a Johnem, jakby nie całkiem wiedzieli, co ze sobą zrobić, chociaż było jasne, że każde z nich niezależnie było zauroczone dzieckiem.

Jaka szczerą była ta czułość i radość w oczach Johna, kiedy patrzył na swoją córkę, i jak odbiegała od jego spojrzenia, jak patrzył na żonę.

- Dobra robota! - powiedział jej po tym, kiedy Sadie się urodziła, i poklepał ją po ramieniu.

Ludzie na porodówce tylko się gapili, spodziewając się, jak sądziła Irene, że przynajmniej ją obejmie. No cóż, nie zrobił tego. Zresztą ona też go nie objęła, nie wtedy. Przytuliła go, zanim wyszedł wieczorem ze szpitala, ale nawet w tym uścisku wyczuwalny był dystans nie do przebycia. Jakoś nawet w okresie, kiedy ich miłość znalazła się w największym rozkwicie - a w tamtych czasach naprawdę się kochali - nie potrafili przekroczyć tego, co ich dzieliło.

Kiedyś, na początku swojego małżeństwa, Irene powiedziała Val, że nigdy z Johnem nie mówią sobie: „Kocham cię”, a przyjaciółka zapytała: „A dlaczego nie?”. - A Irene powiedziała, że nie wie. „No to powiedz to po prostu!” - poradziła Val, ale Irene tego nie zrobiła. I nie. Nigdy tego nie zrobiła, a on również nie. Robił różne inne rzeczy, dawali sobie prezenty, zarówno materialne, jak i niematerialne, ale żadne z nich nie wypowiedziało tych słów, chyba że do Sadie.

Gdzieś na rok przed tym, zanim się rozwiedli, kiedy ona i John chodzili przez krótki czas do poradni małżeńskiej, terapeuta wyciągnął od nich informację, że żadne nie miało rodziców, którzy by okazywali miłość,

a przynajmniej nie słownie; żadne z nich nie dorastało, słysząc: „Kocham cię”. Poprosił Johna i Irenę, żeby stanęli twarzami do siebie i wypowiedzieli te słowa. Stanęli twarzami do siebie i żadne się nie odezwało, żadne z nich nie chciało być pierwsze i w końcu Irenę parsknęła śmiechem, i John też się roześmiał.

- No dobrze - powiedział terapeuta, wcale nierozbawiony.

- Wybiorę, które ma to powiedzieć jako pierwsze. Irenę, proszę powiedzieć Johnowi, że go pani kocha.

- Kocham cię - powtórzyła posłusznie.

- Proszę na niego patrzeć, kiedy pani mu to mówi

- powiedział terapeuta, a Irenę popatrzyła na Johna i powtórzyła: - Kocham cię.

- A teraz pan, Johnie - polecił terapeuta i John popatrzył na Irenę, zaczerpnął powietrza i powiedział szybko:

- Kocham cię.

- Jakie mieliście państwo uczucie, mówiąc te słowa?

- zapytał.

Żadne z nich nie odpowiedziało.

- Irenę, czy może pani powiedzieć, jakie to było uczucie?

- Hm - zastanowiła się. - To było... - Chciała powiedzieć, że to było miłe. Ale pragnęła również powiedzieć prawdę, ponieważ mieli wtedy problemy i pomyślała, że jeżeli kiedyś mają zostawić te kłopoty za sobą, to muszą mówić prawdę. Więc powiedziała: - Czułam się tak, jakby te słowa były dużymi drewnianymi klockami i trudno mi je było wypchnąć z ust.

- Johnie? - zapytał terapeuta.

- To było smutne - powiedział John.

- Smutne? - powtórzył tamten.

John popatrzył na nią, a wtedy odwróciła wzrok. Więcej już się nie wybrali na terapię.

Irenę wraca na krzesło przy biurku i rozgląda się po swojej sypialni, leniwie masując sobie łokieć. Skąd ona się tu wzięła, dlaczego mieszka w tym mieszkaniu z dwoma sypialniami w San Francisco w Kalifornii? Nigdy nie przewidywałyby dla siebie takiej przyszłości. A potem przychodzi jej na myśl, że życie polega na tym, by nauczyć się, że nigdy nie da się raz na zawsze zawinąć do jednego portu, dlatego że wszystko się ciągle zmienia, łącznie z nią samą. Och, pod pewnymi względami ludzie nieodwoalnie pozostają sobą (prawdę mówiąc, Irenę nadal chętnie zostałaby kowbojką, chociaż nie dysponuje wymaganymi do tego umiejętnościami), ale przeważnie jedyną rzeczą, na którą człowiek zawsze może liczyć, jest zawodność wszystkiego.

Tak więc chwilowo jest tutaj: pięćdziesięciosześcioletnia rozwódka, która pisze ogłoszenia, by prosić nie o to, czego tak naprawdę pragnie. Bo tak naprawdę chciałaby poczuć się częścią tego świata w taki sposób, w jaki nigdy jej się to nie udało; poczuć, że jest wśród, a nie poza. Podsuwa okulary wysoko nad czoło i trze oczy.

- Nigdy więcej - mówi, a w pustym pokoju jej głos wydaje się do przesady donośny.

Wyłącza komputer, zamyka pokrywę, przysięga sobie, że już nigdy więcej nie będzie na to tracić czasu. Ale wie, że będzie. Nadejdzie jeden z takich pustych dni, jeden z tych samotnych wieczorów, kiedy popatrzy na zegar i wpadnie w rozpacz, że jest dopiero dziesięć po siódmej,

i znowu siądzie w szlafroku pod lampą i będzie próbowała się sprzedać w dzielnicowej gazetce.

Słyszy jakieś poruszenie przy drzwiach i uśmiecha się. To Sadie: nie zadzwoniła, tak jak prosiła ją Irenę, ale przynajmniej bezpiecznie wróciła do domu - i to znacznie wcześniej! Ale rozlega się pukanie, a więc to nie Sadie, chyba że zgubiła klucze. Irenę podchodzi do drzwi, wygląda przez judasz i widzi, że stoi tam Henry z rękami mocno splecionymi na piersiach. Irenę cicho wycofuje się od drzwi. Będzie udawała, że nie ma jej w domu. Ale Henry zobaczył ją albo usłyszał, bo puka znowu i mówi:

- Daj spokój, Irenę. Wiem, że tam jesteś. Irenę otwiera mu niechętnie.

- O co chodzi?

Henry unosi brwi i patrzy na nią z ukosa.

- Nie zaprosisz mnie nawet do środka?

Irenę daje krok w bok, a on wchodzi do salonu i zdejmuje kurtkę.

- Zimno się zrobiło - mówi. Irenę stoi sztywno, a Henry siada w jednym z jej foteli i kładzie sobie po prostu kurtkę na kolanach.

- Och, usiądźże - mówi do Irenę, a ona opada sztywno na skraj sofy. Żałuje, że ma na sobie piżamę i szlafrok.

- Posłuchaj, przepraszam cię - ciągnie Henry. - Trochę byliśmy spięci na tym przyjęciu.

- Napięcie jest podczas każdego przyjęcia, Henry. Każdego przyjęcia, każdej imprezy, wszystkiego, co robimy.

Henry z wdzięcznością kiwa głową.

- Tak jest. Więc rozumiesz...

- Nie, chodzi mi o to, że to ty jesteś źródłem napięcia. Nie musi tak być.

Henry siedzi i wpatruje się w nią, ręce ma skrzyżowane, jedną brew uniesioną w górę, jakby Irenę była obrazem, który za chwilę skrytykuje. W końcu pyta:

- Czy naprawdę rezygnujesz?

- Tak, Henry. Naprawdę rezygnuję.

- Nawet jeżeli dam ci podwyżkę? I zwiększę liczbę godzin?

Dzwoni telefon, Irenę przeprasza. W końcu! Ma nadzieję, że córka ma jej dużo do powiedzenia, więc będzie mogła wymigać się od odpowiedzi. Ale to tylko telefon z marketingu, toteż Irenę rzuca słuchawką i wraca do salonu.

- No cóż, wygląda na to, że jesteś wściekła nie tylko na mnie.

- Martwię się o córkę. Powinna była zadzwonić kilka godzin temu i dotąd nie zadzwoniła.

- Gdzie ona jest?

- Wybrała się na wspinaczkę po skałkach.

- Sama?

- Nie, z grupą znajomych. Na weekend. Henry macha ręką.

- Nic jej nie jest. Nie ma ochoty dzwonić do matki, kiedy jest w grupie. To krępujące, Irenę, odpuść trochę. Pamiętam, jak mając siedemnaście lat, chciałem wybrać się na obóz wędrowny do Yellowstone z paczką kolegów, a matka powiedziała, że mogę pojechać, pod warunkiem że codziennie będę do niej dzwonił. Wyobraziłem

sobie, jak wędruję codziennie przez las, żeby znaleźć jakąś budkę telefoniczną. Więc nie pojechałem i wciąż jeszcze mówię o tym na terapii. Odpręż się, Irene: Sadie zadzwoni do ciebie, jak będzie gotowa. Albo po prostu wróci do domu, nie dzwoniąc, i w ten sposób nauczy cię tego, czego chce cię nauczyć.

- Sadie nie jest taka. Zadzwoniłaby. Nie zrobiłaby mi tego. - Irene zaczyna się irytować. Henry nie przyszedł tu rozmawiać o jej córce. - Tak czy owak - dodaje znacząco.

- No właśnie, tak czy owak - podchwytuje Henry.

- Oto moja oferta. Pozwolę ci pracować w pełnym wymiarze godzin. I dam ci podwyżkę.

- Nie. Ja nie chcę dla ciebie pracować, Henry. Prawdę mówiąc, to bardzo niemiłe. Jesteś bardzo nieelastycznym człowiekiem.

- Ja jestem nieelastyczny! A co powiemy o tobie?

- Ja nie jestem nieelastyczna!

- Och, tak bardzo przypominasz mi tę kobietę z *Project Runway*, która upierała się, że nie jest intrygantką, kiedy Tim ją zdemaskował! A była uosobieniem intrygantki! Irene, zaufaj mi, proszę. Mówię to nie tylko jako twój pracodawca, ale też przyjaciel. I nie rób takiej miny; jesteśmy przyjaciółmi i ty o tym wiesz. Posłuchaj

- kontynuuje. - Potraktuj to jako taką mini interwencję, i proszę, uwierz mi, kiedy mówię, że jesteś nieelastyczna. I apodyktyczna.

- Yhm - mruczy Irene. - Coś jeszcze?

- No cóż, trochę nieustępliwa. Skoro pytasz. A do tego dosyć dobrze wychodzi ci zachowywanie urazy.

-Ja jestem nieustępliwa? Czy ty żartujesz? Moje

kontakty z tobą sprowadzały się tylko i wyłącznie do ustępowania. Jestem już tym zmęczona! I rezygnuję! Więc czemu sobie po prostu nie... Powinieneś już iść, teraz. Proszę.

Henry wskazuje na różową plamę na jej szlafroku.

- Co to jest?

- Co? - Irene spuszcza wzrok na szlafrok. - Och. Buraczki.

- Z serem feta, karmelizowaną cebulką i orzeszkami pinii?

Irene milczy.

- Przepis, który dostałaś ode mnie - ciągnie Henry - i, o ile dobrze pamiętam, przygotowywałaś te buraczki kilka razy? I zawsze ci smakowały?

- No więc?

- No więc lubisz pracować dla mnie. Tyle że ja muszę... Spróbuj mnie zrozumieć, dobrze? Muszę troszeczkę złagodnieć. Albo ty musisz się trochę uodpornić, ponieważ mnie prawdopodobnie nie uda się złagodnieć. To pewien problem, przyznaję. Za bardzo się angażuję w swoją pracę. Nawiasem mówiąc, z tego powodu James właśnie ode mnie odszedł.

Dodaje to ostatnie zdanie spokojnie, niemal nonszalancko.

- Naprawdę? - mówi Irene. - Czy ty...? Naprawdę?

- No cóż.

- Ale przecież byliście razem od... od kiedy?

- Od dziesięciu lat - mówi Henry. - Dziesięć lat i cztery miesiące, i sześć dni. Jeżeli liczyć dzisiejszy, co z formalnego punktu widzenia robię.

- I on odszedł? Że tak powiem, spakował ubrania i się wyprowadził?

- Nie wszystkie. Wróci, żeby zabrać swoje rzeczy, kiedy sobie znajdzie mieszkanie.

- Ale... Henry. Przykro mi, naprawdę. Henry wstaje.

- Przyrządziłem mu na śniadanie racuszki z ricottą polane syropem klonowym. Zjadł je, wiedząc, że zaraz po śniadaniu mnie rzuci. Co za człowiek tak postępuje?

Irenę nie odpowiedziała.

- Mówiąc szczerze, myślę, że może zmienić zdanie. Myślę, że mógł odejść w napadzie złości, teraz pofolguje swoim uczuciom we wszystkim, co taki stan za sobą pociąga, a potem wróci. Ale może nie wrócić. Więc czy mogłabyś jeszcze nie rezygnować? Proszę jeszcze nie rezygnować. Proszę po prostu... wiesz, ignorować mnie. Chodzi mi

o to, żebyś robiła to, co mówię, ale ignorowała mnie. Moje nastawienie. Nie mówię na serio tego, co mówię.

- A właśnie że tak - oponuje Irenę. - Jesteś snobem i przez cały czas próbujesz wywołać u mnie poczucie niższości.

- To ty sama wywołujesz u siebie poczucie niższości.

- Nie. To nie tak, że chodzę sobie i mam poczucie niższości. To ty coś robisz, a ja potem mam poczucie niższości.

- W porządku, Irenę. Coś ci powiem. Naprawdę jesteś mi potrzebna. Dostałem telefon od pewnej damy, która ma pieniędzy na tony, ale zero gustu, i chce wydać przyjęcie retro z najbardziej absurdalnymi przepisami. Na przykład z galaretkami z foremek.

- Och, mam przepis na coś pysznego - mówi Ireneę. - Torcik serowy z galaretką z truskawek.

- Dobry Boże!

- Bierze się półtorej osełeczki masła. I galaretkę truskawkową w proszku. I mrożone truskawki, i ananasa z puszki. Robi się ten deser na spotkania kościelne. Będzie nim zachwycona. Wiesz, co się tam jeszcze dodaje?

- Proszę mi tego nie mówić.

- Serek kremowy i śmietankę w sprayu.

- Dobry Boże. Będiesz szefem tego całego przedsięwzięcia. Ja się tam nawet nie pokażę. Ty zatroszczysz się o wszystko. I proszę na tę imprezę nie zabierać żadnych moich wizytówek!

- Nie powiedziałam, że się tego podejmę. Chwilowo nie pracuję u ciebie.

- Ireneę, jestem, jaki jestem, okay? No więc. Czy chcesz zrezygnować, czy też chcesz przyjąć dwudziestopięcioprocentową podwyżkę i wziąć na siebie większą odpowiedzialność, i dalej dla mnie pracować? Nawiasem mówiąc, nie tak łatwo będzie ci znaleźć inną pracę.

- Trzydzieści procent - mówi Ireneę.

- Świetnie.

- Nie, zaczekaj, czterdzieści procent. Henry patrzy na nią.

- Nie?

- Trzydzieści. - Henry kieruje się do drzwi i wtedy dzwoni jego komórka. Wyjmuje ją z kieszeni, żeby sprawdzić, kto to, a potem z triumfem patrzy na Ireneę. - To on. Oprzytomniał. Nie zamierzam nawet z nim rozmawiać. Niech się pozastanawia, gdzie jestem. A ty

przestań się martwić o Sadie. To najbardziej odpowiedzialna ze wszystkich znanych mi osób. I jeżeli znowu mam mówić szczerze, to właśnie wzięła sobie trochę swobody, jakiej potrzebuje i na jaką zasługuje, Irene. - No dobrze - mówi Irene.

Ale ma przecucie, że Sadie nie wzięła sobie „trochę swobody”, tylko że wpadła w jakieś kłopoty. To prawda, że w przeszłości zdarzało jej się martwić o córkę niepotrzebnie. Ale zdarzyło się też, jak Sadie miała pięć lat, że pojechała na wycieczkę z dziećmi z przedszkola, na farmę, gdzie samemu zbierało się truskawki. Irene pełła właśnie ogródek, kiedy ogarnęło ją złe przecucie. Weszła do domu i sprawdziła, czy nikt nie dzwonił. Nie. Otrząsnęła się z tego uczucia i poszła do kuchni nalać sobie szklankę wody. Niemal dopiła tę wodę, kiedy telefon jednak zadzwonił. Sadie była na pogotowiu; zawieziono ją tam po tym, jak została ugryziona przez psa. Irene zadzwoniła do Johna i pojawiła się w szpitalu tuż po nim. Zastąpiła go siedzącego z Sadie, która miała rękę owiniętą wielkim białym bandażem, a John chwalił córkę, że jest taka dzielna. - Założyli mi szwy, ale nie płakałam - powiedziała dziewczynka do Irene. Natomiast Irene płakała, chociaż tylko przez chwilę. Popatrzyli sobie w oczy ponad głowę córki i Irene zalało poczucie wdzięczności za ten ich trzyosobowy krąg.

Idzie do sypialni i siada na łóżku. Przychodzi jej na myśl, by zatelefonować do Johna, ale nie ma ochoty wywoływać paniki. Patrzy na zegarek: jest niemal dziewiąta. Próbuje zadzwonić do Sadie - bezskutecznie. Może córka wyłączyła komórkę, kiedy zaczęli się wspinać,

i jeszcze jej nie włączyła z powrotem. Irene przypuszcza, że grupa mogła uczcić swój wyczyn kolacją, po której Sadie w końcu zadzwoni; z pewnością wtedy przypomni sobie, że miała zawiadomić matkę, jak tylko zakończy się wspinaczka. Irene żałuje, że nie zadała więcej pytań, nie zapisała sobie nazwisk młodych ludzi, z którymi Sadie się wybrała, nie zanotowała, dokąd się wybierają i jaki dokładnie mają harmonogram. Jak mogła ją puścić na tę wycieczkę, wiedząc tak niewiele? Ale już za tych kilka pytań, które zadała, została zganiona. A prawda jest taka, że jeżeli córka nie jest w szkole, to Irene często nie ma pojęcia, gdzie jest.

- Idę do kina - mówi Sadie. Albo: - Wychodzę z Meghan. Meghan! Irene zna jej numer; ma go w swojej komórce od czasu, kiedy Sadie była razem z nią i zapomniała telefonu, a chciała się skontaktować z przyjaciółką. Przewija numery, znajduje ten, który jej zdaniem należy do Meghan, i dzwoni. Odzywa się poczta głosowa Meghan. Gdzie się wszyscy podziewają?

Z pewną obawą (Mamo! - powie Sadie) zostawia wiadomość: „Cześć, Meghan, mówi Irene Marsh. Próbuję złapać Sadie, ale nie mam szczęścia. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie wiesz, gdzie ona jest. Jeżeli przypadkiem wiesz, oddzwon, proszę. Albo poproś Sadie, żeby się do mnie odezwała”. Wyciąga się na łóżku, bierze powieść, którą teraz czyta. Kilka rozdziałów i może w końcu Sadie zadzwoni. Jeżeli ma włączony telefon i zobaczy, że dzwoni jej najlepsza przyjaciółka, to odbierze. Meghan powie: „Dzwoniła twoja matka; lepiej do niej zadzwon”. A pierwsze słowa, jakie Irene

powie do Sadie, będą brzmiały: Jeżeli mówisz, że będziesz dzwoniła, to zadzwoń.

Jakiś czas później Irene się budzi, książkę wciąż trzyma w rękach. Patrzy na zegarek - jedenasta!

- Sadie? - woła.

Nic. Idzie do ciemnego pokoju córki i zapala światło. Nie ma jej. Wraca do sypialni i jeszcze raz próbuje zadzwonić do Sadie na komórkę: nic. Policja? Nie sądzi, by chcieli zareagować, dopóki Sadie nie będzie dłużej nieobecna. No i co mogłaby powiedzieć? „Moja córka wybrała się na wspinaczkę skałkową z grupą znajomych, z której nikogo nie znam, i jeszcze nie wróciła do domu”. Jeden z policjantów zapyta: „Ile pani córka ma lat?”. A ona powie, że osiemnaście, a tamci popatrzą po sobie i oświadczą jej, że Sadie ma pełne prawo nie odmeldowywać się mamusi. A ona powie: „Ale wy nie znacie mojej córki”. Ale teraz zaczyna zastanawiać się, czy to przypadkiem nie ona nie zna własnej córki.

Idzie do kuchni do pojemnika na pieczywo i wpycha sobie kawałek chleba na zakwasie do ust. Potem jeszcze jeden. W jej sercu coraz głośniejszy tyka coś w rodzaju zegara. Dzwoni do Valerie, żeby zapytać przyjaciółkę, czy nie uważa, że powinno się zadzwonić na policję. Nikt nie odbiera. Potem przypomina sobie, że to wieczór na kino; Valerie wychodzi z mężem na dwa filmy, a pomiędzy jednym a drugim idą na kolację. Podchodzi do okna, żeby zobaczyć, czy nikt nie idzie ulicą. Nie widzi nic, oprócz własnej bezradnej twarzy, która odpowiada jej spojrzeniem.

Siada na ławie, splata dłonie na stole i czuje, że zaczyna się odprężyć. W tym pomieszczeniu zawsze odczuwa ulgę. Kiedy szukała mieszkania w San Francisco, najpierw zawsze zachodziła do kuchni.

- Musi z pani być dobra kucharka, jak sędzę - powiedział w końcu agent nieruchomości.

A Irenę wymamrotała coś, co można było zrozumieć i tak, i tak, bo zbyt trudno było to wytłumaczyć. Irenę kocha kuchnię nie dlatego, że dobrze gotuje, tylko dlatego, że kuchnia jest miejscem, w którym zawsze w sposób niedwuznaczny wyrażało się i zaspokajało pewną potrzebę. Głód. Jedzenie. Po śmierci matki Irenę w środku nocy zakradała się do kuchni z kocem i poduszką. Kładła się pod stołem i w końcu tam zasypiała.

Wstaje, żeby zaparzyć sobie kubek rumianku, i sięga wysoko do szafki, w której trzyma porcelanowy serwis od Tiffany'ego. John dał jej go w prezencie któregoś roku na Boże Narodzenie i wtedy zastanawiała się, dlaczego. Nie piła wówczas herbaty. Kiedy otworzyła paczkę, na jej twarzy odmalowało się coś w rodzaju zakłopotania pojawiającego się, gdy dostajesz prezent; jakiego ani się nie spodziewałaś, ani nie chcesz.

- Mogę go oddać - powiedział John, a ona odrzekła:

- Och, nie, jest piękny. Tylko to takie zaskoczenie.

Teraz używa go często, w chwilach kiedy ma poczucie, że powinna nieco bardziej się o siebie zatroszczyć

- w chwilach, gdy czuje się obolała albo zniechęcona, czy też odczuwa ten rodzaj znużenia, którego nie uleczy sen. Przepłukując czajniczek gorącą wodą, uświadamia sobie, że nigdy nie podziękowała swojemu wtedy mężowi

za coś, co w tamtych czasach było ekstrawaganckim prezentem.

- Johnie - mówi. - Dziękuję ci. - Kiedy wypowiada jego imię na głos, ma wrażenie, jakby niemal tu był, teraz. Gdyby tylko był.

16.

Co jakiś czas Sadie wstaje i obchodzi po omacku teraz czarne jak smoła pomieszczenie, na próżno próbuje wyrzeć na zewnątrz, woła. Ma przekonanie, że jest już niedziela, jutro, jak zrobi się jasno, wydrapie na ścianie dwie kreski. Będzie też od czasu do czasu zaznaczała na ścianach szopy, jak przesuwa się po nich światło, i w ten sposób sporządzi sobie najprostszy zegar. Na chwilę przed tym, nim zapadły ciemności, wykopała głęboki rowek w łazienkowym kącie i tam oddała kał. Zasypała go ziemią, podtarła się ziemią; potem w podobny sposób próbowała wyczyścić ręce. A później trochę popłakała: z upokorzenia, bezradności, czując w ramionach ból od tego, jak rzucała się na drzwi.

Przez chwilę obwiniła matkę za to, co się stało. Gdyby Irenę nie była taka drażliwa i apodyktyczna, Sadie nie musiałyby jej kłamać, zamierzając wyjechać z Ronem. Czułaby, że może przedstawić go matce i do żadnego takiego wydarzenia by nie doszło.

Potem coś sobie przypomniała.

Nie tak dawno Irenę miała wizytę kontrolną u lekarza i wpadła w furję, bo musiała czekać prawie półtorej godziny, zanim lekarka pojawiła się w gabinecie, jeżeli wliczyć w to czas spędzony w poczekalni. Doktor Miller weszła do gabinetu i pozdrowiła Irenę, rzucając z roztargnieniem:

- Jak się pani miewa? A Irenę odpowiedziała:

- Jestem zła! Tak długo nie powinnam czekać, pani doktor!

A lekarka przyznała, że to prawda, i wyjaśniła, że przyjechała do kliniki z opóźnieniem, ponieważ w szpitalu miała nagły przypadek, a potem, jak już była w klinice, odebrała jeszcze dwa telefony w nagłych przypadkach, którymi musiała się zająć. Zajrzała do kieszeni, gdzie znowu coś brzęczało i dodała:

- I wygląda na to, że ktoś w tej chwili mnie wywołuje. Irenę opowiadała, że lekarka stała tam, patrząc przed siebie z twarzą bez wyrazu, a potem oświadczyła:

- Jestem taka zmęczona.

- Wydawało mi się, że zaraz się rozplacze - mówiła Irenę.

- I dopiero wtedy tak naprawdę ją zobaczyłam; tak bardzo schudła, miała takie wielkie ciemne kręgi pod oczami.

Zaczęły rozmawiać, że poszła na medycynę, bo jej ojciec był lekarzem, i że kocha medycynę, i uwielbia pomagać ludziom. Ale teraz jest ciągle przepracowana, bo ją nieustannie atakują firmy ubezpieczeniowe, aż czuje się jak, tak to opisała, „surowe mięso”. Przyjmowała stanowczo zbyt wielu ludzi w zbyt krótkim czasie,

i tak wielu z jej pacjentów było przygnębionych z powodu sytuacji ekonomicznej, z powodu ciągłej eskalacji przemocy wszędzie, z powodu politycznej polaryzacji i ekstremizmu, i beznadziei.

Matka powiedziała, że kazała lekarce położyć się na leżance i stwierdziła, że to ona ją zbada. Lekarka roześmiała się, a potem Irenę objęła ją i poradziła, żeby tego wieczoru pojechała do domu i przygotowała sobie puree z ziemniaków z masłem, a potem Irenę została zbadana.

Cała Irenę. Dokładnie w chwili, kiedy miało już się ochotę na nią wrzasnąć, potrafiła cię rozbroić. Tak właśnie Henry mówił o matce i miał rację. Tak też matka mówiła o Henrym; i tak samo miała rację.

Sadie wstaje i przeciąga się, jeszcze raz woła w ciemność. Jak wieczorna modlitwa, myśli.

W końcu znowu jest zmęczona, kładzie się na materacu i czuje, że zapada w sen, taka drobna łaska.

Jakoś nad ranem wyrywa ją ze snu trzask drzwi samochodu. Zrywa się na nogi, wkłada zniszczony stanik, poprawia bluzkę. Czy to ratunek? Och, Boże, została uratowana!

- Hej? - mamrocze. Głos ma taki ochryply, że prawie sama siebie nie słyszy. - Hej? - powtarza. Nic.

Wrócił. I przywiózł jeszcze kogoś. Słyszy głosy dwóch mężczyzn. Zaczyna się. Zaczyna się i Sadie rozumie, że łudziła się w najbardziej spektakularny i absurdalny sposób. Boi się, i to wszystko. Nie jest gotowa przebaczyć, nie jest gotowa umrzeć, na nic nie jest gotowa. Czuje tylko strach, czuje jego smak, zapach, a teraz jeszcze gardło zaczyna jej się zaciskać tak, że prawie nie może oddychać.

- Nie - mówi na cały głos, który może jeszcze z siebie wydobyć. - Proszę.

- Proszę się cofnąć! - Słyszy. Drzwi zostają wyłamane i staje przed nią policjant, który się przedstawia: - Jestem posterunkowy Dickinson. Czy pani nazywa się Sadie Marsh?

Sadie przytakuje, mruży oczy w nagłym świetle, zdumiona tym, jak wiele otwartej przestrzeni jest na zewnątrz.

- Chciałbym, żeby pani pojechała ze mną. Muszę zadać pani kilka pytań.

Pomagają jej wsiąść do radiowozu, podają butelkę wody i pytają, czy może z nimi porozmawiać.

- Tak - mówi Sadie.

Słyszy coś nowego w swoim głosie. Ma świadomość, że nie jest już tą samą dziewczyną, która w sobotni rano wyszła ze swojego domu. W ogóle nie czuje się już jak dziewczyna. Czuje się jak osobnik z gatunku żyjącego od bliżej niesprecyzowanej liczby lat na planecie Ziemi; większość istot tego gatunku przyjmuje niemal każdego dnia swego życia fałszywe założenie, że są bezpieczne. Ona już do tej grupy nie należy. Została osobliwie i nieodwołalnie wyedukowana.

17.

Masz ochotę na kawałek? - pyta Valerie.

Stoi przy kuchence w szlafroku w kwiaty, podrzuca bekon na patelni i popija pierwszą poranną kawę. Irene przysłała do nich o ósmej, kiedy oboje z Benem leżeli jeszcze w łóżku.

Irene nie odpowiada. Prawie nie spała. Wcześniej rano poszła na posterunek policji, żeby zgłosić zaginięcie Sadie i, jak wyznała przyjaciółce, było to wręcz surrealistyczne przeżycie. Te niekończące się pytania, od których serce pękało. To, jak musiała opisywać kolor oczu i włosów Sadie, malutkie znamię, jakie ma na piersi, które jako szkrab próbowała zmyć. Kiedy opisywała, w co była ubrana córka, kiedy widziała ją po raz ostatni, Irene zaczęła łkać.

- Przeważnie to się dobrze kończy - pocieszał ją policjant.
- Nie warto tak się denerwować, dopóki nie będzie czym się denerwować. Przeważnie są w porządku, jak ich się znajdzie.
- Podziękowałam mu - opowiadała Irene - ale myślałam

sobie: Przeważnie tak, a w pozostałych przypadkach? Wyznała Valerie, że doczekać się nie mogła, żeby stamtąd wyjść i wrócić do domu, bo ciągle myślała, że nie powinna była w ogóle wychodzić, ale kiedy w końcu tam wróciła i zawołała: „Sadie?”, nikt nie odpowiedział. Sprawdziła telefon stacjonarny, nikt nie dzwonił.

Kiedy pchnęła drzwi do pokoju córki, był w takim samym stanie, w jakim go zostawiła: lampka nocna się świeciła, kołdra była odwinięta w oczekiwaniu na Sadie, która po tym, jak matka porządnie na nią nawrzeszczy, na pewno będzie chciała się położyć. Irene posiedziała przez chwilę w saloniku, a potem popędziła do Valerie i zalała się łzami.

Valerie pełna była współczucia, ale Irene wyczuwała, że jej przyjaciółka nie pochwała tego, że poszła na policję, że zanadto się pospieszyła. Kiedy zapytała o to Valerie, ta odrzekła:

- Mam być szczerą? Może tak.

A teraz podchodzi i siada razem z Irene przy stole. Słońce kładzie się szeroką smugą na blacie, a Irene myśli, że w innych okolicznościach uznałaby, że wygląda to ślicznie, jak światło przecina na pół wazon z kwiatami. - Czy myślisz, że powinnam zadzwonić do Johna? - pyta.

- Po co?

- Bo Sadie zaginęła!

- Zaczekałabym jeszcze dzień.

- Ale gdyby ona mieszkała z Johnem i zaginęła, to ja chciałabym wiedzieć. Dlaczego nikt oprócz mnie nie traktuje tego poważnie?

- No dobrze, Irene, wiesz co? To jest deklaracja niepodległości w wykonaniu Sadie. Masz ją przed nosem. I zbierało

się już na to od dawna. Przecież sama wiesz. Wiesz, że jesteś za blisko z nią związana. Przysięgam, że jesteś jedyną znaną mi matką, która była smutna, kiedy zaczynała się szkoła. Ona nie dzwoni do ciebie, bo nie musi dzwonić.

- Ja tylko chciałam wiedzieć, że jest bezpieczna, Val! Nie pojechała z klasą na wycieczkę do Paryża z trzydziestoma pięcioma opiekunami, żeby oglądać dzieła sztuki, tylko wybrała się na wspinaczkę skałkową!

- Robiła to już wcześniej.

- Na ściance. A gdyby nie miała zamiaru do mnie dzwonić, to nie powiedziałyby, że zadzwoni. O to chodzi. O to naprawdę tu chodzi.

- A gdyby powiedziała, że nie zadzwoni, nie byłabyś jej puściła, prawda?

Milczenie.

- Prawda?

Valerie wraca do kuchenki, żeby znowu przewrócić bekon i wtyka chleb do tosterka.

- Zjedz coś, poczujesz się lepiej. A potem idź i znajdź sobie coś do roboty. Wróci do domu, zanim się zorientujesz. A wtedy będziesz mogła na nią nawrzeszczyć. Miło będzie, czyż nie?

Irene wpatruje się w swoje dłonie.

- Ben i ja bierzemy sobie dzień wolnego i wybieramy się do Carmel.

Irene kiwa głową.

- Chcesz się wybrać z nami? - pyta Valerie, ale Irene umie poznać zaproszenie z litości, kiedy je słyszy.

- Nie, mam dużo roboty w domu. - Ale co takiego? Co ona ma do roboty w domu?

- Jakie chcesz jajka? - pyta Valerie, podchodząc znowu do kuchenki.

- Na głowie Sadie.

- Zrobię jajecznicę, dobrze?

- Wspaniale. - Bierze do ręki miniaturową kulkę do wróżenia, którą Valerie trzyma na stole. - Czy z Sadie wszystko w porządku? - pyta. Odwraca kulkę do góry nogami, a potem z powrotem, żeby wiadomość mogła przepłynąć do wizjerka. „Lepiej ci teraz nie mówić”.

- I co wyszło? - pyta Valerie. Irene mówi jej i wzdycha.

- Irene? -Co?

- To tylko kulka do wróżenia.

- Nigdy się nie myli. Chyba tak jest napisane na pudełku.

Ale kiedy Valerie stawia przed nią talerz z posmarowaną masłem grzanką i jajkami na bekonie, Irene zaczyna czuć się lepiej. Pojedzie do centrum. Pójdzie do kina. Pojedzie do Mili Valley i pójdzie na spacer po Tennessee Valley Road aż nad ocean. Przy tamtej trasie rośnie potężny trzystuletni dąb, na który lubi patrzeć. Widziała, jak ludzie stają przed nim i udają, że to jakieś bóstwo. Dużo ludzi tak robi. Może oni wiedzą coś więcej niż ona.

A kiedy wróci, Sadie z pewnością już będzie w domu. I wszyscy będą mogli powtarzać: „A nie mówiłem”.

Kiedy Sadie wychodzi z posterunku i wsiada do samochodu Rona, mówi:

- Nie mogę teraz o tym rozmawiać.

- Rozumiem - odpowiada Ron.

Jedzie powoli, ostrożnie, a Sadie ociera łzy, które ciągle napływają jej do oczu i płyną po policzkach. Myśli o tym, co działo się na posterunku, żeby nie myśleć o innych rzeczach. O szopie. O tym facecie.

Przesłuchiwała ją kobieta nazwiskiem Maria Sanchez, z bardzo źle zrobioną trwałą, ale bardzo sympatyczna. Sadie apatycznie przedstawiła policjantom przebieg wydarzeń, potem odpowiedziała na kilka pytań, które miały na celu po pierwsze, pozwolić, by tamci się upewnili, że nie poniosła żadnego uszczerbku na ciele, a po drugie, napędzić jej takiego stracha, żeby już nigdy nie wsiadła do samochodu z kimś obcym. Jakby jeszcze trzeba jej to było mówić! Potem przesłuchiwała ją pełnomocniczka stanowa Marilyn Woo, która powiedziała, że Sadie nie musi pojawiać się na przesłuchaniu

w sprawie zwolnienia za kaucją, musi natomiast się pojawić na procesie - zostanie zawiadomiona, kiedy rozprawa się odbędzie.

Gdy Sadie podpisała już formularz skargi, Marilyn Woo zapytała ją, czy chciałaby kogoś zawiadomić, żeby po nią przyjechał. Sadie zatelefonowała po Rona.

- Czy chciałaby pani zadzwonić też do matki? - zapytała pani Woo.

- Czy muszę?

Adwokat wzruszyła ramionami.

- Nie musi pani dzwonić do matki. Ma pani osiemnaście lat.

- W takim razie nie chcę - odpowiedziała Sadie. Pełnomocniczka przechyliła głowę na bok. -Nie?

- Nie tak od razu.

Mecenas Woo pochyliła się do przodu.

- Jakież kłopoty w domu? Coś, o czym chciałaby mi pani powiedzieć?

Sadie się roześmiała.

- Tylko tyle, że nie chcę się przy pani rozkleić. Mama zacznie płakać, kiedy do niej zadzwonię. A wtedy ja też zacznę. Jest bardzo impulsywna. To dlatego do niej nie zadzwoniłam, żeby po mnie przyjechała. Tak by się nakręciła, że stanowiłaby zagrożenie dla wszystkich, łącznie z sobą samą. Ale skorzystam z telefonu mojego chłopaka, żeby do niej zadzwonić, jak tylko wsiądę do samochodu.

Marilyn Woo wstała i położyła Sadie dłoń na ramieniu.

- Proszę na siebie uważać. I niech pani zrozumie, że trochę to potrwa, zanim pani dojdzie do siebie. Takie przeżycie może zaskakiwać panią w nieprzewidziany sposób. Może pani potrzebować pomocy, żeby przez to przejść.

Czy ta kobieta nie widzi, jaki hart ducha wykazałam podczas całego tego zdarzenia? - zastanawiała się Sadie. Czy nie zauważyła, że nie płaczę i odpowiadam na wszystkie pytania spokojnie i wyczerpująco?

- Jestem dosyć mocna - powiedziała.

- Wiem. - Adwokat popatrzyła na zegarek. - Jest pani wolna, Sadie.

Sadie siedziała przez chwilę bez ruchu, a potem wypadła z pokoju na korytarz. Usiadła na drewnianej ławce, żeby poczekać na Rona. Pomyślała, co by się stało, gdyby zadzwoniła do Irene, o całym melodramacie, który by się wtedy zaczął, o wymówkach. „Wsiadłaś do samochodu obcego mężczyzny?” Sadie wiedziała, że matka musi się martwić, ale ona sama potrzebowała trochę czasu, żeby sobie przemyśleć, co to wszystko znaczy - albo nie znaczy - dla niej i tylko dla niej. Nie chciała, żeby Irene dokonała analizy tego przeżycia, żeby tłumaczyła, co ono znaczy i jak Sadie ma się z nim uporać. Chociaż to wszystko było takie okropne, należało tylko do niej, a nie do matki. Miała poczucie, że jeżeli jest jakiś sposób, by się z tym wydarzeniem pogodzić, musi widzieć w nim nie coś, co jej się przytrafiło, tylko raczej zbieg przypadkowych okoliczności. Coś takiego delikatnie sugerowała jej Marilyn Woo, gdy powiedziała:

- Niestety, takie rzeczy zdarzają się aż za często. Nie

powinna pani myśleć, że to pani wina. Musi pani przyjąć na siebie odpowiedzialność za to, że wsiadła pani do tego samochodu, ale nie za to, co się wydarzyło później. To on jest niegodziwcem, prawda?

Może Sadie mogła poprosić adwokatkę, by zadzwoniła do matki i powiedziała jej, że wszystko w porządku i że jest w drodze do domu. Sadie wróciła do gabinetu, gdzie ją przesłuchiowano. Był teraz pusty. Ale w sąsiednim pokoju siedziała przy biurku jakaś kobieta; pracowała na komputerze, miała narzucony na ramiona sweter i okulary zsunięte na czubek nosa.

- Przepraszam panią - odezwała się Sadie. - Gdzie mogłabym znaleźć Marilyn Woo? Zapomniałam jej o czymś powiedzieć.

- Wyszła do sądu - powiedziała kobieta. - Ale mogę przekazać jej wiadomość.

Sadie zawahała się, a potem odrzekła:

- Nie, to nic ważnego.

Wróciła znowu na korytarz. Sama zadzwoni do Irenej, jak będzie na to gotowa. A teraz Sadie pyta Rona:

- Gdzie ty byłeś? Dlaczego nie przyjechałeś? Czekałam na tym rogu tak długo.

- Wiem, wiem, przepraszam cię. Miałem wizytę lekarską, która potrwała dłużej, niż myślałem że mi zajmie. Dowiedziałem się czegoś. Tak czy owak przyjechałem na miejsce, gdzie byliśmy umówieni, zaraz po tym, jak wsiadłaś do samochodu tego faceta. Nie wiedziałem, co się dzieje; wkurzyłem się i pojechałem za wami. Próbowałem dzwonić, ale nie odpowiadałaś. Potem zacząłem myśleć,

że może wpadłaś w tarapaty albo coś; to do ciebie niepodobne, żebyś nie odbierała, a poza tym ten facet jechał jak szalony; wiedziałem, że go zgubię. Więc zadzwoniłem do gliniarzy i podałem im jego numery rejestracyjne.

- Wiem, powiedzieli mi. Uratowałeś mnie. Naprawdę. Ron zatrzymuje się na światłach, a ona czuje, że na nią patrzy.

- Wszystko w porządku? - pyta, a Sadie kiwa głową. - Zrobił ci krzywdę, Sadie?

- Koszmarnie mnie przestraszył, to wszystko. Zamknął mnie w jakiejś szopie i powiedział, że przywiezie do mnie kogoś, żebym była... dla niego miła.

- Żartujesz? Zabiję go.

- Jest szalony i tyle. On... - Coś w niej wzbiera. - To wszystko, co na razie chcę powiedzieć.

- Dobrze. Ale czy teraz musisz coś zrobić? Cokolwiek?

- Nie. - Sadie zamyka oczy i myśli o tym, że kiedy wyszła na korytarz na posterunku, przelotnie widziała mężczyznę, który ją porwał. Był w kajdankach, gdzieś go prowadzili i nie wyglądał już na takiego potężnego ani twardego. Wyglądał smutno i tak trochę śmiesznie. Dopuszcza możliwość, że cała ta sprawa mogła nie mieć niczego wspólnego z handlem kobietami, tylko raczej była czymś w rodzaju wymyślnego żartu. Ale ten nożyk do kopert. Z tym posunął się za daleko, czyż nie? I jeszcze wyrzucił jej telefon przez okno. Może był na haju i zachowywał się irracjonalnie, jak to się dzieje z ludźmi pod wpływem niektórych narkotyków. A może jednak zajmował się handlem kobietami. Sadie przypuszcza, że dowie się tego na procesie.

Otwiera oczy i wygląda przez okno, ale chyba nic z tego, co widzi, do niej nie dociera.

- Ron - mówi. -Tak.

Sadie zaczyna coś mówić, potem urywa. Za dużo ma na głowie; nie wie nawet, czego najbardziej potrzebuje albo co chce powiedzieć. I wciąż jeszcze się boi - przed chwilą, kiedy zatrzymali się na światłach, jakiś mężczyzna minął ich blisko po stronie Sadie, a ona cicho krzyknęła i chwyciła za klamkę. Myśli, że upłynie dużo czasu, zanim znowu zaufa komuś obcemu, a nigdy już nie będzie tak na ślepo ufała, jak dawniej.

- Możesz się zatrzymać? - pyta, a Ron wjeżdża na miejsce, które się właśnie zwolniło.

- Myślę... chyba nie jestem jeszcze gotowa, żeby wracać do domu.

- Nie jesteś? -Nie.

- Dlaczego nie?

- Jestem po prostu... Nie jestem jeszcze gotowa, żeby stanąć twarzą w twarz z matką. Nie jestem gotowa, żeby opowiedzieć jej wszystko, co się stało. Muszę sobie przemyśleć, co chcę powiedzieć, jak mam jej powiedzieć.

- Ale ona musi się tak bardzo o ciebie martwić. Może przynajmniej powinnaś do niej zadzwonić i dać jej znać, że z tobą wszystko w porządku i niedługo wrócisz do domu.

- ...Tak. Pewnie tak.

Ron wyjmuje telefon i jej podaje. Sadie wystukuje wszystkie cyfry poza ostatnią, a potem się rozłącza.

- Ron, nie mogę. Po prostu jeszcze nie mogę! Chodzi mi o to, że tego jest za dużo. Ona nawet nie wie o tobie. Będę jej musiała powiedzieć o tobie, potem o tym facecie, a ona zaraz jakoś to połączy w jedną całość. Będzie obwiniać ciebie. I mnie, to oczywiste, ale ciebie więcej. Będzie nalegać, żebym już nigdy się z tobą nie spotkała. Znam ją; zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby usunąć cię z mojego życia. A kiedy ona się na czymś takim skupi, jest bezlitosna; nie przestanie.

Wiesz, chyba po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, że moje życie to moje życie. Ta straszna rzecz, która się stała, jakoś mi to uprzytomniła. Nawet ta adwokatka mówiła, że mam osiemnaście lat i nie muszę dzwonić do matki. Może... chodzi mi o to, że może w ogóle mogłabym jej o tym nie opowiedzieć. Może tak byłoby najlepiej.

- No nie wiem - mówi Ron. - Wydaje się to dziwne i tyle. Przecież jesteś blisko związana ze swoją matką, prawda?

- Ty jesteś bardzo blisko związany ze mną, prawda?

- Tak. - Ron się uśmiecha. - Tak, Sadie.

- Ale są rzeczy, które przede mną ukrywasz.

- Tak. - Ron odwraca wzrok.

Sadie wpatruje się w przestrzeń za nim. Obserwuje ludzi idących chodnikiem; jakaś kobieta w średnim wieku, ubrana w różową sukienkę z falbankami, wyprowadza psa; grupa turystów z saszetkami uśmiecha się i pokazuje palcami to i tamto. W sobotę rano pochylała się do okna samochodu, by wyjaśnić temu obcemu facetowi, jak ma jechać, a on ją porwał. A gdyby ją zabił? Próbuje sobie

wyobrazić, że leży rozciągnięta na podłodze, oczy ma szeroko otwarte i martwe, ale coś w tym nie gra. Już całe to wydarzenie zaczyna się wydawać nierzeczywiste, powoli blednie jak zły sen, a ona się z tego cieszy.

Jeżeli opowie matce, co się stało, Irenę zacznie zadawać milion pytań i Sadie będzie musiała przeżywać to na nowo. Potem, z powodu własnych lęków, Irenę może powiedzieć jej nie tylko, że ma przestać się widywać z Ronem, ale że będzie musiała mieszkać w domu, kiedy pójdzie na studia. I jest pewne, że Irenę podzieli się tym z ojcem Sadie. „Muszę!” - powie, a to go będzie bolało, stanie się dla niego źródłem wielkiego cierpienia, co z kolei jest źródłem wielkiego cierpienia dla Sadie.

Tak więc nie, postanawia. Nie powie matce. Co dobrego może z tego wyniknąć? Tylko Ron może ją pocieszyć; to on ją uratował, z nim może rozmawiać na temat tego, co się stało. Nie będzie wywierał na nią nacisku; zaczeka, aż będzie gotowa mu opowiedzieć. Sadie wymyśli jakieś usprawiedliwienie, które przedstawi matce. Nie ma poczucia winy, że oszuka Irenę. To instynkt samozachowawczy. A poza tym, jeżeli istnieje ktoś, kto powinien zrozumieć, że można coś zachować dla siebie, to właśnie Irenę Marsh.

Kilka tygodni temu Sadie przeczytała w gazecie artykuł o młodzieży, która mieszka w akademiku i której pozwolono trzymać w pokoju zwierzaki domowe, i zapytała matkę, czy mogłyby wybrać się do schroniska i zaadoptować kociaka, żeby Sadie mogła go trzymać w swoim pokoju, jeżeli jej współlokatorka się na to zgodzi. Irenę

uważała, że to dobry pomysł; wystarczy sobie przypomnieć, ile radości przyniósł im obu Shadow.

Siedziały w kuchni, kiedy o tym rozmawiały. Był późny wieczór i Irenę właśnie skończyła marynatę w stylu hinduskim do kurczaka, którego miała podać Valerie i kilku innym przyjaciółkom następnego wieczoru. Była zmęczona i kiedy Sadie zobaczyła worki pod jej oczami i obwisłe policzki, ogarnęło ją to mieszane uczucie czułości i irytacji, które ostatnio coraz częściej odczuwała w stosunku do matki. Irenę starzała się i zaczynało to być po niej widać. Chyba niepokoiło ją to bardziej niż Irenę, chociaż Sadie trudno byłoby powiedzieć, dlaczego. Nie dlatego, że starzenie się Irenę podsuwało aż nazbyt natarczywie myśl, że młodość Sadie nieuchronnie przeminie. Nie dlatego, żeby czuła się zażenowana, że kobieta, która niezaprzeczalnie była kiedyś przystojna, teraz wyglądała na bladą i znużoną. Nie. Chodziło o to, że starzenie się Irenę zapoczątkowało coś w samej Sadie, czego ta nie rozumiała i czego się wstydziła: kanciaste zniecierpliwienie, rodzący się gniew; a niekiedy niemal odrazę.

Ale tego wieczoru Irenę siedziała na ławie w kuchni i uśmiechała się do Sadie. To było zaproszenie, by się do niej przyłączyć, i chociaż dziewczyna tak naprawdę miała ochotę pójść i pogadać z Ronem przez telefon, wsunęła się na ławę obok matki.

- Jakiego kociaka byś chciała? - odrzekła Irenę.
- Rudego kocurka - stwierdziła Sadie.
- Taki był mój pierwszy kociak - powiedziała Irenę. - Rudy, pręgowany, z niebieskimi oczami.

A potem opowiedziała Sadie następującą historię: Irene miała dwadzieścia dwa lata i właśnie wprowadziła się do swojego pierwszego mieszkania. A to był pierwszy zwierzak, jakiego kiedykolwiek miała, wybrany z dużego miotu, który pojechała oglądać daleko na przedmieścia. Zawsze chciała mieć kota, ale rodzice się nie zgadzali, więc jako mała dziewczynka wycinała zdjęcia kotów z gazet i trzymała je w pudełku po butach, i po kolei wyjmowała. Jej papierowe kociaki były układane na poduszce do snu, leżały przy jej talerzu, gdy jadła posiłki. Przyklejała je taśmą do okna, żeby mogły wypatrywać, kiedy wróci do domu ze szkoły. Nadała każdemu z nich imię.

Opowiedziała Sadie, że była taka podniecona, kiedy jechała po tego kota, że musiała ciągle zdejmować nogę z gazu, żeby nie przekroczyć ograniczenia szybkości. Gdy dojechała na miejsce, w ogóle nie miała trudności z wyborem: kociak, którego wzięła, wybrał ją - podszedł do niej, usiadł u jej stóp, popatrzył do góry i zamiauczał. Irene nazwała go Gracie i kupiła mu niebieską obrózkę ze srebrnym identyfikatorem, dwie zabawki i najlepsze jedzenie, na jakie ją było stać. Przygotowała mu spanie w pudełku i użyła jednej ze swoich flanelowych koszul nocnych, żeby je wymościć, chociaż kociak wolał sypiać z nią.

I zaledwie po czterech dniach kociak umarł. Irene nie miała pojęcia, dlaczego; obudziła się pewnego ranka, a kociak leżał bez ruchu w nogach łóżka. Zastanawiała się, czy wcześniejsi lokatorzy nie wykładali jakiejś trucizny, którą znalazł. Zastanawiała się, czy nie urodził się

z jakąś śmiertelną wadą. Nie zabrała go do weterynarza, bo co on by pomógł? Zamiast tego pogrzebała go na pobliskim polu i ozdobiła malutki grób obróżką kociaka i bukietem polnych kwiatów.

- Nigdy nikomu o tym nie opowiadałam - powiedziała, a potem roześmiała się z łez, które musiała ocierać.

- Dobry Boże, nie wiem, dlaczego płaczę, to było tak dawno!

- Nie opowiedziałas nawet Valerie? - zapytała Sadie. Irene pokręciła głową.

- Dlaczego?

- Och, nie było jej w mieście, kiedy go przywiozłam. A potem, jak wróciła, nie było powodu, żeby jej o tym opowiadać. Kota już nie było.

- Ale to by ci pomogło, gdybyś opowiedziała Valerie!

- upierała się Sadie, a Irene odpowiedziała: - Nie, nie pomogłoby. Próbowaliby mnie pocieszyć, ale nie udałoby się jej. Zresztą tak czy owak, gdybym jej opowiedziała, jeszcze bardziej by to dla mnie urosło. Wyszłoby na świat. A ja chciałam, żeby pozostało jak najmniejsze, tak żeby szybciej minęło. Musiałam to zachować dla siebie.

Więc ta potrzeba swego rodzaju tajemniczości, autonomii jest czymś, co Sadie uczciwie odziedziczyła. Zresztą czy oszczędzenie rodzicom szczegółów tego, co się stało, nie świadczy o jej trosce? Tylko by się martwili. Albo obwiniali siebie. Zadzwonili do domu, kiedy poczuje się nieco bardziej opanowana. Kiedy będzie pewna historii, którą opowie.

Patrzy na Rona.

- Czy możemy gdzieś pojechać i pogadać?

Ron jedzie do parku Golden Gate i zostawiają samochód po stronie Fulton Street. Na zadrzewionym terenie znajdują porośnięte trawą miejsce i kładą się obok siebie. Kiedy Ron bardzo delikatnie bierze Sadie w ramiona, ona zaczyna łkać.

Ron nic nie mówi, tylko ją tuli.

- Myślałam, że on mnie zabije - wyznaje w końcu Sadie. - I zastanawiałam się, jak do tego podejść, próbowałam wymyślić, jak się zachować. I zamierzałam być taka jak mój kot.

- Jak twój kot?

Sadie śmieje się przez łzy.

-Wiem, że to głupio brzmi, ale on był... Kiedy umierał, był okay. A ja chciałam być okay. Chciałam być wdzięczna. Mimo że umierałam. Wiem, że to nie ma sensu. Ale nie potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy myślisz, że umrzesz!

- Potrafię, Sadie.

- Nie - mówi Sadie. - To tylko abstrakcja, dopóki coś takiego się nie stanie. Nie masz pojęcia, Ron.

- Ale ja naprawdę wiem, jak to jest. To część tego, co chciałem ci dziś powiedzieć.

- Co ty mówisz? Powiedziałeś, że to, co chcesz powiedzieć, to coś dobrego.

- Tak, dobrego.

- No to mi powiedz.

Ron siada i ona też siada, ociera twarz i bierze go za rękę.

- Powiedz mi!

- No dobrze... Kiedy miałem czternaście lat, zdiagnozowali u mnie raka.

- Co? Jaki rodzaj raka?

- Okrężnicy. Ale już go nie mam. To jest ta dobra wiadomość. W zeszłym tygodniu minęło pięć lat i zrobili mi wszystkie normalne testy. Wczoraj pojechałem po wyniki i powiedzieli mi, że wszystkie są negatywne.

Sadie wpatruje się w niego, ani drgnie.

- Negatywne to znaczy, że dobre - wyjaśnia Ron. - Lekarz powiedział mi, że jestem w stu procentach wyleczony. - Śmieje się. - Już go nie ma!

Teraz Sadie robi wydech. Patrzy na niego: na jego włosy, jego uszy, jego miękkie usta.

- Nie rozumiem tego - mówi. Ma na myśli życie.

- Ja też nie.

- Ale ty... Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Bo nie była odpowiednia pora.

- No to powiedz mi teraz.

- Co chcesz wiedzieć?

- Chcę wiedzieć wszystko. Nie wiedziałam nawet, że dzieci mogą mieć raka okrężnicy.

- Zwykle na to nie chorują. Statystyka, jaką nam podali, to że jeden na milion. To było takie dziwaczne, tego dnia kiedy mnie zdiagnozowali. Nie miałem pojęcia, że jest źle z czymś ważnym. Miałem trochę problemów z moimi, no wiesz, z jelitami, a mama zabrała mnie na taki szybki przegląd, zresztą i tak był już czas na badanie kontrolne. No więc on zrobił to i zrobił tamto, a potem mówi: „Ron, czy wiesz, że mamy nowe rybki?” - Miał w poczekalni takie fantastyczne akwarium, uwielbiałem

się przyglądać tam rybkom. - Może byś poszedł im się przyjrzeć? - dodał. - Chcę przez chwilę porozmawiać z twoją mamą. - Ani odrobinę się nie martwiłem. Nic mnie nie bolało, dobrze się czułem. Poprzedniego dnia zdobyłem wielkiego szlema podczas meczu baseballowego. Miałem czternaście lat. Wyszedłem do poczekalni i siedziałem, przyglądając się rybkom, a po jakimś czasie lekarz zawołał mnie z powrotem do gabinetu i zobaczyłem, że moja mama płakała. Pomyślałem: „Och, nie, mamie coś jest”, ale potem zobaczyłem po jej oczach, że chodzi o mnie. Pamiętam, że zrobiło mi się naprawdę zimno, i chciałem uciec. Pomyślałem: Jeżeli się stąd wydostanę, nie będę musiał tego słuchać, i to nie będzie prawda. Nie będzie.

- Popatrzyłem na drzwi, a doktor musiał wyczuć, że myślę o ucieczce, bo przesunął się i stanął przed nimi. Odezwał się: „Ron, mama musi ci coś wyjaśnić”. - A wtedy wstała i podeszła do mnie, ujęła moją twarz w ręce i powiedziała: „Ron, będziesz zdrowy, ale musisz mieć operację, a potem przejść całe leczenie na tę chorobę, którą, jak właśnie się dowiedzieliśmy, masz”. „Jaką chorobę?” - zapytałem, a mama powiedziała mi, że to rak okrężnicy, i tylko patrzyła mi prosto w oczy. A ja mogłem myśleć tylko o moim ojcu, który zmarł na tę chorobę, jaki pod koniec był słaby i chudy, po prostu kompletnie wyniszczony. I powiedziałem: „Tato na to zmarł”. A mama odrzekła: „Ty nie jesteś tatą. I będziemy przez to przechodzili po jednym dniu naraz. Dzisiejszy dzień jest najtrudniejszy”.

Ron patrzy na Sadie i uśmiecha się.

- To był trudny dzień, ale nie ten najtrudniejszy.

- Czy musiałeś mieć chemioterapię? -Tak.

- Robiło ci się niedobrze?

- Och, tak.

- Czy powypadały ci włosy?

- Trochę. Ale dowiedziałem się o tym triku z recepturką.

Zakładałem sobie recepturkę tam, gdzie zaczynają się włosy, i to pomagało nie dopuszczać tego lekarstwa do skóry na głowie. I tak zresztą straciłem trochę włosów, ale nie wszystkie. Tak naprawdę nie było widać.

- Bałeś się?

Ron podnosi oczy na niebo.

- Tak. Mama mówiła mi, że będę zdrowy, ale trochę poszperałem i zrozumiałem, że szanse na przeżycie są bliskie zera. To był najtrudniejszy dzień, kiedy to przeczytałem. Dzieciakom nie najlepiej się wiedzie przy raku okrężnicy; atakuje ich bardziej agresywnie i zwykle później się go wykrywa. Zanim się go znajdzie, wszędzie już są przerzuty. Dopadło mnie to. Czytałem te wszystkie teksty i na serio się bałem. Myślałem dużo o śmierci, jak to może naprawdę być, jakie to będzie uczucie, kiedy będę umierał. A potem nagle po prostu wiedziałem, że wyzdrowieję.

- Skąd wiedziałeś? - zapytała Sadie.

- No cóż, tak naprawdę to nie wiedziałem, oczywiście. To było bardziej jakby... Chyba jakbym się przy tym uparł. Mama straciła ojca przez raka; a ja po prostu doszedłem do wniosku, że wystarczy tego, więcej nie trzeba.

Sadie potrząsa głową.

- Tak więc... Mogę cię o coś zapytać? Czy bardzo cię to zniechęca? - Ron pyta ze śmiechem.

-Nie.

- Ale cię chyba nie zachęca, co? Bo to byłoby też źle. To byłoby takie dziwaczne.

Sadie opiera się na łokciu i patrzy na Rona.

- Dzięki temu lepiej cię rozumiem. I dzięki temu lepiej cię znam. Chcę znać każdą twoją cząstkę.

- No, ja też. To znaczy twoją cząstkę.

Sadie znowu się kładzie, zrywa źdźbło trawy i patrzy na nie uważnie.

- No i jak, czy to całkowicie odmieniło twój pogląd na życie?

- No cóż, to była dosyć intensywna edukacja, nie? W pierwszej chwili nie wiedziałem, co myśleć. Pod drodze do domu z gabinetu lekarza wszystko wyglądało tak wyraziście. Naprawdę pięknie. Patrzyłem na wszystko tak, jakbym to widział po raz ostatni czy coś. Ale potem tak jakby przyzwyczailem się do tego, że mam raka. Ludzie mówią, że można się do wszystkiego przyzwycząić, i to prawda. Jedno, co mi zostało, to że zawsze próbuję znaleźć... lepszą stronę w każdej rzeczy. Tak jak wtedy, kiedy chodziłem na chemioterapię i naprawdę podobała mi się jedna pielęgniarka. No więc jak musiałem się stawić na leczenie, nie myślałem o tym, jak mi będzie niedobrze; tylko o tym, że zobaczę Leslie; była naprawdę ładna i zawsze umiała mnie rozśmieszyć. Pewnie moje ogólne nastawienie do życia jest czymś, co dał mi rak. Ten pomysł, że niezależnie od tego, jak długo żyjemy,

powinniśmy doceniać siebie nawzajem. I powinniśmy, wiesz, podejmować ryzyko, wypowiadać się otwarcie... Ja z pewnością nauczyłem się, że niewiele jest takich sytuacji, kiedy nie mamy wyboru, jak się chcemy ustawić w stosunku do danej sytuacji. No więc kiedy powiedziałaś to o swoim kocie... to do mnie trafia.

- Tak - mówi Sadie.

- Zresztą. To dlatego nie chciałem z tobą się przespać. Nie chciałem się za bardzo zaangażować, gdyby...

- Ale teraz możemy się zaangażować? Ron znowu się uśmiecha.

- Och, powiedziałbym, że jesteśmy już porządnie zaangażowani. Powiedziałbym, że to nieco więcej niż zaangażowanie.

Sadie czuje, jak ogarnia ją fala radości. Ogromnej ulgi.

- Tak bardzo cię lubię - mówi do niego. - Kocham cię, właściwie.

- Miłość to wielkie słowo, Sadie.

- Wiem. Wiem, że wielkie. Ale tak jest.

- Okay, muszę ci coś powiedzieć. Postanowiłem, że jeżeli dowiem się czegoś złego, to z tobą zerwę. Nie chciałbym, żebyś była przy tym, co mogło nastąpić. Ale jeżeli wiadomości będą dobre, obiecałem sobie, że powiem ci coś innego. Po pierwsze, musisz wiedzieć, że zawsze byłem bardzo zdecydowanym dzieciakiem. Mama opowiedziała mi, że pewnego razu, kiedy w wieku trzech lat miałem kłopoty z wdrapaniem się na jakieś urządzenie na placyku zabaw, wyraźnie zabroniła mi się na nim bawić, bo byłem na to za mały. A ja powiedziałem jej: „To jest moje życie”. Nie usłyszałem nigdzie

tego wyrażenia; po prostu wydawało mi się, że decyzje, które podejmuję, naprawdę zależą ode mnie i tylko ode mnie, już w tym wieku.

- Ach! - wzdycha Sadie. - Więc oboje doszliśmy do tego samego wniosku. Tyle że ty wyprzedziłeś mnie o piętnaście lat.

- Racja. Potem, jak miałem dwanaście lat, zapytałem moją mamę, czy podpisałaby dla mnie zgodę, żebym mógł się ożenić.

- Z kim chciałeś się ożenić?

- Z Cindy Hollinger. Klasową pięknoscią. Ale, jak się okazało, również klasową idiotką.

- To właśnie problem z pięknosciami - mówi Sadie.

- Z tobą nie ma tego problemu.

- Ta, wiesz, ja nie jestem pięknoscią.

- Ja uważam, że jesteś.

Sadie przełyka i odwraca od niego wzrok.

- Sadie? Nic ci nie jest? Milczenie.

- Czy właśnie pomyślałaś o tym, co ci się przydarzyło?

Sadie kiwa głową, a potem odwraca się do niego. Ron przyciąga ją blisko do siebie i leżą chwilę bez ruchu. W pobliżu bawi się grupka dzieci, ich głosy są takie radosne i ożywione.

- Co jeszcze? - pyta w końcu Sadie.

- Co jeszcze?

- Chyba jest coś jeszcze, co chciałeś mi powiedzieć.

- Och, racja.

- Powiedz mi - nalega Sadie.

Ron patrzy na nią.

- Powiedz mi! Po prostu to powiedz.

- Dobrze. To prawdopodobnie nie jest właściwy moment, ale i tak ci powiem. Jak tylko będziesz gotowa, chcę się z tobą ożenić.

Sadie się śmieje.

- Mówię serio - dodaje Ron.

- Dobrze - zgadza się Sadie. - No to zrobmy to.

- Myślisz, że tego nie zrobię? Zrobię!

- Nie boisz się małżeństwa?

- Nie. Zawsze wiedziałem, że chcę się ożenić. Pewnie zainspirowali mnie moi rodzice.

- No tak - wzdycha Sadie. - Dla mnie było odwrotnie. Z miejsca w pierwszym rzędzie mogłam obserwować, jak się rozpada małżeństwo.

- No to się nauczyłaś, czego nie robić. Ja nauczyłem się, co robić. Tak więc wspólnie... - Patrzy na nią.

- Sama nie wiem, co powiedzieć.

- Nie powinienem był ci mówić tego wszystkiego. Nie dzisiaj.

- Nie szkodzi. Cieszę się, że mi powiedziałeś.

- Wiesz, mój ojciec umarł młodo, ale ponieważ pobrali się tak młodo, udało mu się pobyć z mamą przez dosyć długi czas. Pobrali się, kiedy znali się zaledwie od dwóch tygodni. Dwa tygodnie!

- Ile mieli lat, jak się pobrali? - pyta Sadie.

- Tata miał osiemnaście, a mama szesnaście.

- Co za wspaniały przepis na katastrofę! Ron wzrusza ramionami.

- A mimo to. - Delikatnie kładzie palec przy niemal

przejrzystym zielonym owadzie, który wylądował mu na rękę, owad odlatuje, a Sadie myśli, że miał szczęście, że to była ręka Rona. Ron mówi dalej:

- Co więcej, uważam, że pobieranie się młodo może być najlepsze. Ludzie dorastają razem, a przy tym zbliżają się do siebie. Patrząc teraz na ludzi, popieprzone to wszystko. Za długo czekają. Mają za silne nawyki i nie potrafią pójść na kompromis. I mają dzieci, kiedy są już, no, starzy, a to po prostu nie w porządku. Nie w porządku w stosunku do dzieci i nie w porządku do nich samych.

- A do tego ich dzieci mają więcej problemów - wtrąca Sadie.

Słyszała kiedyś, jak rozmawiały dokładnie na ten temat jakieś dwie starsze panie, które szły ulicą przed nią. Sadie doszła do wniosku, że są wściekłe, ponieważ ich dzieci nie chcą im dać wnuków.

- Słuchaj, Ron? Czy lekarze mówili kiedyś twojemu ojcu, że jest wyleczony?

- Nie. Nie, nigdy czegoś takiego nie usłyszał.

- Och, przepraszam.

- Czy ty wierzysz w Boga, Sadie?

- Nie wiem.

Ron patrzy na nią.

- Nie wiesz? Więc jesteś agnostyczką?

- Nie mam nawet na tyle pewności, żeby czymś takim być.

- Ja wierzę w Boga - mówi Ron. - I czasami wydaje mi się, że czuję obecność mojego ojca. Tak naprawdę.

- To miło - mówi cicho Sadie.

- Opowiedziałem mu o tobie - ciągnie Ron. - Aprobuje ciebie.

- To dobrze.

Leżą przez jakiś czas w milczeniu, przysłuchując się głosom ludzi przechodzących przez park, wszystkim tym dziwnym językom: francuskiemu, niemieckiemu, czemuś, w czym Sadie rozpoznaje hiszpański, ale Ron twierdzi, że to portugalski. Kiedy go pyta, skąd wie, wyjaśnia, że mówi po portugalsku - nauczył się go, bo ktoś mu powiedział, że to trudny język. Mówi też płynnie po francusku i hiszpańsku, a teraz uczy się japońskiego.

Sadie cieszy się z tej jego wiedzy, jest z niej dumna. Słońce opada niżej na niebie, robi się chłodniej. Ron pyta:

- Jesteś głodna?

- Która godzina?

- To ci powie, czy jesteś głodna? - śmieje się Ron.

- Nie wiem. Tak.

- Jest wpół do siódmej.

- Okay, to jestem głodna. Chodźmy gdzieś na kolację.

- Gdzie chcesz pójść?

Sadie zastanawia się przez minutę, a potem mówi:

- Gdzieś, gdzie szybko dają jeść. Zjemy, a potem opowiem ci całą resztę mojego planu.

Ron przyciąga ją do siebie i odchyła jej brodę do góry.

- Mogę cię pocałować?

Sadie kiwa głową, a kiedy Ron przyciska delikatnie usta do jej warg, myśli o tym, jak miło muszą

wyglądać, para pod drzewami obejmująca się nawzajem. Stanowią siłę przeciw światu, są młodymi ludźmi, którzy umieją kochać, którzy są wystarczająco odważni, by kochać.

19.

W poniedziałek w nocy John zerka na zegar przy łóżku i mówi do Amy:

- Jest po pierwszej, jutro mamy dzień pracy. Powinniśmy iść spać.

- Najpierw jeszcze trochę mi poopowiadaj - prosi Amy. - Uwielbiam słuchać, a poza tym nie jestem zmęczona. A ty?

John zastanawia się nad odpowiedzią.

- Właściwie to nie. Czuję się, jakbym właśnie odbył wspaniały trening. - No bo istotnie tak było.

Amy siada, opiera się o poduszkę, odgarnia zdecydowanie włosy za uszy. Nie zadaje sobie trudu, by zakryć piersi, co Irenę zawsze robiła, a John nie jest pewien, jaki ma właściwie do tego stosunek. Chyba jest w nim odrobina purytanizmu; łatwo czuje się czymś takim zażenowany. I trudno mu przez to skoncentrować się na tym, co mówi. Siada obok niej, całuje ją w czoło, a potem wpatruje się przed siebie.

- Nie przeszkadza ci, że zadaję te wszystkie pytania na twój temat? - mówi Amy.

- Nie, pod warunkiem że odpowiesz na moje pytania na twój temat. - Zerka na nią, a potem szybko odwraca wzrok.

Amy podciąga przykrycie na piersi. John wyobraża sobie, że ona myśli: zrozumiałam. Żal mu samego siebie: jest śliczna, jej piersi są piękne; a teraz przez niego poczuła się onieśmielona. Ale Amy mówi tylko:

- Tak więc Mały Budowniczy i zestawy konstrukcyjne, Erector i Tinkertoy. Co jeszcze?

- A wcześniej klocki - podejmuje John. - Mama mówiła, że uwielbiałem się bawić klockami. Budowałem możliwie najwyższe wieże, a potem je wywracałem i zaczynałem od nowa. Jak się zdaje, mogłem to robić godzinami.

- I miałeś na sobie pasiaste koszule i sztruksowe spodenki, i buciki Buster Brown?

- I szelki - dodaje John.

Terapeuta powiedział kiedyś jemu i Irene, że powinni się od siebie dowiedzieć, jacy byli jako dzieci, że pomogłoby to wytworzyć między nimi ważną więź.' Ale na tym etapie John wiedział już dużo o Irene jako dziecku; opowiadała mu różne rzeczy, a on zadawał jej dużo pytań. Wiedział, że przez całą czwartą klasę, leżąc w łóżku, próbowała wykoncypować, jaka jest największa liczba na świecie, i niemalże płakała z frustracji, bo niezależnie od tego, co wymyśliła, wystarczyło dodać jeden, i już było więcej.

Wiedział, że kiedy miała dwanaście lat, wślizgnęła się kiedyś do kościoła i wpatrywała się w krucyfiks, ponieważ koleżanka katoliczka powiedziała jej, że jeżeli

będzie patrzyła uważnie, zobaczy jak Jezus krwawi. Powiedziała, że wpatrywała się tak długo, że wydawało jej się, że rzeczywiście widziała krople krwi. Wiedział, że piekła ciasteczka, żeby rozdawać je obcym, których spotkała na ulicy; wiedział, że przez lata marzyła o koniku morskim, którego reklamowano na okładce jakiegoś czasopisma. Wiedział, że będąc w zuchach, była zbyt nieśmiała, by zaśpiewać *Gdy dzień się kończy*, piosenkę, zamykającą spotkania, więc ją wykopano za niechęć do współpracy. Wiedział, że kiedy poszła do szpitala na operację usunięcia migdałków, myślała, że rodzice zamierzają ją tam zostawić, bo nie powiedzieli, że wrócą rano. Wiedział, że w każdą sobotę rano chodziła do domu swojej najlepszej przyjaciółki Sally i że ćwiczyły całowanie się na łóżku jej rodziców.

Wiedział, że utrata dziewictwa okazała się rozczarowaniem, że po raz pierwszy zapaliła jointa, kiedy miała osiemnaście lat i że jej nie smakował. Wiedział, że nigdy nie wyprawiono jej przyjęcia urodzinowego, a co bardziej zdumiewające, nie widziała w tym niczego nadzwyczajnego. Wiedział, że kiedyś, trzymała martwego ptaka w pudełku po butach pod łóżkiem przez tydzień, bo myślała, że miłość go uleczy. Wiedział, że kiedyś ukradła kosmetyk - próbkę szminki w kolorze Creamy Toffee - a potem za bardzo gryzło ją sumienie, by mogła jej użyć.

On nie interesował Irenę. Nie lubiła słuchać żadnych opowieści, w których występowała jego matka. Kiedy już kilku z nich wysłuchała, poprosiła, by więcej nie opowiadał. Chyba jej sprawiały przykrość, chociaż nie

powiedziała tego - przyznała się natomiast, że budzą w niej gniew. To, co widział w jej oczach, kiedy opowiadał te historie, nie przypominało jednak gniewu. Tylko coś w rodzaju bezbronności, której nie cierpiała przed kimkolwiek ujawniać.

Irenę wiedziała, że zaczął pracę od uczenia maluchów jazdy na nartach i że wkrótce zaoferowano mu stanowisko instruktora prowadzącego. W związku z tym to do niego zwrócili się inni nauczyciele, by poprosił szefa

o podwyżkę. Kiedy to zrobił, szef go wywalił, więc John założył własną szkółkę. Na koniec miał jedną trzecią klientów z dawnej szkoły i ośmiu instruktorów, i bardzo dobrze na tym wychodził. Wiedziała, że następnego roku wybrał się do Europy i objechał całą autostopem: Bruksela, Luksemburg, Florencja, Ateny, Paryż, Marsylia, Zurych, Monachium, Dublin. Zelektryzowało go to, co zobaczył: stare, bardzo stare budynki, które nie tylko były konserwowane, ale i wykorzystywane. Ludzie jedli, pili

i uczestniczyli w rozrywkach w przestrzeni miejskiej. On sam był produktem klasy średniej z przedmieść, ale go olśniło. Tego właśnie, pomyślał, potrzeba w Ameryce. Tym będzie się zajmował. Irenę podobała się ta opowieść. Powtarzała ją swoim przyjaciołom w obecności Johna, a on czuł się dumny, kiedy to robiła. Ale na tym mniej więcej kończyło się to, co o nim wiedziała.

Natomiast kiedy opowiada to samo Amy, odnosi wrażenie, że ona chce wiedzieć jeszcze więcej; John czuje się mile połączony i daje mu to nadzieję, że zaczyna ich łączyć naprawdę mocna więź. Na początku, kiedy zaczęła zadawać te wszystkie pytania, ogarnęło go jakieś

takie znużenie. Zaczyna się, pomyślał. Jaki jest twój ulubiony kolor, jaka jest twoja ulubiona potrawa? Tak jak wtedy, kiedy Sadie dostawała obsesji na punkcie którejs książki z obrazkami i czytało jej się tę samą ciągle od nowa. Ale w pewnym sensie przyjemnie było jej tak czytać, jakoś go to zakotwiczało, jeżeli nie mógł zakotwiczyć się w jednym miejscu, przynajmniej udawało mu się to w innym.

Tak więc będzie odpowiadał na pytania Amy i ona wkrótce się dowie, że John uwielbia grejpfruty, a nienawidzi mango, że powinien zwracać uwagę na poziom cukru we krwi, że kiedyś zbudował żaglówkę w swoim salonie, wyniósł ją odwróconą bokiem i natychmiast sprzedał; nie chciał nią żeglować, chciał tylko ją zrobić. Będzie wiedziała, że pierwszym projektem zawodowym, jakim się zajął, był dom opieki w rozsypce, który kiedyś stanowił okazałą rezydencję, a kiedy go już odnowił, wynajmował pokoje studentom, żeby go sfinansować. Dowie się, że John zna się na stolarstwie i hydraulice, ale nie na elektryczności, ponieważ gdy pierwszy raz próbował podłączyć światło, prąd poraził go tak paskudnie, że spadł z krzesła i miał już dość elektryczności. Dowie się, że realizując drugi projekt, szukał zrujnowanych budynków, które zostały porzucone, i zadzwonił do właściciela jednego z nich z pytaniem, czyby go nie sprzedał. Spotkał się z tym człowiekiem, bardzo zamożnym biznesmenem, który odziedziczył ów dom i właściwie nie chciał z nim mieć nic wspólnego. Spodobał mu się John i skończyło się na tym, że podarował mu budynek. - Ale muszę panu powiedzieć - poinformował Johna

- że mieszka tam taka banda żalonych ludzi, którzy od długiego czasu nie płacą czynszu: ćpuny, prostytutki, dilerzy. Perspektywa, że sytuacja się zmieni, nie za bardzo ich uszczęśliwi.

Dzień po tym, jak zakończyli papierkologię, John wsiadł do samochodu, używanego jaguara na ostatnich nogach, i pojechał przyjrzeć się budynkowi. Pod drodze włączył muzykę w radiu i śpiewał do wtóru. To było silniejsze od niego; czuł się podekscytowany. Ale kiedy tam podjechał, na stopniach frontowych siedział groźnie wyglądający czarnoskóry mężczyzna. Był ubrany cały na czarno i miał obrózkę zrobioną ze srebrnych dolarówek. Przyglądał się, jak John wysiada z samochodu, przyglądał się, jak podchodzi. John kiwnął głową i usiadł obok niego na schodach, i podał mu rękę, której ten nie przyjął.

- Nazywam się John Marsh - powiedział - i jestem nowym właścicielem tego budynku.

- Tak - warknął mężczyzna. - A ja jestem menedżerem tego budynku. Kumasz, skurwysynu?

- Przyjechałem tu na konwersację, nie na konfrontację

- ciągnął John. - Jeżeli wdamy się w konfrontację, to pan wygra. Ale mam propozycję: zamierzam odremontować ten dom. Nie musi pan płacić czynszu; nikt nie musi. Proszę tylko o jedno. Wiem, że o ten budynek nikt nie dbał, ale nie niszczyć go bardziej. I dajcie mi znać, jak wszyscy będziecie gotowi się wyprowadzić.

Mężczyzna kiwnął głową. Popatrzył na samochód Johna, potem na niego, i Johna uderzyło to, jakie ma zaczerwienione powieki. Potem powiedział:

- Umiem poznać japiszona na dorobku.

Johnowi przyszło na myśl, żeby się bronić, żeby powiedzieć, że kupił ten samochód za półdarmo, ponieważ auto tak pięknie się prezentowało, przedkładając jak zwykle styl nad istotę rzeczy, i że będzie miał szczęście, jeżeli pojazd przetrzyma miesiąc. Ale nie powiedział nic. Pewnie był japiszonym.

Po sześciu miesiącach facet zadzwonił.

- Wynieśliśmy się - powiedział i odłożył słuchawkę. A John rozpoczął pracę stanowiącą treść jego życia, remontowanie starych budynków, ponowne ich ożywianie i przywracanie im urody, jaką kiedyś miały. Nic innego nie potrafiło tak podtrzymać go na duchu, jak to. Patrzy na Amy.

- Dużo ci opowiadałem o sobie. Opowiedz mi coś o tobie.

- Co chcesz wiedzieć?

- Och... może coś, o czym nie wie nikt inny.

- W czwartej klasie byłem kandydatką na najładniejszą dziewczynę.

- Coś innego. Coś naprawdę osobistego.

- No dobrze. Nienawidzę myć zębów. John wybuchł śmiechem.

- Ale dlaczego?

- Bo to takie nudne. Więc myjąc zęby, spaceruję sobie. Czasami czymś się zajmuję, na przykład odkurzam albo jedną ręką ścielę łóżko - jestem bardzo dobra w ścieleniu łóżek jedną ręką.

- No więc nienawidzisz myć zębów. Powiedz mi o czymś, co kochasz.

- Och, pasiaste koszule. Bekon w niedzielę. Ptaki co rano. To, jak czytasz pierwszy akapit książki i już wiesz, że ją pokochasz. A chociaż potrafię być jedną z takich niecierpliwych osób, które nienawidzą na coś czekać, to są rzeczy, na które czekanie mi nie przeszkadza. Na niektóre rzeczy warto czekać, bo to daje dużo radości. - Odwraca od niego wzrok, wypowiadając ostatnie słowa, a on zastanawia się, czy mówi o nich. Ma nadzieję, że tak.

Chce jej powiedzieć, że ją podziwia. Chce jej powiedzieć, że uważa, iż jest cudowna, a kiedy to zrobi, znowu ściągnie jej przykrycie z piersi. Ale w tej chwili dzwoni telefon, zaskakując ich oboje.

- Przepraszam cię - mówi John i pochyla się przez nią, by wziąć słuchawkę. - Nie mam pojęcia, kto to może być.

I nie ma. Ale czuje jakąś zmianę w atmosferze, wyczuwa od strony Amy, że ona wie, kto to mógłby być, i że nagle i niepokojąco przypomniało jej się, że jeszcze wielu rzeczy o nim nie wie.

John odbiera i mówi „halo”, i Irenę natychmiast zaczyna nadawać.

-John, to ja, przepraszam cię, że dzwonię tak późno, naprawdę mi przykro, ale nie wiem, co robić. Och, to pewnie całkiem niekonieczne, ale nie wiedziałam, co mam zrobić.

- Irenę - mówi John samymi wargami do Amy, przewracając oczami.

Amy uśmiecha się, ale równocześnie odsuwa się od niego, John to czuje. Może, jak tylko on odłoży słuchawkę, to powie, że musi iść, widzi takie zagrożenie.

Podnosi do góry palec, a Amy kiwa głową. Ale potem rzeczywiście wstaje i wciąga sukienkę. John z radością widzi, że nie włożyła bielizny, więc może jeszcze nie wychodzi. Pokazuje na drugi pokój. John rozumie. Chce mu pozwolić porozmawiać na osobności. Irenę jeszcze nie skończyła przekazywać swoich rozwlekłych przeprosin.

- Co się dzieje, Irenę? - pyta John z większą, niż zamierzał irytacją w głosie.

Na moment zapada milczenie, a potem Irenę mówi:

- Chodzi o Sadie.

Zamiera, a potem udaje mu się wykrztusić:

- Co się stało?

- Sama nie wiem, pewnie nic. Ale wybrała się na tę wspinaczkę ...

- Co się stało? Czy spadła?

- Nie wiem. Nie wiem, gdzie ona jest. Nie zadzwoniła, nie wróciła do domu, nie odbiera komórki.

John wstaje i zaczyna wkładać spodnie.

- Czy dzwoniłaś na policję?

- Tak, zgłosiłam zaginięcie. Uważali, że to nic poważnego, ale...

- Co jeszcze?

- O co ci chodzi?

- Co jeszcze?

- No, dzwonię do niej... i dzwonię. Zostawiłam wiadomość na telefonie Meghan.

- Czy dzwoniłaś do szpitali? -Nie.

- No to podzwoń po szpitalach, Irenę! Czy dzwoniłaś do kogoś z tych, z którymi miała się wspinać?

-Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo nie znam ich numerów.

- Nie wiesz, jak się nazywają, czy tak? Milczenie.

- Irene?

- Podała mi kilka nazwisk, ale zapomniałam. To znaczy, ona...

- Rozłącz się i dzwoń do szpitali. Przyjadę najszybciej, jak będę mógł.

- Nie musisz przyjeżdżać, John. Wszyscy oprócz mnie uważają, że z nią wszystko w porządku... Ona pewnie tylko... Nie musisz przyjeżdżać. Po prostu chciałam, żebyś wiedział. Pomyślałam, że może podsuniesz mi jakiś pomysł. I zrobiłeś to. Powiadomię cię, jak...

- Już się zbieram. Złapię pierwszy lot. Odkłada słuchawkę i do pokoju wchodzi Amy. John podnosi na nią wzrok.

- Moja córka zaginęła. Muszę lecieć do San Francisco.

- Zaginęła? -Tak.

- Od kiedy jej nie ma?

- Od trzech dni.

- Czy nie mówiłeś mi, że wybiera się na wspinaczkę po skałkach?

- Tak. I jeszcze nie wróciła do domu. I w ogóle nie zadzwoniła do matki, a powiedziała, że zadzwoni.

- No tak... rozumiem, że się martwisz, ale w jej wieku to się zdarza. Mam przyjaciółkę, której córka pojechała

do Boundary Waters i wróciła do domu dopiero pięć dni po terminie. Czasami dzieci...

- Słuchaj, ja znam swoją córkę. To do niej niepodobne. Ma kłopoty.

Podchodzi do szafy i zaczyna się pakować.

- Może... powinnam pójść do domu? - pyta Amy. John odwraca się do niej.

- Tak, chyba jestem... To może być dobry pomysł. Przepraszam cię, po prostu muszę jak najszybciej wyjechać i być z moją żoną.

- Rozumiem.

John sięga do szafy, by wyciągnąć kilka koszul, a kiedy znowu odwraca się do Amy, jej już nie ma.

Przez moment źle mu z tym i zastanawia się, czyby nie pójść za nią. Powinien pójść za nią. Ale nie chce myśleć o Amy. Ma wrażenie, że wszystko, co się między nimi stało, to takie ładne złudzenie, jazda na karuzeli. A to jest jego świat: Sadie.

We wtorek późnym rankiem Irenę zanosi do salonu naręcze bielizny pościelowej. Czuje taką ulgę, że John przyjeżdża. Jest jedynym człowiekiem, który rozumie ten rodzaj miłości, jaki ona czuje do Sadie - nie tylko rozumie, ale i podziela. Jest jedynym człowiekiem, który zgodził się z Irenę, że sytuacja jest poważna. Po raz pierwszy od długiego czasu rozumie, że sprzymierzyła się z Johnem przeciw tym z zewnątrz. Ostatni raz stało się to przed wielu laty, kiedy pewna para wreszcie opuściła ich dom po wieczorku, który przez uprzejmość można by nazwać mało zachwycającym, a Irenę zamknęła za gośćmi drzwi, potem odwróciła się i tylko popatrzyła na Johna, który stwierdził:

- Wiem. Czy mogę jako pierwszy sobie na nich po-ujeżdżać?

Zadzwoił do niej z lotniska, że dostał się na lot o szóstej pięćdziesiąt pięć rano. Powinien wylądować o jedenastej trzydziści dziewięć, to znaczy za piętnaście minut. Zaproponowała, że go odbierze, ale powiedział,

że powinna zostać w domu - weźmie taksówkę. Chce przygotować dla niego łóżko - był na nogach przez całą noc; należy do ludzi, którzy nigdy nie potrafią zasnąć w samolocie, a zresztą i tak niepokój nie pozwoliłby mu spać. Wolałaby, żeby nie zatrzymywał się w hotelu, nie w tych okolicznościach. Ale nie może położyć go w łóżku Sadie; to by sugerowało, że córka może nie wrócić. Nie może go też położyć u siebie. Sofa w salonie jest za krótka dla niego, a poza tym zbyt niewygodna; nie po raz pierwszy Irenę żałuje, że nie zwracała na to uwagi. Pewnie mogłaby zadzwonić i kazać sobie przywieźć jakieś łóżko z wypożyczalni, ale nie chce już absolutnie nic więcej brać sobie na głowę. Postanawia, że sama będzie spała na sofie.

Kiedy kładzie czystą pościel na swoim łóżku, przypomina sobie, jak po raz pierwszy wybrali się na weekend do domu nad jeziorem razem z drugą parą, przyjaciółmi Johna. Pewnego wieczoru tamta para postanowiła pojechać na zakupy i odrzuciła propozycję Irenę i Johna, że pojedą z nimi i im pomogą. „Zostańcie i bawcie się dobrze” - powiedzieli. John zaproponował, żeby oboje poszli się wykąpać nago, i zrobili tak, ale woda była lodowata i skończyło się na tym, że weszli do łóżka przyjaciół, żeby się ogrzać, jako że ich własne łóżka to były elementarne prycze, zapewniające niewiele ciepła czy komfortu. Potem kochali się, a Irenę martwiła się, żeby czegoś nie poplamili. Tak więc nie rozłączyli się po orgazmie Johna i chichocząc zsunęli się razem z łóżka, i wstali, i przeszli do łazienki. Tam się rozdzielili, roześmiali, umyli się i znowu się kochali na podłodze

w łazience. Czuli się wtedy ze sobą swobodnie, taką radość dawało im bycie razem.

Irene stoi bez ruchu, zapatrzona przed siebie, i wspomina. To dziwne, jak się pomyśli, że ci zgorzkniali ludzie, którymi się stali, byli kiedyś tamtą parą. Dziwne, że teraz najsilniej daje się między nimi odczuć sztywność, ostrożność. A do tego urazę, to poczucie u każdego z nich, że druga strona raz za razem go rani i nawet się do tego nie przyzna, nie mówiąc już o tym, żeby przeprosiła i obiecała się poprawić. Irene zastanawia się czasami, czy to by coś pomogło, gdyby kontynuowali terapię. Ale oboje jej nie znosili. Oboje stawiali opór. A zresztą zanim się wybrali, było już za późno. Utracili coś istotnego, co jest konieczne, jeżeli ma się zostać razem. Jak Irene powiedziała Val, zgasł wieczny płomyk. Kompletnie brakowało im do siebie cierpliwości, poczucia humoru. Została tylko wielka i trwała - i przez długi czas łącząca ich - miłość do Sadie. Zawsze tak było.

Irene podchodzi do okna i patrzy przed siebie. Po drugiej stronie ulicy widzi jakiegoś mężczyznę, który na przystanku autobusowym czyta gazetę, i wyobraża sobie nagłówek: Zagubiona dziewczyna odnaleziona martwa.

Nie rozumie, dlaczego Valerie z taką nonszalancją podchodzi do zniknięcia Sadie; i Henry też. Może mają rację, mówiąc, że Irene przesadnie reaguje na sytuację, która w końcu sprowadzi się do tego, że jej córka pokazała, że nie jest już małą dziewczynką, w jedyny sposób, jaki mógł przemówić do nadopiekuńczej matki. Jeszcze tylko kilka tygodni i Sadie będzie na studiach, a wtedy

już niczego nie da się przewidzieć. Irenę słyszała o rodzicach, którzy powiedzieli swoim wybierającym się na studia dzieciom, że nie obowiązuje ich już „godzina policyjna”, w przekonaniu, że te równie dobrze mogą wypróbować wolność bez ograniczeń tam, gdzie istnieją jeszcze jakieś zabezpieczenia. Przypuszcza, że sama powinna była tak postąpić. Przypuszcza, że mnóstwo rzeczy powinna była zrobić inaczej.

Idzie do pokoju Sadie i siada na łóżku. Patrzy na butelczki perfum na komódce, na rzeczy na ścianie, na wysokie czarne kozaczki córki rzucone w kąt. Przed kilkoma godzinami na próżno przeszukiwała szuflady i garderobę Sadie, żeby znaleźć coś, co mogłoby dać wskazówkę co do miejsca jej pobytu. Ale nie znalazła niczego schowanego, poza przytulakiem, z którym Sadie kiedyś sypiała, kłapouchym królikiem wepchniętym w kąt na wysokiej półce w garderobie. Irenę przytuliła królika do piersi i poczuła zapach perfum Sadie. Przyszło jej na myśl, że musiały być takie chwile, kiedy jej córka wracała do tego wybrudzonego zwierzaka, szukając u niego takiej pociechy, jakiej matka nie potrafiła jej dać. Sadie zatrzymała królika, tak przypuszczała Irenę, na tej samej zasadzie, na jakiej zostawiła sobie książkę o papierowych łódeczkach na komódce, książkę o chłopcu, który siedział w ciemnościach po tym, jak puścił swoją małą flotę na wodę: „Mam nadzieję, że ktoś w jakimś obcym kraju wyciągnie je i dowie się, kim jestem”.

Irenę kładzie się na łóżku i patrzy w sufit, zastanawiając się, o czym myśli Sadie, kiedy leży tu w tej samej pozycji. Ona sama odczuwa wielkie znużenie, ale wyobraża

sobie, że Sadie przez cały czas musi czuć niecierpliwość, potrzebę pośpiechu, jak to nastolatka. Irenę pamięta to przekonanie, że trzeba koniecznie zrobić wszystko, i to natychmiast, chociaż jednocześnie wierzyła wtedy, że będzie żyła wiecznie i zawsze będzie młoda.

Ale kto zdoła tak naprawdę poznać własne dzieci? Od pewnego wieku swoimi tęsknotami i najgłębszymi uczuciami dzieli się z kimś innym. Irenę przypuszcza, że Sadie może teraz być z jakimś chłopakiem. Z jakimś młodym człowiekiem, który jest gotów dostrzec w niej tę młodą kobietę, którą ona jest, a której matka wciąż jeszcze nie zauważa, bo praktykuje coś w rodzaju ciągłego zaprzeczania. Za każdym razem, kiedy składa stringi Sadie, ma przed oczami małe bawełniane majteczki w różyczki albo królewny, albo kociaki, majteczki, które jej córka kiedyś nosiła. Och, odbyły tę dorosłą rozmowę, polegającą na tym głównie, że Irenę zaczynała coś mówić, a Sadie przerywała jej, oświadczając: „Mamo. Wiem”. - Irenę wielokrotnie z wdzięcznością reagowała na ten szczególny rodzaj mądrości, którym odznacza się Sadie, na jej ogólny rozsądek i na to, że córka jest godna zaufania. Ale przeważnie widzi w Sadie kogoś o całe lata młodszego. Może dlatego, że kiedy Sadie odejdzie, to co Irenę zostanie?

Och, gdzie ona jest? I znowu, może po raz setny, Irenę wystukuje komórkowy numer córki; i znowu nikt nie odbiera.

Skupia się na oddychaniu i na myśli, że niedługo John tu będzie, a wtedy we dwójkę będą dźwigać to brzemie. Czuje się tak, jakby chodziła po napiętej linie nie tylko

przez ostatnich kilka godzin, ale już od lat. Właściwie to od kiedy wyszła z małżeństwa. W pierwszej chwili to było takie radosne, widoki takie wspaniałe, poczucie niebezpieczeństwa nie tyle przerażające, ile ożywcze, angażujące wszystkie jej zmysły. Ale teraz ramiona ją bolą, kark jest sztywny i czuje się zmęczona utrzymaniem równowagi. Nie liczyła się z tym, że niebezpieczeństwo może stać się czymś monotonnym; zapomniała, że się zestarzeje.

Tak wiele razy Irenę przyglądała się parom, które wybrały się gdzieś razem, i współczuła im, ponieważ wydawały się takie ze sobą oswojone. Takie przewidywalne. Głowy nie pochylały się ku sobie w nagłej rozmowie. Nie było żadnych niespodziewanych wybuchów radosnego śmiechu. Nic nie iskrzyło. Zamiast tego coś w rodzaju cichego spokoju albo nawet łagodne - chociaż nie do końca łagodne - sprzeczki. Ale nawet przy sprzeczkach jedno miało co do drugiego tę pewność, że żadne z nich nie będzie żądać ani potrzebować niczego poza obecnością tej drugiej strony. Jakże teraz za tym tęskni! To jest podtekst każdego niemądrego napisanego przez nią ogłoszenia: pragnie nie romansu, tylko solidności i pociechy, jakie niesie stara przyjaźń. Skąd to wziąć, jeżeli nigdy się nie spotkało takiej osoby, kiedy to, czym się dzielisz, nie jest osobistą historią, tylko rewizjonistyczną wersją strzępów tego, czym było do teraz twoje życie? Wydaje się, że pod tym wszystkim, pod każdą opowieścią Irenę o sobie, pod wszystkimi pytaniami, na które odpowiada, kryje się zdanie: „Domyślałam się, że musiałeś tam już być”. Tłumaczenie, powtórzona opowieść, to

nie to samo co wspólne przeżycie, a wszystko zawiera się w słowie „wspólne”. Tego się w końcu nauczyła, ale, jak w przypadku człowieka, który jest za stary, by się nauczyć prowadzić, a mimo to się tego uczy, posługuje się tą wiedzą niezdarnie, do przesady tego świadoma.

W kuchni Irenę wisi oprawiony w ramkę kawałek białawego płótna, na którym wyhaftowano: „Suchy chleb z przyjacielem lepiej smakuje, niż kiedy człowiek samotnie ucztuje”. Kupiła go ze względu na urodę haftu, z uczuciem, że ta sentencja jest nie tylko ckliwa, ale także z jej punktu widzenia nieprawdziwa: Irenę zawsze odpowiadała uczta w samotności. Co mogłoby być lepsze? Same przyjemności, bez potrzeby odwzajemniania się. Egoistyczne zadowolenie, jakie powinien dawać masaż, chociaż Irenę nigdy nie cieszył masaż, ponieważ zawsze czuła, że powinna się zatroszczyć o masażystkę. Prawda jest taka, że rzadko zdarza się, by ją cieszyło coś, co ktoś jej ofiarowuje, dlatego że myśli, czym należałoby się odwzajemnić, i dlatego że ma wypaczone poczucie tego, na co zasługuje - albo, by ująć to ściślej, na co nie zasługuje. Ale samotna uczta, taki dar z *Pięknej i Bestii*, pojawiająca się zza kulisów, bez konieczności - i możliwości - odwzajemniania się: ideał!

Tak było wtedy. Całe lata temu. Irenę zmieniła się, przynajmniej pod tym względem dorosła, i teraz rozumie w pełni - z poczuciem żalu - ducha tego epigramatu. Za ledwie w zeszłym tygodniu stała przed nim z naręczem ręczników i czytała go jeszcze raz, czując, jak w jej piersiach osadza się tępy ból. Wyobrażała sobie, jak wraz ze swoim partnerem siedzą we dwoje na drewnianych

schodach na werandę i dzielą się suchym chlebem. Kawalek grzanki z rodzynkami i masłem, które zebrało się w małych otworkach, ten niebiański smak. Taki skromny dar, a taki wspaniały rezultat. Potem pojawiła się Sadie i Irenę zapytała, czy ma jakieś brudne ręczniki w swoim pokoju. Jeżeli tak, to ona może je wyprać. Co miało znaczyć: „Przynajmniej o ciebie mogę się zatroszczyć”.

Irenę wyobraża sobie, jak John pojawia się w drzwiach z pośpiesznie spakowaną walizką w ręce, kosmyk włosów sterczy mu na baczność, bo na pewno nie zwrócił najmniejszej uwagi na to, by zadbać o swój wygląd. Na jego twarzy będzie się malowała ta sama udreka, którą ona odczuwa. Irenę myśli, że go obejmie, czego od tak dawna nie robiła. Ale pamięta, jak to było. Pamięta, jakie to uczucie otoczyć go ramionami i poczuć jego ramiona wokół siebie; zawsze kładł swoje stulone dłonie tuż nad jej talią w sposób, który Irenę bardzo lubiła, a jego uścisk nie był ani za mocny, ani za słaby. Pamięta zapach Johna; pamięta, jak jego głos wibrował w jej uchu, kiedy mąż tulił ją do siebie i coś mówił. Głos miał głęboki, kojący; ludzie mówili mu, że powinien występować w radiu późnym wieczorem.

Podnosi koszulę i kładzie dłoń na nagiej skórze brzucha, a potem przymyka oczy i czuje, że się odpręża mimo wszystko. Powinna się jakoś porządnie ubrać. Powinna się jakoś uczesać. Zrobi to, za chwileczkę. Zawsze podobała mu się w zieleni, pamięta to.

21.

John wsiada do taksówki na lotnisku SFO i podaje kierowcy adres. Jest wykończony i boli go gardło.

- Pierwszy raz w tym mieście? - pyta kierowca z czymś w rodzaju chełpliwej satysfakcji, która natychmiast wyprowadza Johna z równowagi.

- Wie pan, może to pana zaskoczy, ale nie wszyscy są zdania, że to miasto jest fantastyczne - mówi. - I ośmieliłbym się zaryzykować twierdzenie, że większość ludzi już je kiedyś odwiedziła. Przecież to nie Wyspy Galapagos.

Kierowca zaczyna się odwracać na swoim fotelu, ale w końcu tylko zerka pośpiesznie na Johna we wstecznym lusterku. Potem włącza radio. To młody człowiek, tak naprawdę chłopak, chudy okularnik z długimi włosami ściągniętymi w koński ogon. Ma na sobie dżinsową koszulę, rozpiętą pod szyją, i niebieską dżinsową kurtkę z dyskretnym rozdarciem na ramieniu. John odnosi wrażenie, że to jakiś artysta, może muzyk. Ma smykałkę do odgadywania zawodów ludzi; nieraz zdarzało się, że ktoś patrzył na niego z zaskoczeniem (albo w pewnych

przypadkach z dużą dozą podejrzliwości) i pytał: „Skąd pan wie?”.

- Jest pan muzykiem? - pyta John.

- Nie. - Kierowca podkreca radio głośniej.

Okay, myśli John, nie mam ci tego za złe. Popatruje przez okno na innych kierowców, z których wielu rozmawia przez telefon, i jak zwykle irytuje go to w taki sam sposób, w jaki pewnie inni irytują się na niego, kiedy prowadzi i rozmawia przez telefon. Dochodzi do wniosku, że wszyscy mniej więcej podzielają ten pogląd: nikt, prowadząc samochód, nie powinien rozmawiać przez telefon, no chyba że ja.

Kiedy dojeżdżają do alei i John może zobaczyć ocean, patrzy na toczące się fale i ogarnia go spokój, a równocześnie rozgoryczenie.

- Niech pan posłucha, przepraszam, że tak pana obciąłem - mówi do kierowcy, który ma na imię Micah, jeżeli zatopiona w plastiku informacja na oparciu jego fotela jest prawdziwa.

- Nie ma problemu. Jakoś zawsze zakładam, że wszyscy będą w tym samym humorze co ja. Wie pan?

John kiwa głową.

- Wiem.

- Przyjechał pan na pogrzeb? - pyta Micah. - Jeżeli mogę zapytać.

- Nie - mówi John, robi mu się nagle zimno, aż po podeszwy stóp. Pokazuje przed siebie: - Powinien pan skręcić w prawo za dwie przecznice.

- Tak, wiem. Wszystko pod kontrolą. Niech się pan nie martwi. Niech pan po prostu usiądzie wygodnie i się

odpręży. Wyszadzę pana pod drzwiami za jakieś dziesięć minut.

John rozsiada się. Ale na pewno się nie odpręża. Może jest już w domu, powtarza sobie, chociaż Irenę nie zadzwoniła, by mu o tym powiedzieć. On też do niej nie zadzwonił po wyładowaniu, bo nie chciał usłyszeć, że Sadie wciąż nie ma.

Kiedy podjeżdżają pod trzymieszkaniowy dom Irenę, John wysiada z taksówki i podnosi wzrok na okno na piętrze, żeby sprawdzić, czy Irenę go wypatruje. Nie. Naciska brzęczyk, żeby wpuściła go do bramy, ale nic nie słyszy. Naciska ponownie. Do cholery, popsuł się. Przechodzi pod okno salonu i tam staje.

- Irenę! - woła. Żadnej reakcji. Wyjmuje komórkę, żeby do niej zadzwonić; co ona u diabła robi?

Może Sadie wróciła do domu, myśli, i Irenę jest w pokoju razem z córką, drze się na nią, i nie chce, żeby jej przerywać. Ma nadzieję, że Irenę wrzeszczy na Sadie; ma nadzieję, że dziewczyna jest bezpieczna. Ma przy sobie klucze, te, które dostał zaraz po tym, jak wprowadziła się tam z Sadie, i od razu wiedział, że nie wolno mu z nich skorzystać, chyba że w sytuacji awaryjnej. No cóż, tę sytuację można do takich zaliczyć.

Wyjmuje portfel i znajduje klucze schowane za zdjęciem Sadie - na zdjęciu, uśmiechnięta szeroko, stoi przed tym domem. Zostało niedawno zrobione, dała mu je podczas swojej ostatniej wizyty. Widok jej twarzy wytrąca go z równowagi; ręce mu drżą, kiedy wsuwa klucz do zamka. W holu coś pachnie: ryż? John słyszy, jak za jakimiś drzwiami na parterze ktoś głośno rozmawia przez

telefon: „No przecież ci mówię, przejmują całą okolicę; wykupują ten teren za gotówkę!”. Niejasno płacze mu się po głowie ta sama myśl co zawsze, kiedy przyjeżdża tu z wizytą: „Jak Ireneę i Sadie mogą mieszkać tak blisko innych ludzi? Czy nie zależy im na prywatności?”.

Kilkoma skokami wspina się na piętro i zasapany puka do drzwi, a potem sobie otwiera. Nikogo nie widać.

- Ireneę? - woła. - Sadie?

Idzie korytarzem i podchodzi najpierw do drzwi sypialni Sadie, które są uchylone. Otwiera je szeroko, od nadziei ściska go w gardle, i widzi Ireneę, pogrążoną w głębokim śnie. We śnie!

- Ireneę! - Z rozmysłem mówi to głośno, okrutnie, ale Ireneę wygląda na tak przerażoną, kiedy gwałtownie otwiera oczy, że robi mu się żal.

- Co ty robisz? - pyta.

- John. - Ireneę siada, przetyka, odsuwa włosy z oczu. Ma na sobie spodnie do jogi i szary podkoszulek; schudła, od kiedy ostatni raz ją widział.

- Co ty robisz? - powtarza John.

- Byłam na nogach całą noc. I tylko położyłam się tutaj na minutkę, i ja... no wiesz. Jak ci minęła podróż? - Chyba wciąż jeszcze się nie do końca obudziła, że zadaje takie absurdalne pytanie.

- Byłoby lepiej, gdybyś się nie kładła, Ireneę. Nasza córka zaginęła. Byłoby lepiej, gdybyś była czujna.

Ireneę krzyżuje ramiona, dłońmi mocno obejmuje łokcie.

- Och, John, proszę. Nie obwiniaj mnie. Nie zrobiłam nic oprócz tego, że pozwoliłam jej pojechać na tę

wspinaczkę, a pozwoliłam tylko dlatego, że mnie do tego namówiłeś.

- Zakładając, że to bezpieczne, Irenę! Zakładając, że skoro jesteś tu, na miejscu, będziesz wiedziała, czy to bezpieczne.

Irenę nic nie mówi, wbija wzrok w podłogę i niemal niezauważalnie kołysze się w przód i w tył.

John upuszcza torbę i idzie usiąść na fotelu w kącie pokoju.

- Czy coś jeszcze się stało? Irenę kręci głową.

- Ktoś dzwonił, żeby coś powiedzieć? -Nie.

- Zastanawiałem się w samolocie... A co z komputerem Sadie, czy nie sądzisz, że może tam być coś, co nam pomoże?

- Nie ma go tu.

- Co to znaczy: nie ma go tu?

- Nie ma go tu, John! Nie mogę go znaleźć! Jeżeli chcesz go poszukać, to szukaj! Ja szukałam wszędzie i go tu nie ma! Nie wiem; czasami zabiera go do Meghan; kiedyś zapomniała go tam.

- Gdzie mieszka Meghan? Irenę nie odpowiada.

- Nie wiesz, gdzie mieszka Meghan?

- Przeprowadzili się ostatnio, a ja... - Podnosi na niego wzrok. - Nie. Nie wiem, gdzie mieszka Meghan. Ona i Sadie już się nie umawiają, żeby się pobawić.

- A czy dzwoniłaś do rodziców Meghan?

- Mają numer zastrzeżony.

- Dlaczego mają numer zastrzeżony? Irenę tylko na niego patrzy.

John wciąga głęboko powietrze, żeby się uspokoić.

- Dobrze. Już dobrze. Przynajmniej zawiadomiłaś policję. Tyle udało ci się zrobić.

- Wiesz, John, siedziałam tu i czekałam, i każda sekunda była jak dzień, i tak się cieszyłam, że przyjeżdżasz, bo myślałam, że będziemy mogli sobie nawzajem pomagać, myślałam, że będziemy się mogli pocieszać, ale teraz...

- Pocieszać się nawzajem? Pocieszać się? Irene, nawet nie wiem, jak na to zareagować. Musimy się skupić na Sadie, a nie na tym, żebyś ty poczuła się lepiej!

- Nie o to mi chodzi. Nie chodziło mi o mnie, chodziło mi... - wzdycha, kręcąc głową. - Dlaczego jesteś na mnie taki zły? Policja wcale się nie przejęła, kiedy złożyłam to zawiadomienie, zachowywali się tak, jakby mi ustępowali dla świętego spokoju. No i co z tego, jakaś osiemnastolatka nie dzwoni, żeby się odmeldować mamuni. Ten facet za biurkiem nawet się nie wyprostował! Jest pełnoletnia, najwyraźniej ma prawo zniknąć. I chyba wszyscy myślą, że wróci dzisiaj, a ja po prostu histeryzuję!

Wstaje, wyszarpuje chusteczkę z pudełka na szafce nocnej, a John widzi, że Jeży tam już cała sterta zużytych. Irene odwraca się od niego i mówi:

- Powiedzieliby, że ty również histeryzujesz, że tak od razu tu przyleciałeś.

- Czy ty też tak uważasz? Że przesadzamy z reakcją? - John mówi teraz normalnym głosem, jego gniew osłabł.

Dlaczego jest wściekły na Irenę? Przecież niczego nie zrobiła.

- Nie, uważam, że my oboje znamy Sadie, a oni nie. To do niej niepodobne. Stało się coś złego. Czuję to.

- Czy myślisz, że stała jej się krzywda? Irenę z nieszczęśliwą miną przytakuje.

John nie chce o to pytać; boi się, po części dlatego że ma szacunek dla jej intuicji, a głównie dlatego że to koszmarnie i niemożliwe pytanie, którego nigdy, ale to nigdy nie należy zadawać, pytając o czyjąś córkę.

- Czy myślisz, że ona nie żyje?

- Nie. Nie. Nie myślę, żeby nie żyła. - Irenę z trudem przełyka ślinę. - Uczciwie, John, nie myślę tak. Ale myślę, że ma jakieś kłopoty, i tak bardzo chciałabym jakoś się z nią skontaktować. Albo żeby przyszła jakaś wiadomość, żebym się przynajmniej dowiedziała...

Dzwoni telefon i oboje zamierają. Irenę patrzy na Johna, a on prostuje się w ramionach, zaciska zęby i podnosi słuchawkę.

- Halo.

- Tata? - pyta Sadie.

- Och, Bogu niech będą dzięki - mówi John i siada na łóżku obok Irenę. - Sadie! Gdzie ty jesteś?

- Co ty robisz w San Francisco?

John musi się roześmiać. Po prostu musi. Irenę wyrywa mu słuchawkę.

- Sadie - woła. - Nic ci nie jest? Powiedz mi! Czy nic ci nie jest?

Słucha przez chwilę, uśmiechając się, promieniejąc, a potem wyraz jej twarzy ulega zmianie.

- Wracaj natychmiast do domu - mówi. - W tym momencie.

- Co tam? - pyta John. - O co chodzi?

Sadie mówi coś znowu i John próbuje przycisnąć ucho do słuchawki, żeby też coś usłyszeć, ale Irenę odsuwa się od niego. Gestykuluje ze złością w powietrzu, jakby coś od siebie odpychała.

- Nie obchodzi mnie to. Przyjeżdżaj natychmiast do domu. I żebyś mi się nie ośmieliła go ze sobą przyprowadzać!

- Co jest? - dopytuje się John. - Co się stało?

- Powiedziałałam, że mnie to nie obchodzi - mówi Irenę do Sadie. - Masz wrócić sama. Okaż ojcu i mnie szacunek, na jaki zasługujemy, i wracaj do domu teraz, ale wracaj sama. Nie mogę nawet... Wracaj natychmiast do domu. Proszę, proszę, proszę, wracaj do domu. - Pauza, Irenę słucha, co mówi Sadie, a potem odpowiada: - Mowy nie ma. Jeżeli chcesz z nim porozmawiać, możesz to zrobić tutaj. - Odkłada słuchawkę i wpatruje się dzikim wzrokiem w Johna.

- Co się stało? - pyta John.

Przez moment Irenę siedzi bez ruchu, usta ma rozchylone. Wygląda jak bokser, który właśnie zaliczył mocny cios w głowę.

Potem mówi:

- Jest źle.

- Co się stało?

- Wyszła za męża.

- Co takiego?

- Wiem. Wyszła za męża. O mój Boże. Ma osiemnaście lat i wyszła za męża, Johnie.

- Kiedy?

- Wczoraj wieczorem. W Reno. Za jakiegoś chłopaka imieniem Ron, którego nigdy na oczy nie widziałam.

- Irene, co, do jasnej cholery, tu się wyprawia?

Irene patrzy na niego przez długą chwilę, a on pomimo gniewu podziwia małą gwiazdkę brązu w jej skądinąd zielonych oczach; zapomniał o niej. Ale Irene teraz też jest zła. Wstaje i pokazuje na drzwi sypialni.

- Wynoś się.

- Irene...

- Wynoś się! - Głos jej się łamie, kiedy wrzeszczy na niego. - Jeżeli potrafisz tylko mnie obwiniać, to się stąd wynoś do wszystkich diabłów!

John wyrzuca ręce do góry.

- A co ty byś zrobiła, Irene? Co ty byś zrobiła, gdyby przytrafiło się to na moim dyżurze? Nie byłabyś na mnie zła? Nie obwiniałabyś mnie?

- Nie. Nie zrobiłabym tego. Obwiniałabym Sadie. I starałabym się ci pomóc. Oczekiwałabym, że jako rodzice Sadie będziemy jedno drugiemu pomagać.

Ma rację, John to wie. Zwiesza głowę i wpatruje się we własne stopy. Irene ma rację. Mimo wszystkich swoich wad nigdy nie spieszyła się z obwinianiem innych. A on chyba tak.

- Przepraszam - mówi. - Chyba powinniśmy porozmawiać o tym, co jej powiemy.

- Wiesz co, John? Wiesz co?

- Co takiego, Irene? - Przecież przeprosił! Czego ona jeszcze chce?

Ale Irenę nie mówi nic więcej. Wychodzi z sypialni Sadie, tupiąc, wchodzi do swojej i zatrzaskuje za sobą drzwi. John słyszy, jak szlocha.

Z dołu dobiega odgłos walenia w sufit i stłumione:

- Ciszej! Na litość boską!

Idzie do salonu i siada na fotelu przy oknie, by wypatrywać wracającej do domu córki. Po kilku minutach słyszy, że Irenę przestała płakać.

- Irenę? - woła. Nie ma odpowiedzi.

- Irenę! Muszę cię tylko o coś zapytać! I znowu nie ma odpowiedzi. Podchodzi do jej drzwi i staje tam.

- Czy powiedziała ci, jak daleko jest od domu?

- Będzie tu za jakąś godzinę.

- Słuchaj, przepraszam. Przepraszam, że nawrzesz-czałem na ciebie. Przepraszam, że cię obwiniałem. Byłem wytrącony z równowagi. Wciąż jestem wytrącony z równowagi. Jezu. Ona wyszła za męża? Czy domyślałaś się czegoś?

Cisza.

John opiera czoło o drzwi.

- Irenę, proszę, wyjdź stamtąd.

Czeka chwilę, a potem naciska klamkę, w pełni spodziewając się, że drzwi będą zamknięte na klucz. Ale nie są. Otwiera drzwi, potem i tak puka. Irenę leży na łóżku, zwinięta w kłębek, twarzą odwrócona od niego. John powoli do niej podchodzi. Irenę ma oczy otwarte, ale nie chce na niego popatrzeć.

Niepewnie siada obok niej na łóżku.

- Z tobą w porządku?

- Nie. - Brzmi to jak „Die”, od płaczu.

- Chcesz, żebym coś... cokolwiek zrobił? Irene siada.

- Zrobisz kilka kanapek? Jestem taka głodna. Upiecz kilka grzanek.

John parska śmiechem, po chwili Irene się do niego przyłącza.

- Z masłem orzechowym i galaretką z czarnych winogron? - pyta. Ulubione kanapki Irene. Nigdy nie czuł tak osobliwej radości. Niemalże bolesnej.

- Wolę teraz z czarnymi malinami.

- Czy zrobić też dla Sadie i jej mężusia?

- To wcale nie jest śmieszne. John wzrusza ramionami.

- Troszkę śmieszne? -Nie.

- No to jak myślisz, co powinniśmy zrobić? Zabronić jej wychodzić z domu?

- Idź i zrób te kanapki. Ja się umyję. I... powlekłam świeżą pościel na moim łóżku, więc możesz tu zostać. Czy chcesz tu zostać?

-Hm...

- Nie ze mną! Ja będę spała na sofie. Ale jeżeli chcesz tu zostać, to możesz. To tak jakby... Dobrze będzie cię mieć tutaj przez trochę. Do tego potrzeba dwojga.

-Tak - mówi John. - Do tego jak najbardziej potrzeba dwojga. - Kieruje się do kuchni, a potem znowu się odwraca, żeby zapytać: - Dalej grubo smarujesz dżemem?

- Tak. - Jej twarz łagodnieje, Irene się uśmiecha. -
Dziękuję, że przyjechałeś. Cieszę się, że tu jesteś.

- Ja też.

Idzie do kuchni, znajduje masło orzechowe, galaretkę,
chleb, talerze, noże. Przygotowuje cztery kanapki. Zna Sadie
lepiej niż Irene. Zawsze ją lepiej znał.

22.

John i Irenę stoją razem przy oknie i przyglądają się, jak Sadie idzie chodnikiem.

- Przeprowadziła go ze sobą - mówi Irenę. - Przyszedł razem z nią! - Jest wściekła, że córka nie posłuchała jej wyraźnego polecenia.

- No cóż, zobaczymy, jak się sprawy ułożą - łagodni John. - Dla mnie to godne podziwu, że gotów jest wypić piwo, jakiego nawarzyli.

- Nie chcę, żeby wypijał to piwo!

- Zobaczymy, jak się sprawy ułożą - powtarza John. Idzie do holu; Irenę podchodzi do drzwi i otwiera je.

- Będzie nas pan musiał zostawić! - woła do młodego człowieka, zanim go dobrze obejrzała. On i Sadie wchodzi na schody.

- Przykro mi! - odkrzykuje. - Sadie poprosiła, żebym z nią przyszedł!

I oto stoi przed nią, a Irenę krzyżuje ręce i mówi:

- No cóż, a ja proszę, żeby nas pan zostawił. Proszę iść do domu, i to już.

- Mamo - odzywa się Sadie, a potem dodaje: - Możesz wejść, Ron. Nie zwracaj uwagi. Wejdz.

Młody człowiek przekracza próg, a Irenę niemal robi się go żal. Wygląda sympatycznie, jest w dzinsach i niebieskiej koszulce, na jego twarzy widać zmartwienie.

- To mój mąż, Ron - powiadamia Sadie z naciskiem Irenę. A potem: - Cześć, tato.

John podchodzi, żeby przytulić Sadie.

- Tak bardzo się o ciebie martwiliśmy! - mówi. - Cieszę się, że nic ci nie jest. - Wyciąga rękę do chłopca. - Jestem John Marsh. Ojciec Sadie.

- Johnie - szepcze Irenę cicho. On nie ma pojęcia, jak należy rozegrać tę sytuację.

- Cieszę się, że mogę pana poznać, sir. - Ron zwraca się do Irenę. - Cieszę się również z poznania pani. Nie będę się zatrzymywał. Ale mam nadzieję zobaczyć się z państwem już wkrótce.

Irenę stoi bez ruchu, czeka. Boi się odezwać; boi się, że zacznie wrzeszczeć albo płakać.

- Zadzwoń do ciebie - mówi Ron, do Sadie, kładzie jej dłoń na ramieniu, a potem odwraca się, by odejść.

- Ron! - woła Sadie. - Nie musisz iść!

- W porządku - uspokaja ją Ron. - Chcą pobyc trochę tylko z tobą.

Unosi dłoń do góry, tak jakby machał na pożegnanie i patrzy sobie z Sadie w oczy w sposób, który wyklucza wszystkich innych.

Irenę zamyka drzwi i odwraca się do córki.

- Całkiem zwariowałaś? - pyta.

- Irenę! - interweniuje John. - Jezu. Czy możemy usiąść? Możemy porozmawiać?

Irenę czuje, że przepełnia ją coś w rodzaju rozdygotanej furii. Nie wie, na kogo jest bardziej wściekła: na Johna czy na Sadie. To dla niego łatwe, pokazać się tu i występować w roli opanowanego mediatora! Łatwo mu być rodzicem na niepełny etat, ojcem, który na wszystko może się zgadzać, ponieważ nie musi ponosić konsekwencji tego, na co pozwolił! Prawdziwym rodzicem jest ona i to ona to rozegra. Żałuje, że John w ogóle przyjechał. Do niczego się nie przyda. Przez niego tylko wszystko będzie trudniejsze.

- Ty się do tego nie wtrącaj! - mówi Johnowi. - Nawet nie wiesz, co się stało!

- Ty też nie wiesz, mamó! - reaguje Sadie. - Niczego nie wiesz! Nigdy nie wiesz! - Idzie do swojego pokoju i zatrzaskuje za sobą drzwi.

John i Irenę stoją w holu.

- Ślicznie - mówi John.

Irenę idzie do swojego pokoju i trzaska drzwiami. Zapada cisza, a potem słychać, jak John puka do drzwi Sadie i pyta:

- Sadie? Mogę wejść? I stłumione: - Tak.

Irenę siada na łóżku, zaciska dłonie. Co zrobić? Przeprzeć? Nie. Nie. To nie ona zrobiła coś złego. To Sadie, która pewnie w tej chwili opowiada całą historię tak, by John mógł ją rozgrzeszyć z jakiegokolwiek odpowiedzialności.

Wychodzi do holu i staje pod zamkniętymi drzwiami Sadie. Puka.

- Nie teraz, mamó - odzywa się Sadie. - Proszę. Ale Irenę i tak otwiera drzwi, i staje w progu.

- Mamó!

Sadie leży na łóżku, John siedzi na jego skraju, głowę ma zwieszoną, dłonie zaciśnięte między kolanami. Nie będzie się w tym momencie wtrącał; Irenę może powiedzieć, co chce.

- Wychodzę - oświadcza. - Idę na spacer. Kiedy wrócę, chcę żebyś mi powiedziała, co dokładnie się stało. Chcę, żebyś powiedziała mi, co się dzieje.

Sadie kiwa głową.

Irenę patrzy na Johna; on też kiwa głową.

Irenę idzie po kurtkę i torebkę. Nie ma pojęcia, jak to się stało, że te wszystkie cegły zwały się jej na głowę.

Ale Sadie jest bezpieczna. Więc wychodzi za próg i rusza w dół po schodach.

Spaceruje energicznym krokiem po okolicy przez pół godziny, nie widząc tak naprawdę niczego, ale pozbywając się częściowo napięcia, od którego mało się nie rozleciała na milion kawałków. Wchodzi wiele razy stromo pod górę, by po powrocie bolały ją nogi, i z pewnym trudem wdrapuje się na schody prowadzące do mieszkania. Otwiera drzwi i słyszy Sadie i Johna w kuchni.

Zastaje ich przy ławie, jedzą kanapki z masłem orzechowym i galaretką, które wcześniej przygotował John. Irenę nalewa sobie szklankę mleka, bierze kanapkę i staje koło córki.

- Posuń no się trochę - prosi, i Sadie się posuwa. Irenę odstawia mleko i odkłada kanapkę, obejmuje córkę ramionami i przytula do siebie.

- Właśnie ci pobrudziłam bluzkę galaretką - mówi Sadie, a Irenę odpowiada: - Nic mnie to nie obchodzi.

- Nie bardzo mogę oddychać - dodaje córka, i Irenę ją puszcza.

- Opowiedz mi - mówi. - Proszę.

Sadie wzdycha. Zerka na Johna, a on porusza rękami w drobnym, ale wyrazistym geście, który wydaje się mówić: „I tak musisz jej powiedzieć”.

- Czekałam na Rona - zaczyna Sadie. - Zamierzaliśmy pojechać na wycieczkę wzdłuż wybrzeża.

Irenę musi zacisnąć zęby, żeby powstrzymać się i nie zaprotestować: A mówiłaś, że wybierasz się na wspinaczkę! Ale wtedy Sadie zaczyna opowiadać o tym samochodzie, który podjechał do krawężnika, o mężczyźnie, który ją porwał, o wszystkim, co zrobił, i Irenę siedzi bez ruchu, w głowie ma kompletną pustkę, została tam tylko wdzięczność za fakt, że jej córka siedzi tutaj z nią, żywa. Troje ludzi; rodzina, kanapki z masłem orzechowym i galaretką, niedopite szklanki mleka.

23.

John budzi się i przez sekundę się zastanawia, gdzie jest. Potem sobie przypomina: Sadie zaginęła. Sadie jest w domu. Powraca ulga, jaką poczuł, widząc, że jest bezpieczna, i groza, kiedy uświadomił sobie, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znalazła. To, jak z Ireneę zasypywali ją pytaniami po wyjściu Rona, i jak w rezultacie Sadie robiła się coraz bardziej milcząca, coraz bardziej zamykała się w sobie.

- Jest w szoku - oznajmiła Ireneę, kiedy Sadie poszła do łóżka, a oni we dwojkę siedzieli w kuchni i rozmawiali. - Nie może o tym teraz mówić, bo jeszcze sobie nie uświadomiła, co się stało albo co mogło się stać.

- Myślę, że uświadamia to sobie - sprzeciwił się John. - Ale z jakiegoś powodu nie życzy sobie rozmawiać na ten temat z nami.

- Ale dlaczego miałaby sobie nie życzyć? - zapytała Ireneę, spojrzenie miała zdezorientowane i pełne smutku.

- Nie jest jeszcze gotowa - odrzekł. - Może po prostu musimy dać jej trochę czasu.

Nie dodał, że jego zdaniem pytania Irene były zbyt naładowane jej własnymi emocjami, by Sadie miała okazję na nie zareagować. Wyczuwał, że Sadie stara się utrzymać w równowadze niebezpieczny ciężar i jej się to udaje; a rodzice nie powinni wykrzykiwać instrukcji z linii bocznych. Ich rola sprowadzała się raczej do zapewnienia jej, że jest kochana, ma ich poparcie i jest bezpieczna. Musieli dać jej pewność, że znajdzie ich tu, jeżeli będzie ich potrzebowała, i musieli też pogodzić się z tym, że może ich nie potrzebować, a przynajmniej nie w taki sposób, jakiego się spodziewali czy uważali, że powinna.

Na krótko zanim Sadie poszła się położyć, poinformowała rodziców, że odpowiedziała na milion pytań na posterunku policji i nie chce już więcej o tym mówić, skończyło się, ma to za sobą, chce tylko teraz o tym zapomnieć i dalej żyć swoim życiem.

- Życiem, w którym teraz trzeba uwzględnić pochopne małżeństwo zawarte po tym, jak cię porwano - powiedziała Irene, a w jej głosie było za dużo gniewu, by mogła uzyskać taką reakcję, na jaką zdaniem Johna liczyła.

Sadie odwróciła się do niej:

- Nie należę do ciebie, mamó! Jestem swoją własną osobą! Może życie należy do mnie, łącznie ze wszystkim, co mi się właśnie przytrafiło. Jest moje, żebym to ja postąpiła tak, jak chcę albo jak muszę. Po prostu się odczep!

- Świetnie - skwitowała Irene, ale na pewno świetnie nie było.

Przez jakiś czas John siedział z Irene w milczeniu, a potem opowiedział jej o pewnym swoim przeżyciu, kiedy to z jego winy okaleczone zostało dziecko. W wieku

dziewięciu lat namówił swojego towarzysza zabaw, by przejechał się na rowerze po murze oporowym, co John często robił, chociaż wielokrotnie mu tego zakazywano. Kiedy jego przyjaciel, Paul, spróbował, spadł i złamał sobie nogę, która nigdy dobrze się nie zrosła. - Wiesz, jak długo to trwało, zanim go przeprosiłem? - zapytał John Irene. - Dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat!

- Ale... dlaczego? - zapytała.

- Tak bardzo się czułem winny - wyjaśnił. - U tego chłopaka doszło do miliona komplikacji; kulał potem, nie mógł już uprawiać sportu, inne dzieci się z niego wyśmiewały, to było okropne. A ja po prostu nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Nie wiedziałem, jak zacząć rozmowę. Pewnego wieczoru wpadłem na niego u O'Gary. Obydwaj byliśmy pijani. Wtedy go przeprosiłem.

- To nie to samo - orzekła Irene.

- To jest to samo pod pewnym względem - odparł John. - Musiałem poczekać, aż będę gotów porozmawiać o czymś, o czym naprawdę ciężko mi było rozmawiać. Myślę, że Sadie... Może ona jest w szoku. Ale myślę, że czuje się trochę skrepowana.

- Skrepowana czym? - dociekała Irene. - Niczego nie zrobiła!

- Wsiadła do jego samochodu - przypomniał jej John. Irene kiwnęła głową.

- Tak. Przypomnij mi, że bym o to na nią nawrzeszczała.

- Myślisz, że ona nie wie, że to było głupie?

Irene nic nie powiedziała, tylko siedziała, pocierając kostki u ręki kciukiem. W końcu stwierdziła:

- Z każdym dniem coraz bardziej ją tracę. - A potem poszła się położyć.

John zapala nocną lampkę, by sprawdzić, która godzina: 3.18; 5.18 w St. Paul. Zamyka znowu oczy, ale potem postanawia, że wstanie. Nie ma co próbować zasnąć; jeśli się obudzi w taki sposób, nigdy mu się to nie udaje. Siada na łóżku, zastanawiając się, czy obudzi Irenę, jeżeli pójdzie do kuchni. Jest głodny. Została jeszcze jedna kanapka, leżała na blacie. Może wziąć tę kanapkę i karton mleka, nie zapalając światła i nie robiąc za dużo hałasu. W wysokim szklanym pojemniku będą też ciasteczka z czekoladą; Irenę zawsze trzyma ciasteczka w specjalnym pojemniku, to jedna z rzeczy, które mu się u niej podobają.

Wychodzi do holu i człapie cicho po nagiej drewnianej podłodze. Kiedy mija sypialnię Sadie, waha się przez chwilę, a potem bezszelestnie uchyla drzwi. Jej lampka nocna się świeci, ale córka mocno śpi, twarzą odwrócona do niego, jedną poduszkę ma pod głową, a drugą mocno tuli do siebie. John patrzy na jej rozczochrane włosy, na dobrze znaną prostą linię brwi, ciemne rzęsy. Obserwuje, jak się unosi i opada jej pierś, tak jak to robił zaraz po tym, jak przyjechała ze szpitala do domu. Ach, Sadie.

Zaczyna podchodzić na palcach, by zgasić lampkę, ale potem się zastanawia, czy ona nie zostawiła jej zapalanej z rozmysłem. Jedną z rzeczy, o które ją zapytał, było to, czy wciąż się boi, a ona stanowczo zaprzeczyła. Ale mimo to.

Żałuje, że nie pozwoliła mu przyjść na proces; chciałby zobaczyć mężczyznę, który sprawił jego córce tyle

bólu. Właściwie to chciałby zamordować tego mężczyź-
nę, który sprawił jego córce tyle bólu, i to jeden z powodów,
dla których Sadie powiedziała, żeby nie przychodził: nie
chciała musieć się martwić o ojca, kiedy będzie próbowała się
zatroszczyć o samą siebie. Chciała, żeby poszedł z nią tylko
Ron. John widział twarz Irene, kiedy Sadie to mówiła; wyraz
jej twarzy wyraźnie dawał do zrozumienia: „Jeszcze
zobaczymy, jak to będzie”.

Było całkowicie zrozumiałe, że Irene zechce pójść z córką
na proces; co więcej, John uważa, że powinna to zrobić, i ma
nadzieję, że w tej sprawie Sadie zmieni zdanie. Ale jeżeli z
całej tej sytuacji może płynąć jakaś nauka, to jest nią coś, co
zaczynają rozumieć Irene i John: Sadie ma osiemnaście lat.
Naprawdę może teraz robić, co chce.

W salonie przekrada się właśnie koło sofy, kiedy Irene
siada i wydaje cichy okrzyk.

- To ja - szepcze, a potem dodaje niepotrzebnie: - John.

Milczenie, a potem stłumiony śmiech.

- John Marsh - powtarza. - Twój były. Irene zapala światło
i od blasku mruży oczy.

- Co ty robisz?

- Jestem głodny.

- Och. Chcesz trochę *nachos*?

- Tak! Masz jakieś?

- Zrobię.

- Nie chcę obudzić Sadie. Wezmę sobie tylko tę kanapkę,
która została.

- Ona nigdy się nie budzi, jak już zaśnie. A i tak wy-
rzuciłam tę kanapkę.

- Dlaczego? - Johna doprowadzało to kiedyś do szału, że Irenę tak marnuje idealnie dobre jedzenie. Wkładał do lodówki coś, co stanowczo zamierzał zjeść później, a ona to wyrzucała. Taka sytuacja powtarzała się raz za razem. Pytał ją, gdzie jest kanapka albo ten kawałek ciasta, albo resztki makaronu; a wtedy mówiła, że to się zepsuło i wyrzuciła. On zapewniał, że nie, że wcale się nie zepsuło; a ona na to, że właśnie tak, zepsuła się. Raz za razem, ciągle od nowa.

- Byłbym tę kanapkę zjadł - mówi.

- No, jeżeli mam wyjawic całą prawdę, to wyrzuciłam ją dopiero po tym, jak kawałek ugryzłam. Z każdej połowy. Do tego zlizalam z niej całą galaretkę. - Irenę siada i sięga po szlafrok w nogach łóżka. Narzuca go na siebie. - Zresztą *nachos* są lepsze.

John idzie za nią do kuchni, przygląda się, jak Irenę ściąga włosy gumką i robi sobie koński ogon. Wie, że zaraz włoży fartuszek, a potem umyje ręce. Irenę, która gotuje. Sympatyczne wspomnienie. Jedno z niewielu.

- Czy wciąż robisz je tak samo? - pyta.

- Tony sera i *jalapeños*, tak.

- To dobrze.

Irenę otwiera piekarnik i wyciąga blaszkę, a kiedy się odwraca, żeby położyć ją na blacie, blaszka wypada jej z rąk.

- Cholera! - mówi.

Oboje zamierają, czekając na jakiś odgłos z pokoju Sadie. Nic.

- Rozumiesz, o czym mówiłam? - pyta Irenę. - Przepraszam, że zaklęłam.

- Przepraszasz, że zakląłaś? Ireneę wzrusza ramionami.
- Próbuję przestać.
- Przestać przeklinać?
- No tak.
- Och. - John wsuwa się na ławę, podnosi solniczkę i jej się przygląda. - Trzeba tu dosypać soli.
- Jest tam, na górze - mówi Ireneę i pokazuje brodą na szafkę.
- John bierze sól, napęlnia solniczkę nad zlewem. Ireneę stoi na tyle blisko, że czuje zapach jej szamponu.
- Co tam u ciebie, Ireneę? - pyta, nie patrząc na nią. - Znaczy, tak naprawdę. Co tam u ciebie?
- Ireneę się śmieje.
- Znaczy dlatego, że powiedziałam, że chcę przestać przeklinać?
- Nie. Nie przeszkadza mi to, że przeklinasz.
- A właśnie, że ci przeszkadza. Powiedziałeś mi kiedyś, że cię to krępuje.
- Tylko dlatego, że używałaś słowa na „k” w obecności mojego najważniejszego klienta.
- Nie wiedziałam, że to twój klient. To było duże przyjęcie. Dużo się piło. Nie wiedziałam, że to twój klient.
- Zresztą - ciągnie John - nie ma sprawy. Palant był z tego faceta. Teraz się cieszę, że sobie w jego obecności pokląłaś, ale wtedy... trochę to było krępujące, tak.
- Ireneę sięga do szafki i wyciąga tarkę.
- Jakbyś się zajął serem, to ja przygotuję *jalapeños*.
- Pewnie.

Irene wyjmuje paczkę sera z lodówki i podaje mu ser i tarkę.

- To nie jest Monterey Jack - mówi John, patrząc na etykietkę.

- Nie. Używam teraz *queso fresco*". Jest naprawdę dobry.

- Zawsze lubiłem Monterey Jack.

- No ale ja teraz używam *queso fresco*.

- W porządku. - John siada przy stole i bierze się do pracy.

Przez jakiś czas panuje cisza, słychać tylko, jak John trze ser, a Irene sieka. Jest miło. Irene zawsze zapraszała go, żeby pomagał w kuchni, ale nigdy tak naprawdę nie miał na to ochoty. Teraz rozumie, że to nie o pomoc prosiła; tylko o towarzystwo. Wcześniej przestała go prosić, by pomagał; zwykle nastawiała sobie radio, żeby dotrzymywało jej towarzystwa.

Kończy trzec ser i kosztuje.

- Naprawdę bardziej ci smakuje niż Monterey Jack? -Tak.

- Daj spokój, naprawdę?

Irene odwraca się od siekania papryczek, żeby na niego popatrzeć.

- Wiesz co, John? - Zirytowała się; rękę oparła na biodrze, zmarszczyła czoło.

- Co? Pytam tylko, czy naprawdę ci bardziej smakuje.

- A nie o to, czy udaję, że mi lepiej smakuje?

- Rany boskie, Irene. -Co?

* *Queso fresco* - meksykańska odmiana białego sera, ziarnistego, o lekko słonawym smaku.

- Chodziło mi tylko o to, że może to pod wpływem Harolda...

- Kto to jest Harold?

- Ten facet, z którym pracujesz. Ten od jedzenia.

- Henry.

- O. Rzeczywiście. Henry. Pomyślałem tylko, że może na ciebie jakoś wpływa albo coś. Nie że... znaczy, wiem, że to miły facet i w ogóle. Sadie ma kota na jego punkcie.

- Rozumiem - mówi Irene. - Tak więc twoim zdaniem nawet w sprawie sera nie potrafię podjąć decyzji, która nie byłaby podejrzana.

- Nie powiedziałem tego.

- A ponieważ Sadie ma kota na punkcie Henry'ego, to jest on miłym facetem. No cóż, nie jest aż takim miłym facetem, Johnie. Zachowuje się bardzo często jak nadpobudliwy osioł. Bardzo często.

John odkłada ser i odchyła się do tyłu na ławie.

- Irene, o co ty się tak wkurzasz? Nie potrafisz po prostu... Dlaczego my w ogóle rozmawiamy o serze? Czy ty masz świadomość, co tu się stało? Czy ty masz świadomość, że mogliśmy stracić naszą córkę? Dobry Boże, Irene, mogli ją zabić!

- A ty obwiniasz mnie!

- Nie obwiniam ciebie!

- A właśnie że tak. Tak! Uważasz, że moje stosunki z nią są okropne i że to nigdy by się nie...

- Wcale nie uważam, że wasze stosunki są okropne!

- Ależ uważasz, i żebyś mi się nie ośmielił zaprzeczać! Zawsze przybierasz taki cierpiętniczy wyraz twarzy, próbując udawać, że nie mówisz mi, jak mam z nią

postępować, kiedy mi mówisz, co mam zrobić, ponieważ ty wiesz najlepiej, czyż nie, Johnie? Ty zawsze wiesz najlepiej! Ale wcale nie wiesz! To nie ty z nią jesteś! To nie ty ją najczęściej widzisz!

- A czyja to wina, Irene? Co?

- Przestań wrzeszczeć. - Teraz już mówi cichym głosem.

John powtarza pytanie, a Irene podchodzi i siada naprzeciw niego.

- To nie moja wina, że się rozwiedliśmy, John. -Nie?

- Nie. W naszym małżeństwie było dwoje ludzi, gdybyś nie zauważył.

- No cóż, a dotknęło to trojga, Irene. Prawda? Jeśli ty tego nie zauważyłaś. I nie wydaje mi się, żebyś zauważyła. Albo żeby cię to obeszło.

Twarz jej się wykrzywia, Irene zaczyna płakać.

- Co ty, u diabła, wiesz o tym, co mnie obchodzi? Nic!

- Świetnie ci idzie powstrzymywanie się od przekleństw - mówi John. - W porządku, posłuchaj. Skupmy się po prostu na Sadie. Dobrze? Po prostu się nią zaopiekujmy. Zastanawiam się... Równie dobrze mogę ci o tym powiedzieć, zastanawiam się, czy nie zabrać jej do domu.

- O czym ty mówisz? Ona jest w domu.

- Nie, nie jest. Ty zabrałaś ją z domu.

- Ona nawet nie lubi Minnesoty.

- Fakty są takie, że lubi. Ale ja nie mówiłem o Minnesocie.

- No to o czym mówisz? O czym ty mówisz?

- Mówię o sobie.

Irene wpatruje się w niego.

- Ja jestem jej domem - oznajmia John.

- A ja nie? Czyś ty zwariował?

- Dlaczego nie zapytasz Sadie? - proponuje John. Wstaje z ławy. - Dobranoc.

Wraca do sypialni. To było podłe. I niesprawiedliwe. Nie obchodzi go to. Kładzie się z powrotem do łóżka, podciąga na siebie przykrycie.

- Suka - mamrocze.

Z kuchni dobiega odgłos młynka zlewozmywakowego. Pewnie Irene wyrzuca starty przez niego ser. John zamyka oczy.

Po jakimś czasie słyszy pukanie, a potem drzwi się otwierają. Irene podchodzi i siada w nogach łóżka, wbija spojrzenie w kolana.

- Wiesz co, Johnie? Nie jesteś domem Sadie. Ja również nie. To ten chłopiec jest jej domem.

Podnosi na niego wzrok i wzrusza ramionami.

- Wyznaczyła następcę. Chyba nie mam jej tego za złe. Wiesz, co myślę, dlaczego nie powiedziała żadnemu z nas o Ronie jak mu tam? Ponieważ nie chciała, żebyśmy to zepsuli. Z jej doświadczenia właśnie coś takiego robimy ze związkami, w których powinna być miłość. Rujnujemy je.

- Nie sądzę...

- Idę się położyć. Chciałam tylko powiedzieć, że przepraszam. Naprawdę jest mi przykro. Od teraz będziemy opiekowali się naszą córką. I to wszystko. Dobranoc. Och, nawiasem mówiąc, Henry nie używa *queso fresco*. Używa

*queso panela**. Ale ja używam *queso fresco*, więc... Dobranoc, John.

- Dobranoc.

- Czy jest ci wystarczająco ciepło? John wzdycha.

-Tak.

Irene bezgłośnie wychodzi z pokoju. Jak jakieś widmo. Jak duch czegoś, co umarło i czego już nie ma.

* *Queso panela* - biały ser podobny do mozzarelli.

24.

W środę rano Sadie słyszy pukanie do drzwi.

- Sadie? Mogę wejść?

Ojciec. Wstaje z łóżka, by go wpuścić.

- Wychodzę właśnie po zakupy. Chcesz coś?

- Przepustkę na wyjście z więzienia?

- Daj spokój, chyba rozumiesz, dlaczego chcemy spędzić z tobą trochę czasu. Czy tak źle być tu z nami?

Sadie wzrusza ramionami.

- Chcemy tylko upewnić się, że z tobą wszystko w porządku.

- Pewnie - mówi Sadie. Ale żałuje, że jej ton jest taki zimny. Ojciec wygląda jak z krzyża zdjęty. Sadie wątpi, żeby dobrze spał, ale kto śpi dobrze? Wyobraża sobie, że wszyscy wałkowali w kółko wydarzenia tych ostatnich kilku dni.

- Granolę - prosi. -1 maliny.

- W porządku - odpowiada ojciec. - Wrócę niedługo.

- Hej, tato?

- Hej, Sadie.

Sadie się uśmiecha.

- Nie jest źle być tutaj z tobą.

- To dobrze.

Kiedy ojciec wychodzi z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi, Sadie pada na łóżko. Wczoraj wieczorem, kiedy razem jedli kolację, Irenę przemawiała do niej łagodnie. Oświadczyła, że wydaje jej się, że rozumie, dlaczego tak się stało, ale Sadie dojdzie z czasem do tego, że pomysł, by wychodzić za mąż, chociaż może był naturalną reakcją, to błąd.

- Dlaczego nazywasz to naturalną reakcją? - zapytała Sadie. - Myślisz, że to taka fantazja ratunkowa? Myślisz, że Ron jest moim rycerzem na białym koniu, ponieważ zadzwonił na policję? - Po cichutku zastanawia się jednak, czy nie jest to po części prawda.

- Rzeczywiście tak myślę - przyznała Irenę. - Ale nawet jeżeli to nieprawda, to jesteś za młoda, by wychodzić za mąż, Sadie. I chcę, żebyś wiedziała, że wraz z ojcem pomożemy ci się z tego wyplątać.

- Mamo, ja kocham Rona.

- Nie kwestionuję tego.

- Ale czy mi wierzysz? Matka wzdycha.

- Ron wydaje się bardzo miłym chłopcem i dzięki Bogu, że zadzwonił na policję. Ale nie powinnaś była za niego wychodzić. Nie zdajesz sobie sprawy, jak wiele cię ominie dlatego, że jesteś mężatką, Sadie! Jesteś taka młoda, masz prawo żyć, jak inni młodzi ludzie. Powinnaś różne rzeczy poznać, wypróbować, a małżeństwo ci na to nie pozwoli.

- Wypróbować różne rzeczy - powtórzyła Sadie.
- Na przykład innych mężczyzn.
- No cóż, jeżeli mam być szczerą, to tak. Ale to nie wszystko. Powinnaś być wolna, Sadie, żebyś mogła sobie pozwolić na podążanie w takim kierunku, w jakim cię ciągnie. Pozwól, żebyśmy pomogli ci się z tego wyplątać, to będzie całkiem proste.

Sadie odkłada widelec.

- A więc nie wierzysz, że ja go kocham. Nie potrafisz sobie wyobrazić, że mogłabym kochać mężczyznę. A wiesz, dlaczego, mamo?

- Nie powiedziałam tego, Sadie!

- Ale tak myślisz.

- No dobrze - wtrącił się w tym momencie ojciec.

- Tylko... Uspokójmy się wszyscy.

- Chwileczkę - przerwała mu Irene. - Zaczekaj no chwileczkę! Pozwól mi się wypowiedzieć. - Popatrzyła na Sadie. - Wierzę, że jesteś w pełni zdolna pokochać mężczyznę. Chociaż dla mnie Ron to tylko chłopiec. Ale pomińmy to. Przyjmijmy, że jest mężczyzną. Wierzę, że jesteś w stanie go kochać. Wierzę, że go kochasz. Ale co to znaczy, Sadie? Czy to znaczy, że masz wychodzić za mąż w wieku osiemnastu lat? Po co ten pośpiech? Naprawdę, tylko pytam.

- Nie potrafisz tego zrozumieć - odparła Sadie. I to prawda. - Tracę tylko czas, próbując wam to wytłumaczyć.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie opowiedzieć rodzicom o chorobie Rona. Ale nie chciała tego robić. To nie ich sprawa. Wykrzywiliby ten fakt, wykorzystali jako kolejny powód, że nie powinna być mężatką. Już

słyszała, jak Irenę krzyczy: „Ci lekarze mogli się mylić! Może mieć nawrót! Czy chcesz zostać wdową?”.

- Nigdy mnie wystarczająco nie docenialiście - powiedziała zamiast tego.

- Jesteś bardzo odpowiedzialną młodą kobietą - stwierdziła Irenę. - Ale jesteś za młoda na to, by wychodzić za mąż. Nie tylko ja tak mówię. Twój ojciec i ja całkowicie się co do tego zgadzamy. Powiedz jej, Johnie.

- Myślę, że matka ma rację - przyznał.

A wtedy Sadie wyszła z siebie i wrzasnęła:

- No to popatrzcie na siebie! Popatrzcie na was oboje! Popatrzcie, co się dzieje, jeżeli czeka się tak długo! Robi się człowiek za stary i już nie potrafi z nikim być! Jesteście żałośni!

Wtedy im głos odjęło. Źle się czuła, mówiąc to, ale taka była prawda. Byłoby całkiem inaczej, gdyby jej rodzicom samotność się podobała, ale im się nie podobała, każdy mógł to zobaczyć.

Po jej wybuchu matka siedziała w milczeniu, oczy miała puste. Ojciec nie chciał popatrzeć ani na nią, ani na matkę. A wtedy Sadie łagodnym tonem zapytała o coś, czego się zawsze chciała dowiedzieć.

- Dlaczego zajęło to wam tak długo, zanim się pobraliście?

- Nie rozmawiamy o twoim ojcu i o mnie, Sadie.

- No cóż, może powinniśmy!

Ale matka wstała i odeszła od stołu. Potem ojciec zrobił to samo. Sadie wróciła do siebie i zamknęła drzwi. Słyszała, jak Irenę mówi przez telefon Henry'emu, że będzie potrzebowała więcej wolnego, przynajmniej tydzień.

- Bo tak - odparła, a potem na tyle zniżyła głos, że Sadie już jej nie słyszała.

Później tego samego wieczoru wpadł Henry. Sadie słyszał, jak pytał, czy mógłby z nią porozmawiać, a Irenę, wciąż urażona, powiedziała:

- Proszę cię bardzo.

Słyszała, jak idzie przez korytarz, deski zaskrzypiały w tym miejscu co zawsze. Słyszała, jak zawahał się pod jej drzwiami, potem delikatnie zastukał. W pierwszej chwili nie zareagowała, ale potem, dochodząc do wniosku, że on niczego złego nie zrobił i zawsze go lubiła (no i niewykluczone, że przyniósł jej coś pysznego do zjedzenia), otworzyła drzwi.

Stał, trzymając koszyczek z czymś, co pachniało maślanie i czekoladowo. Zanim się odezwał, odchylił serwetkę. Czekoladowe croissanty. Malutka kokilka z masłem i druga z dżemem malinowym.

- Czy to dżem pana roboty? - zapytała Sadie.

- Oczywiście.

- No to... dziękuję panu.

- Poczęstuj się - zaproponował Henry.

- Zrobię to.

- Nie, teraz.

Sadie roześmiała się i ugryzła kawałek.

- Zdumiewająco dobre - pochwaliła. - Tak?

- Tak.

- No to... mogę wejść?

Odsunęła się na bok, mając świadomość, że w ataku wścikłości porzuciła swoje rzeczy po całym pokoju.

Henry podszedł do stojącego w kącie fotela, zdjął z niego stosik ubrań, który tam cisnęła, i usiadł. Siedział na samym skraju, ze skrzyżowanymi nogami, plecy miał wyprostowane.

- Widzę, że sortujemy i układamy - powiedział. Sadie usiadła na łóżku i znowu ugryzła croissanta.

- No tak. Twoja matka powiedziała mi, że się zaobraczkowałaś.

- Wyszłam za męża, tak. - Delikatnie usunęła okruszek z kącika ust.

- Czy kiedyś poznałem tego faceta? -Nie.

- A czy go widziałem? -Nie.

- Hm, czuję się zaintrygowany.

- Niech pan posłucha, Henry...

- Nie, mówię serio.

- No dobrze.

Zapadła przydługa cisza i w końcu Sadie powiedziała:

- Spodoba się panu.

- Nie mam wątpliwości. Dlaczego miałoby być inaczej?

- No cóż, niech pan porozmawia z mamą.

- Porozmawiam z twoją mamą. Ale najpierw chcę porozmawiać z tobą. Chcę po prostu się przekonać, czy wszystko w porządku. Czy z tobą jest w porządku? Czy jesteś absolutnie pewna, że postąpiłaś słusznie?

- Ze mną wszystko w porządku. I tak, jestem absolutnie pewna. To prawie niemożliwe, żeby udało mi się wytłumaczyć, ale...

- Och, mnie nie musisz tego tłumaczyć. Ja zakochałem się w wieku szesnastu lat w kimś, kto do mnie pasował. Ale pozwoliłem mu odejść, bo miałem szesnaście lat. Do dziś codziennie tego żałuję. - Henry popatrzył na nią, głowę miał przechyloną na bok. - Czy potrafisz to sobie wyobrazić? Mówiłem bez żadnej przerośni. Codziennie.

- Nie wiedziałam o tym.

- Nikt o tym nie wie.

- Przykro mi, Henry.

- Dziękuję.

- Ale... czy kiedyś próbował pan nawiązać z nim kontakt, przez te wszystkie lata?

- Obawiam się, że wymagałoby to seansu.

- Umarł? Henry przytaknął.

- Dwa lata po tym, jak się rozstaliśmy. Zginął w wypadku samochodowym. Przeczytałem o tym w gazecie. I nawet poszedłem na pogrzeb. - Zmusił się od uśmiechu. - No tak. Ale posłuchaj, jeżeli już tak siedzimy i użalamy się nad sobą.... Czy matką powiedziała ci, że James mnie zostawił?

-Nie!

- No cóż, zostawił mnie. Zadzwoił do mnie kilka godzin po tym, jak mnie zostawił, a ja nawet nie odebrałem. Byłem pewien, że zmienił zdanie i chce wrócić. Ale nie. To nie dlatego dzwonił. Zadzwoił, żeby mnie poinformować, którego dnia zgłosi się po resztę swoich rzeczy. Razem ze swoim nowym przyjacielem, Bruce'em. - Henry skrupulatnie oglądał swoje paznokcie. - Bruce'em! - Spojrzał

na nią, a na jego twarzy malował się wyraz, jakiego tam nigdy wcześniej nie widziała: otwarty. Miękki. Znużony. - Chcę tylko powiedzieć, Sadie, wiesz, przyszedłem tu, by ci pogratulować. Wiesz, że jestem twoim przyjacielem. Mam nadzieję, że będę mógł zrobić dla ciebie catering, jeżeli postanowisz wyprawić wesele. Twoja mama będzie chciała, żebyś miała wesele. Takie prawdziwe.

- Moja mama chce, żeby anulować ślub.

- Och, wiem. Ale ja będę jej tłumaczyć, ty będziesz jej tłumaczyć i ona sama będzie do siebie tłumaczyć, kiedy już to wszystko przetrawi, będzie chciała, żebyś miała wesele. Jeśli chodzi o tort, to myślę o zdekonstruowanym torcie z orzechów laskowych, przekładanym słonawą masą karmelową, z czekoladowym *ganache**, w którym będzie się go zanurzać. To byłaby dobra zabawa, prawda?

- Ta. Pewno.

- W porządku, to był tylko test. Bo coś takiego nie miałyby klasy. Chcę mieć wszystko pod wyłączną kontrolą. Wszystko. Ani jednej banieczki myśli z twojej strony.

Sadie się roześmiała.

- Świetnie.

Henry wstał, poprawił sobie szalik i koszulę.

- Twoja matka bardzo cię kocha, Sadie. Chce mieć pewność, że nie popełniłaś jakiegoś straszliwego błędu, że nie zrobiłaś czegoś, czego będziesz żałowała do końca życia. Musisz przyznać, że to było dosyć... pochojne.

- Uhm. Bardzo mnie kocha. To dlatego powiedziała mi kiedyś, że wcale nie musiała mnie mieć. - Znowu poczuła ból, kiedy to mówiła.

* *Ganache* - sos czekoladowo-śmietankowy.

- Bo nie musiała.

- Chrzanię to. Żeby coś takiego usłyszeć. Nie powinna była tego mówić.

- Och, daj spokój. Była zła, kiedy to mówiła. Kłóciłyście się, prawda?

Sadie się nie odezwała.

- Więc matka była zirytowana, czuła się zraniona. Jest człowiekiem, czyli ma burdel w głowie, i powiedziała coś głupiego. Nie powiedziała, że żałuje, że cię w ogóle miała, co nawiasem mówiąc moja matka powiedziała mi z milion razy. - Przewrócił oczami, przeżegnał się. - Twoja matka powiedziała, że nie musiała cię mieć, co znaczy, że zrobiła wszystko co w jej mocy, żeby cię mieć. Jeżeli byś mnie zapytała, to mówiła ci, że cię kocha. To właśnie mówiła. Och, Sadie, posłuchaj. Czy wiesz, kto postępuje słusznie? Czy wiesz, kto kocha tak, jak trzeba?

-Kto?

- Nikt. Znaczący, ludzie nawet nie potrafią... Jeżeli sprawisz sobie kota, ponieważ tak kochasz koty, to będzie mnóstwo takich dni, kiedy będziesz go nienawidziła za to, że zachowuje się jak kot. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Sadie przytaknęła.

-1 jeszcze jedno. Kiedy byłem w liceum, przyklepiłem sobie nad łóżkiem wiersz. Czytałem go codziennie. Był o człowieku, który pytał drugiego raz za razem: „Ile jest dwa razy dwa?” i wkurzał się okropnie, ponieważ odpowiedź zawsze brzmiała „dwa”.

- Widzi pan? - mówi Sadie. - To dlatego nie lubię poezji. Co to w ogóle może znaczyć?

- To znaczy, że są ludzie, którzy zawsze będą myśleć w pewien określony sposób. I nigdy nie zrozumieją ludzi, którzy myślą całkiem odmiennie. Nie potrafią. Więc najlepiej przestać się domagać czegoś od kogoś, kto po prostu nie może tego dać. Zmienić pytanie, rozumiesz?

- Przecież ja właśnie to robię - zapewniła go Sadie. - Tyle że nie pytam. Tylko mówię.

- Wiem. Ale trochę potrwa, zanim twoi rodzice to zaakceptują. Nie potrafią cię zobaczyć wyraźnie zza tych wszystkich „ciebie”, które widzą za każdym razem, kiedy na ciebie patrzą. Znaczy, jak cię odprowadzali do przedszkola, to na pewno mało brakowało, żeby im serce pękło. Tacy po prostu są rodzice, którzy kochają swoje dzieci, skończone czubki. Słuchaj, znam Irenę dosyć dobrze i mogę ci powiedzieć, że ona stara się zrozumieć. Naprawdę się stara. Może nigdy się z tobą nie zgodzi, ale próbuje zrozumieć. Będzie ci o wiele łatwiej żyć, jeżeli jej przebaczysz. Dlaczego jej nie przebaczysz? Nie chodzi o to, żebyś coś mówiła. Chodzi o to, żebyś się jakaś stała.

- Już to zrobiłam - wymamrotała Sadie.

Henry wychodził właśnie z pokoju, ale się odwrócił.

- Co takiego?

- Już to zrobiłam.

- Bajecznie. Mogłabyś ją w to wtajemniczyć. Sadie otwiera okno, jest ciepły dzień. Widzi mewy

kołujące po niebie; słyszy ich słabe krzyki. Opiera się na łokciach i patrzy na ulicę w dole. Naprawdę czuje się jak więzień. Ale dotrzyma zawartej z obojgiem rodziców umowy, że zostanie przez pewien czas w domu. Chociażby dlatego, że ostatniej nocy znowu miała koszmary

sen i kiedy się obudziła, była taka zadowolona, że jest w domu, we własnym łóżku. Wyjęła królika i tuliła go, chociaż dopilnowała, żeby go schować natychmiast po tym, jak się obudziła.

Dużo czasu minęło, od kiedy jej rodzina była razem. I pomimo wrzasków oraz kłótni i dezorientacji okazuje się to dosyć interesujące. Sadie obserwuje, jak rodzice przyglądają się sobie nawzajem, i zastanawia się, o czym myślą. Czasami widzi coś, co pozwala jej zrozumieć, jak to się stało, że się zeszli: wspólny punkt widzenia, podobne poczucie humoru. Tak dużo czasu upłynęło, a im wciąż zdarza się kończyć nawzajem swoje wypowiedzi. Wciąż mają tylko dla siebie zrozumiałe żarty. „*Cest Robespierre*” - powiedziała Irene wczoraj przy kolacji, a wtedy ojciec wybuchnął śmiechem, dodając: „Panie Smokes!” i oboje roześmiali się i powiedzieli razem: „Taksa nie dla pana Maksa!”.

- O czym wy mówicie? - zapytała Sadie, ale żadne z nich nie odpowiedziało. W końcu ojciec mruknął: - O niczym - a matka dodała: - To było dawno temu.

- Kiedy? - zapytała Sadie.

- Hej - John zmienił temat. - Chcecie zagrać w pokera? - Więc pograli w pokera, a zegar tykał na ścianie i mijała godzina za godziną, i tego wieczoru już tylko raz przyszło jej na myśl, czy matka myślała wtedy o anulowaniu małżeństwa? Nie, nie myślała. Tik, tak.

Kiedy wszyscy się już położyli, Sadie zadzwoniła do Rona i schowała się pod kołdrą razem z telefonem. Jego serdeczny głos. On. Głównie rozmawiali o zwykłych rzeczach, co każde z nich robiło tego dnia, czy u jego matki

i jej rodziców da się zaobserwować symptomy odwilży, czy nie. Ale w ich rozmowie było teraz coś nowego. Sadie widziała kiedyś coś, co wisiało na ścianie salonu u pewnych ludzi, u których opiekowała się dzieckiem, a co tamci dostali kiedyś w prezencie ślubnym. Kawałek czegoś, co wyglądało na pergamin, a na tym słowa: *Jam miłego mego, a mój miły jest mój**. Tak właśnie teraz między nimi było.

Wie, że nigdy nie opowie matce, jakie to było słodkie, kiedy się w końcu kochali z Ronem w noc poślubną, co za dziwaczny staroświecki pomysł. Wszystko złe, co się kiedyś wydarzyło, stało się dalekie, niemal nierealne: nie widziała nic oprócz Rona. Żałuje, że nie potrafi wytłumaczyć tego Irenę, że kiedy kochali się z Ronem, zrozumiała koncepcję spełnienia tak jak nigdy dotąd, koncepcję zaangażowania. Leżała pod nim, drżąc, kiedy w nią wchodził, a on nie przestawał pytać: „Czy nie sprawiam ci bólu?“, a twarz miał przepełnioną żalem na myśl, że mógłby. A ona powtarzała: „Nie, nie, wszystko dobrze” - ponieważ chociaż sprawiał jej ból, chciała tego bólu, i było jej dobrze, więcej niż dobrze, była bezpieczna i była w domu.

Później tulił ją tak czule, a Sadie czuła się przepełniona spokojem. W pewnym momencie przez otwarte okno tego zabawnego starego hotelu, gdzie spędzali noc, wpadł wiatr i przeleciał nad nimi jak błogosławieństwo, a jej przyszło na myśl, że jedynymi ludźmi, którzy powinni rozumieć, po co i dlaczego się pobrali, są oni sami.

* Pieśń nad Pieśniami, 6:3.

I kiedy sobie to uświadomiła, załało ją intensywne poczucie, że jest wolna. Przyszło jej na myśl, żeby powiedzieć Ronowi, że musi wyjść na zewnątrz, musi stanąć pod wielkim czarnym niebem i wieloma gwiazdami, bo ten pokój jest za mały, by takie poczucie się w nim pomieściło, ale nie zrobiła tego. Oparła brodę na czubku głowy Rona i wyczuwała, jak unosi się ona i opada w rytm jej oddechów, i pozwoliła, by mały pokój, w którym byli, zamknął w sobie ich szczęście.

Nie opowie o tym Irenę ani nikomu innemu, nawet Meghan, bo należało to do instytucji, którą tworzyli Ron i ona, podobnie jak wiele innych rzeczy, które miały przyjść; czuła, że odłożyła pierwszą rzecz do skrzynki nadziei, nadziei dawno minionej.

25.

O dziesiątej rano we czwartek Irenę jest w kuchni i prasuje. Wyjęła wiklinowy koszyk, w którym trzyma swoją sporą kolekcję staroświeckich chusteczek, i metodycznie kolejno się nimi zajmuje. Czerpie pociechę z zapachu ciepłej bawełny, rytmicznego poskrzypywania deski do prasowania, łatwości, z jaką chusteczki dają się składać w idealne kwadraty. Cieszy ją widok różnych wzorów: wiejskie róże i fioletowe bratki, i niezapominajki; czterolistne koniczyny i pospłatane serduszka, i wycinane dynie, i choinki; haftowane inicjały, kocięta w kombinezonach na dzieciennych chusteczkach. Lubi nosić czyste i wyprasowane chusteczki w plastikowej torebeczce w swojej torebce; nieraz się zdarzyło, że trafiła na kogoś, kto płakał, a w zasięgu wzroku nie było śladu Kleenexa, i z przyjemnością proponowała w takim przypadku chusteczkę. Kiedyś jakaś kobieta stała w kolejce do kontroli bezpieczeństwa na lotnisku i cicho płakała, ocierając łzy dłońmi; dziękowała wylewnie, kiedy Irenę dała jej chusteczkę. Ale potem zaczęła płakać dużo

mocniej. Irene nie była pewna, czy dlatego, że tak bardzo doceniła podarunek, czy też dlatego, że teraz już miała chusteczkę i nie musiała się ograniczać.

John i Sadie wybrali się na spacer; Sadie chciała pokazać Johnowi kilka swoich ulubionych miejsc w mieście - i przy sposobności spędzić trochę czasu tylko z nim, pomyślała Irene. Była z tego zadowolona; im obojgu dobrze to robiło, kiedy byli razem, a ona rozkoszowała się darowaną jej oazą samotności. Ale niedługo po tym, jak już wyszli, poczuła się okropnie. Zadzwoiła, żeby umówić się na lunch z Valerie; później zaś wywlokła tę deskę do prasowania.

Od lat już, kiedy jest wytrącona z równowagi, prasuje chusteczki. Prasuje chusteczki albo nakrywa do stołu. Pierwszy raz zdarzyło się to, gdy Sadie była w trzeciej klasie; wróciła wtedy do domu ze szkoły i w jadalni zastała stół nakryty dla dwóch osób - tą lepszą porcelaną w kwiatuszki i srebrami, z małą solniczką i pieprzniczką dla każdego. Zapytała: „Kto przychodzi na obiad?”. Nigdy nie jadały z matką na tych talerzach; były przeznaczone wyłącznie na świąteczne okazje.

- Nikt - powiedziała Irene.

Sadie podeszła bliżej, by się przyjrzeć, jak Irene wszystko precyzyjnie rozmieściła; dotknęła białych płóciennych serwetek przeciągniętych przez srebrne kółka z monogramem.

- No to po co stół jest taki wymyślny? - zapytała. Irene oparła się o framugę drzwi, która oddzielała część jadalną od kuchni, wycierając ręce w ściereczkę.

- Po prostu wydaje mi się, że tak jest ładnie. Nie uważasz?

Sadie wzruszyła ramionami.

- Ta, pewno.

- No więc dlatego - zapewniła Irenę. - Po prostu lubię patrzeć na ładne rzeczy.

- Ale... ale nie myślisz, że ktoś ma przyjść? - Sadie nie ustępowała.

Mówiła powoli, ostrożnie. Przesuwała palcem wzdłuż złotego brzegu talerza, oczy miała spuszczone. Już wtedy stanowczo za wiele wiedziała o samotności matki. Już wtedy brała na siebie ciężar, którego nie powinna była musieć dźwigać.

- Nie, głuptasku! - odrzekła Irenę. - To tak jak wtedy, kiedy urządzałaś prozowane herbatki, pamiętasz? Pamiętasz, jak rozstawiałaś wszystkie te malutkie filiżanki i spodeczki?

- Ale ja byłam mała - powiedziała Sadie. Irenę klasnęła w dłonie.

- Zgadniesz, co ci zrobiłam na przekąskę? Chodź szybko, umyj ręce.

Sadie zjadła przekąskę, połówkę jabłka przyozdobioną rodzynkami ułożonymi tak, by wyglądały jak ślepia, i tartą marchewką przypominającą włosy, a potem poszła do siebie. Później zawołała matkę, by przyszła do jej pokoju.

Kiedy Irenę się pojawiła, zobaczyła córkę, która odszukała swój stary serwis dla lalek i ustawiła go na kocu na podłodze.

- Witam na moim przyjęciu - powiedziała, a Irenę zdjęła fartuch i usiadła. Sadie zrobiła papierowe kwiatki na wyciorach fajkowych i ułożyła je w szklanym słoiku

po dżemie. Zrobiła wizytówki: MAMA, SADIE. Miały wodę i słone krakersy, które każda z nich uznała za pyszne. A tego wieczoru Irene leżała w łóżku, płacząc i bardzo starając się nie robić hałasu.

Patrzy na zegarek. Za wcześnie, żeby wychodzić na lunch, ale i tak zamierza wyjść. Wyłącza żelazko, wyjmując wtyczkę z kontaktu. Idzie do holu po kurtkę i torebkę, a potem wraca do kuchni, żeby sprawdzić, czy wyłączyła żelazko i wyjęła wtyczkę. Nigdy wcześniej nie musiała tego robić, sprawdzać po dwa razy. Irene martwiła się o stan swoich władz umysłowych, dopóki nie zwierzyła się Valerie, która powiedziała: Och, ja sprawdzam po trzy razy. Co najmniej! Czasami mam wrażenie, że chodzę w kółko, wszystko bez końca sprawdzając. Czuję się jak ten chłopczyk, który zamienił się w masło.

- O czym ty opowiadasz? - zapytała Irene.

- No wiesz - odpowiedziała Valerie - ten chłopczyk z tygrysami. Który chodził w kółko pod drzewem, aż zamienił się w masło.

- Och! - zrozumiała Irene. - Tak! Ale czy to nie tygrysy zamieniły się w masło?

Valerie patrzy na nią bez zrozumienia i Irene czuje się bez porównania lepiej, jeśli chodzi o własną sprawność intelektualną.

Jadąc do hotelu Huntington, bo Valerie zaproponowała, że postawi jej tam lunch, Irene myśli o tym, że zostawiła koszyk z chusteczkami na desce do prasowania. Powinna była je schować. Sadie i John wrócą i Sadie może powiedzieć ojcu, kiedy matka ostatni raz wyciągnęła te

chusteczki na światło dzienne. Sadie weszła do pokoju, kiedy Irene prasowała chusteczkę z Minnesoty.

- Wyglądała na taką smutną. - Wyobraża sobie, jak Sadie mówi. - Myślę, że tęskni za Minnesotą.

- Naprawdę? - Wyobraża sobie, jak mówi to John.

Irene ma już siedemnaście chusteczek z różnych stanów, każda jest ozdobiona motywem czegoś, z czego słynie dany stan: na ostatnią gwiazdkę Sadie dała jej chusteczkę z Iowa i Teksasu. Irene szczególnie spodobała się ta teksańska, z krzywonogimi kowbojami wymachującymi lassem, niebieskolistnym łubinem i szybami naftowymi. Ale najbardziej ze wszystkich kocha tę z Minnesoty, z jeziorami, sandaczowatą rybą wallyey i Gwiazdą Polarną.

- Czy brak ci czasami Minnesoty? - zapytała Irene, kiedy Sadie weszła tamtego dnia, żeby wziąć sobie jabłko z miski z owocami. Wbiła wzrok w żelazko, przesuwając nim powoli w przód i w tył po chusteczce, na której nie było już ani jednej zmarszczki.

- Jeżdżę tam dwa razy do roku - powiedziała Sadie, wgryzając się w jabłko.

- Wiem, ale czy zdarza ci się żałować, że tam nie mieszkasz?

- A tobie? - odparowała Sadie. - Czy to dlatego mnie pytasz?

Irene nie odpowiedziała.

- Mamo? Czy tęsknisz za Minnesotą?

- Tak naprawdę to nie - oświadczyła Irene. Parkując samochód, Irene ma jeszcze dwadzieścia minut do zagospodarowania, zanim się spotka z Valerie.

Siada w parku naprzeciwko hotelu i przygląda się małej grupie starszawych Japoniek, ćwiczących *qigong*. Wygląda to ślicznie, taki balet w zwolnionym tempie, a twarze uczestniczek są jednocześnie skupione i pełne spokoju. Irene zastanawia się, czy nie powinna się zapisać. Valerie i Ben chodzą na takie zajęcia i nie przestają jej namawiać, żeby się z nimi wybrała. Ale Irene nie należy do osób, które łatwo włączają się do grupy. Jej ulubioną nauczycielką w szkole była ta, która powiedziała, że Irene może nie wychodzić na przerwę na podwórko, ponieważ nie lubi sportów zbiorowych.

Irene zamyka oczy i unosi twarz do słońca. Próbuje wyobrazić sobie siebie, jak obok Valerie i Bena ćwiczy *qigong*. Uważa, że to wspaniałe, że tamci razem chodzą na te zajęcia. Zazdrości Valerie wszystkiego w jej relacjach z mężem. Są wzorem tego, co sama chciałaby mieć. Valerie i Ben nigdy nie przestali się razem bawić, nigdy nie stracili zainteresowania sobą nawzajem. Ale ich wzajemna lojalność buduje wokół nich mur. Jeżeli Irene i Valerie rozmawiają przez telefon, kiedy Ben wraca do domu, Valerie się rozłącza.

- Mój mężczyzna wrócił do domu, muszę kończyć! - zawsze tak mówi i jest w tym trochę za mało ironii, by Irene to odpowiadało.

- Nie musisz kończyć tylko dlatego, że on wrócił do domu! - wzburzyła się kiedyś. - Nie żyjemy w latach pięćdziesiątych!

A Valerie stwierdziła:

- Wiem, że nie muszę. Ale chcę.

* *Qigong* - zestaw ćwiczeń zdrowotnych ze starożytnych Chin.

Jakiś cień zasłania słońce, Irenę otwiera oczy, żeby sprawdzić, czy się zachmurzyło; w prognozie zapowiadali deszcz. Ale to nie chmura, tylko Jeffrey Stanton, ten, którego poznała w dniu, kiedy zrezygnowała z pracy.

- Jeffrey!

- Irenę Marsh! Co ty tutaj robisz?

- Umówiłam się z przyjaciółką na lunch. W Huntington. - Patrzy na zegarek. - Za jakieś dziesięć minut.

Jeffrey siada na ławce obok niej.

- Mam trochę czasu. Co u ciebie?

- Przekażę ci to w formie bryku - mówi Irenę i wprowadza go w sprawę małżeństwa Sadie. Nie ma pojęcia, czemu mówi o prywatnych sprawach człowiekowi, który jest dla niej kimś niewiele więcej niż obcym. Po prostu się to z niej wyrywa.

Jeffrey jednak przyjmuje jej słowa z absolutnym spokojem.

- To pewnie ci nie brakuje zajęć - odpowiada z uśmiechem. A potem dodaje: - Czy chciałabyś usłyszeć moje zdanie?

- Czemu nie?

- Uważam, że powinnaś przyjąć u siebie tego chłopca i jego rodziców. Zaprosić ich na kolację czy coś.

Irenę kiwa głową. Akurat!

- Ojciec Rona nie żyje. Ma tylko matkę.

- No to ją zaproś - radzi Jeffrey. - Możesz nie mieć ochoty, ale sama wiesz, jak to idzie; jeżeli rodzic czegoś odmawia, dzieciak tylko bardziej tego chce. Koniec końców może będziesz musiała to zaakceptować.

- Nie mam ochoty niczego akceptować.

Jeffery nic nie mówi, a po chwili Irenę potrząsa głową i wzdycha.

- Wiem.

- Mogło się przecież zdarzyć coś dużo gorszego - zauważa Jeffrey.

- Przypuszczam, że masz rację.

- Hej, wiesz co? Zamierzałem zadzwonić do ciebie dziś wieczorem.

Irenę patrzy na niego, osłaniając przed słońcem oczy.

- Naprawdę?

- Yhm. Mam bilety na mecz Gigantów na przyszły tydzień, tuż za bazą domową. Miałabyś ochotę pójść? Kolacja zostanie podana albo podczas meczu albo po, jak wybierzesz.

- Och, Jeffrey, sama nie wiem.

- Nie ma sprawy. Pomyślałem tylko, że mogłabyś mieć ochotę.

- Ostatni raz byłam na meczu jako mała dziewczynka, poszłam z moim dziadkiem. Pytałam go, co robią na boisku ci księża.

- Księża? ... Och! Sędziowie! No cóż, oni też odpuszczają grzechy.

Za tydzień Sadie już nie będzie. Johna już nie będzie. Może się miło rozerwać, idąc na mecz. Jeffrey pochyła się do przodu.

- Dorzucam do oferty, co następuje: jeżeli nie pójdziemy czegoś zjeść podczas meczu, zamierzałem zabrać cię do knajpki, gdzie mają najlepszą pieczeń rzymską. Jesteś trochę taką dziewczyną retro, czyż nie? Stawiają na stole tace z dodatkami. Patyczki z selera z serkiem kremowym.

- Brzmi wspaniale. - Wyobraża sobie, jak siedzi z nim i musi ścierpieć spojrzenia młodszych kobiet, które zastanawiają się, dlaczego on jest z nią.

Jeffrey zerka na zegarek i krzywi się.

- O, muszę się zbierać. Zadzwoń do ciebie. - Całuje ją w policzek i robi pierwszy krok.

- Jeffrey? A może ja zadzwonię do ciebie? Jeffrey się odwraca.

- Oj, Irene, nie wybierasz się ze mną, prawda? Irene nie wie co powiedzieć.

- Rozumiem - mówi Jeffrey. - Nic strasznego. Irene patrzy, jak on się oddala.

Kiedy wchodzi do restauracji, Valerie już zajęła miejsce przy stoliku. Irene siada naprzeciw niej.

- Zgadnij, na kogo właśnie wpadłam w parku.

- Tego młodszego faceta, który cię zaprosił na lunch?

- Skąd wiesz?

Valerie pokazuje na okno, przy którym siedzą - Och.

- Co mówił?

- Tak jakby znowu chciał się ze mną spotkać.

- To miło.

- Nie wybieram się.

- Dlaczego nie?

- On jest zaledwie po czterdziestce!

- No to co?

- No to dla niego ja jestem... no wiesz.

- Nie, nie wiem. Czym jesteś dla niego?

-Po prostu... po prostu się nie wybieram, okay? -
Zabrzmiało to głośniej, niż zamierzała; ludzie przy

sąsiednim stoliku odwracają się w jej stronę, a potem znowu zajmują się jedzeniem.

- Niektórzy mężczyźni lubią starsze kobiety - mówi cicho Valerie.

- Wiem. Był żonaty z dużo starszą od siebie. Ale...

- Ale co?

- Po prostu nie czuję się z tym komfortowo. To wszystko.

Nie wybieram się.

Valerie wzdycha.

- Wiesz, że cię kocham, prawda?

- Yhm.

- No to posłuchaj.

Irene składa ręce na stoliku.

- Wiesz, że cię kocham, ale jesteś jedną z najbardziej irytujących osób, jakie kiedykolwiek znałam. Tak powiedz uczciwie, kiedy ty czujesz się komfortowo, Irene? Wiesz, jak byłyśmy na studiach i umawiałyśmy się z paczką znajomych, ty zawsze wychodziłaś pierwsza. I robiłaś to tak bezceremonialnie! Nagle zrywałaś się, mówiłaś: „No, będę się musiała zbierać” i puf! - już cię nie było. Często rozmawialiśmy o tym, że nigdy nie potrafiłaś... no, zostać dłużej.

- Rozmawialiście o mnie, jak wyszłam?

- Tak. Dziwne to było, że zawsze tak robiłaś.

- No przecież musiałam wyjść.

- Dlaczego?

- Bo miałam różne rzeczy do zrobienia.

- Zła odpowiedź.

- Chyba wiem, co mam odpowiedzieć. Val patrzy na nią i milczy.

- Musiałam wychodzić, bo miałam różne rzeczy do zrobienia, Val.

- Na przykład...? - Valerie smaruje masłem kawałek chleba, odgryza kęs. Żuje, unosząc w oczekiwaniu brwi do góry.

- Skąd mogę teraz wiedzieć? Różne! Nie pamiętam wszystkiego, co robiłam. Ale miałam różne rzeczy do załatwienia!

Valerie odkłada chleb.

- Wiesz co, Irene? Nie sądzę, żebyś miała tak dużo do roboty. Myślę, że wychodziłaś, bo po prostu nigdy nie potrafiłaś zostać na dłużej.

- Też coś. Jesteśmy przyjaciółkami od dziesięciu tysięcy lat. Powiedziałabym, że to jest „dłużej”, nie?

- Tak. To w pewnym sensie dłużej. Dla mnie jesteś naprawdę świetną przyjaciółką. Ale czy pamiętasz, jak się pokłóciłyśmy, kiedy pojechałyśmy do Nowego Jorku? Miałyśmy wtedy po trzydzieści kilka lat. Nawet nie wiem, o co. Ale pokłóciłyśmy się i powiedziałaś mi, że koniec z nami, że już po naszej przyjaźni. Siedziałam na łóżku w hotelu i płakałam, a ty, całkiem tym niewzruszona, po prostu wyszłaś i zamknęłaś za sobą drzwi.

- Ale wróciłam - protestuje Irene.

- Tak. Ponieważ ja wyszłam do holu i dosłownie przywlokłam cię do pokoju, i zmusiłam, żebyś została.

Przez chwilę Irene milczy. Siedzą i patrzą wszędzie, byle nie na siebie.

A potem Irene mówi:

-Nie zostaję dłużej, bo... bo nie chcę wszystkiego

spieprzyć. Mam uczucie, że jeżeli zostanę za długo, to wszystko spieprzę. Rozumiesz?

- Ale Irene, czy ty nie rozumiesz? Kiedy wychodzisz, dopiero wtedy wszystko pieprzysz. Chciałabym, żebyś... sama nie wiem, chciałabym, żebyś kiedyś zdjęła zbroję i dopuściła różne rzeczy do siebie. Pozwoliła im się dziać! Właśnie dostałam list od człowieka, którego znałam dawno temu; prosi mnie o przysługę, żebym skontaktowała go ze wspólnym przyjacielem. Poznałam tego faceta, kiedy miał pięćdziesiąt lat. Teraz ma blisko osiemdziesiąt. Kiedy zobaczyłam jego nazwisko i adres zwrotny, pomyślałam: O rany, to przecież Ellis Coates, od lat nie było od niego wiadomości, od ponad dwudziestu lat! Otworzyłam list, myśląc, że zawsze miałam do niego słabość, był przystojny w taki twardy sposób, a potrafił też być naprawdę zabawny. Ale zawsze niszczył swoje związki, jeden po drugim, i był do przesady intelektualistą. Często też wpadał w depresję. Czytałam jego list z prawdziwym zainteresowaniem, zastanawiając się, co też się działo ze starym Ellisem, jak mógł się przez te lata zmienić. A on... No cóż, mam ten list ze sobą. Posłuchaj tego.

Val wyciąga list z torebki i czyta na głos: „Siedzę tu pogrążony w beznadziejnej rozpacz i zastanawiam się, czy mam wetknąć głowę do piecyka, czy też uwzględniając fakt, że wolę Woolf od Plath, pójść poszukać ciężkich kamieni*. I w tym momencie kto mi się przypomi-

* Sylvia Plath popełniła samobójstwo, trując się gazem, Virginia Woolf obciążyła kieszenie kamieniami i utopiła się.

na, jak nie ty, która zawsze potrafiłaś mnie wysłuchać ze współczuciem. Właśnie zakończyłem roczny związek z kobietą, której ubóstwo w końcu..." Tu jest kawałek

o tym, że ta kobieta po prostu nie sprostała oczekiwaniom, i w ogóle. A oto co pisze na końcu: „Żałuję, że nie mam lepszych wiadomości, którymi mógłbym się podzielić, ale pamiętasz może, że uważałem udawanie za coś nużącego. Naprawdę ośmielałam się zjeść tę brzoskwinie*.

Val chowa list z powrotem do torebki i wzdycha.

- No i tak. Co się zmieniło dla Ellisa Coatesa? Nic.

i było to dla mnie po prostu niewiarygodne, że tak ani odrobinę się nie zmienił, i pewnie się nie zmieni, ma teraz osiemdziesiąt lat. Znaczący... To prawda, że się starzejemy, Irene. Czas mija. A wtedy już po nas. Wiesz, miałam takie marzenie jak dziewczynka z zapałkami, że w chwili śmierci uniesie nas stąd w ramionach anioła. I będziemy spoglądać nad jego ramieniem, i widzieć całe nasze życie. I tak bardzo chciałabym móc powiedzieć: Ależ to była wspaniała jazda! I jeżeli naprawdę uniesie nas stąd w swoich ramionach anioła, to będę to w stanie powiedzieć; czuję to. Ale ty...

Valerie unosi ręce, by przycisnąć palcami kąciki oczu.

- Cholerny świat. Nie chcę beczeć. Chcę tylko powiedzieć ci, że chcę, żebyś ty też się tak czuła, bo jesteś moją najlepszą przyjaciółką, ty neurotyczna stara wariatko, i kocham cię, i nie mogę wciągać cię bez przerwy z powrotem do pokoju, musisz sama się wciągnąć, zanim nie będzie za późno!

* Odwołanie do wiersza T.S. Eliota *Pieśń miłosna*.
Alfreda Prufrocka.

Do ich stolika bezszelestnie podchodzi kelner i ponownie napełnia ich szklanki wodą, a potem odpływa. Irene też mruga powiekami, żeby powstrzymać łzy.

- Czy możemy o tym teraz nie rozmawiać? Chcę o tym porozmawiać. Tylko nie teraz. Porozmawiajmy o czymś innym.

- Dobrze. Dobrze. Z Sadie układa się lepiej, czy tak?

- Dlaczego miałabyś tak mówić?

- Ponieważ w swoich pierwszych słowach nie mówiłaś o niej.

Irene otwiera menu.

- Tylko o mężczyźnie - mówi Valerie. - O tym całkiem przystojnym mężczyźnie.

- Tak, pozwól tylko, żebym się zdecydowała, na co mam ochotę.

- Och, ja już zamówiłam dla ciebie.

- A skąd wiedziałaś, na co będę miała ochotę? - Przygląda się bacznie daniom. - Chcę sałatkę z gruszką i serem pleśniowym.

- Załatwione - mówi Valerie.

- Czy ja jestem do tego stopnia przewidywalna?

- Przepraszam. - Valerie pociąga łyk ze swojej szklanki z matowego szkła.

- Ale nie chcę dietetycznej coli - dodaje Irene, podnosząc swoją szklankę i zagładając do niej.

- A co byś chciała?

- Malinową herbatę z lodem.

- Skosztuj - mówi Valerie.

Irene pociąga łyk; to malinowa herbata z lodem.

- Wiesz, co matka powtarzała mi przez cały czas?

-Co?

- Wydaje ci się, że taka z ciebie mądrała!

- No więc jak leci? - pyta Valerie. - Jak ci się mieszka znowu razem z Johnem?

- To... sama nie wiem. Nie wiem, kim on jest. - Irene patrzy na nią, wzrusza ramionami.

- Och, kochanie - mówi przyjaciółka. -Co?

- Ciężko, co?

- Czasami tak. Ale z drugiej strony niekiedy jest cudownie. Zawsze tak między nami było, tak... skomplikowanie. Tyle rzeczy zatajaliśmy. Musi być miło mieć takie małżeństwo jak ty. Otwarte. Równe. Bezpieczne. Masz idealne małżeństwo.

- Nikt nie ma idealnego małżeństwa.

- Ty masz - upiera się Irene i odchyła się do tyłu na krześle, kiedy kelner stawia sałatki przed nimi obiema.

- Coś jeszcze? - pyta kelner.

- Deser, później - dysponuje Irene. - Dopóki to ona płaci. Wasz najdroższy czekoladowy deser.

Przez chwilę milczą, jedząc, każda z nich pogrążona w myślach, a potem Valerie mówi:

- Mam zamiar coś ci wyjawić, ale musisz obiecać, że nigdy nikomu innemu nie powiesz.

- O czym?

Valerie rozgląda się po restauracji, potem pochyla się bliżej do Irene.

- Zakochałam się w moim instruktorem od *qigonga*. Irene macha widelcem.

- Każdemu to się zdarza.
- Każdemu zdarza się co?
- Każdy zakochuje się w swoim duchowym doradcy. Albo terapeutycie czy jak go zwał. Jako dziecko sama zakochałam się w świętym Franciszku z Asyżu. To był taki zwierzęcy pociąg. Że tak powiem.

- No tak, ale się z nim nie przespałaś.
- No, pomijając fakt, że on już nie żył, o czym ty mówisz, Val?

- Myślę, że wiesz, o czym mówię.
- Przespałaś się ze swoim instruktorem od *qigonga*?
- Cśśś! - Valerie rozgląda się dookoła. - Ciszej. Może tu być ktoś, kogo znam.

- Przespałaś się ze swoim instruktorem od *qigonga*? - powtarza szeptem Irene.

- Tak! - odpowiada szeptem Valerie.
- Zwariowałaś?
- Nie. Zakochałam się w nim. I powiedziałam o tym Benowi. Znaczy, że zakochałam się w nim.

- Ale nie, że się z nim przespałaś? Valerie dłubie widelcem w sałatce.

- Nie. Jeszcze nie.
- Ale zamierzasz mu powiedzieć?
- Muszę zdecydować czy tak, czy nie.
- Kiedy?
- Kiedy muszę zdecydować czy kiedy to się stało?
- Kiedy to się stało?
- Zaczęło się ze dwa miesiące temu. Poszłam bez Bena na zajęcia i ten instruktor, on ma na imię YeeYee, i ja...

- Jak ma na imię?
- Ma na imię YeeYee i nie nabijaj się z tego! To po prostu imię, takie jak twoje.
- O nie, jest inne, bez dwóch zdań.
- Chcesz się dowiedzieć, co się stało, czy nie?
- Chcę. Opowiedz mi ze wszystkimi szczegółami.
- Nie zamierzam ci opowiadać ze szczegółami.
- A jak masz zamiar mi to opowiedzieć?
- W zgrubnych zarysach, powiedziałabym.
- Dlaczego nie ze szczegółami?
- Bo to nie jest w najmniejszym stopniu twoja sprawa.
- Jestem twoją najlepszą przyjaciółką, Val.
- Mimo to nie jest to twoja sprawa.

Dzwoni jej telefon. Val wyciąga go z torebki, podnosi palec i odbiera.

- Hej, Benny, co tam? Słucha, a potem mówi:
- Wspaniale. Zawsze tam chciałam pójść. Ale wiesz, właśnie kończymy lunch z Irene. Mogę do ciebie od-dzwonić?
- Rozłącza się. - Ben i ja wybieramy się dziś wieczorem do tego nowego lokalu z kuchnią fusióń na Green Street.

Irene milczy.

- Irene?

Irene nadal nic nie mówi.

- Co, jesteś na mnie wściekła, że miałam romans?
- Wściekła jestem, że mi nie powiedziałaś. Jak to się dzieje, że tobie wolno przelecieć jak huragan przez wszystkie ubrania w mojej emocjonalnej garderobie, a mnie nawet nie wolno uchylić drzwi do twojej?

- To najdziwaczniejsza i najgorsza metafora, jaką zdarzyło mi się słyszeć przez całe moje życie - mówi Val - a uwzględniam również głupie wiersze Freda Petersona

o placku jego babci, do których wysłuchiwanie mnie zmuszał.

- No dobra, gdybyś wstała i wyszła tak, jak ja to robiłam, nie musiałabyś tylu wysłuchać. Pamiętasz to? *Cynamonowy ja. Cukrowy ja. Spraw, abym się w siebie zapiekł.*

- O Boże, zapomniałam. Biedaczysko Fred. Zapada między nimi milczenie, a w końcu Valerie mówi:

- Och, w porządku! Oto, co się stało. Zostałam po ćwiczeniach, żeby zapytać go o jedną pozycję. Pokazał mi coś, co wymagało, by położył dłoń w pobliżu mojego krocza. A ja... ja po prostu okręciłam się i go pocałowałam. A on oddał mi pocałunek. I... Na tej podłodze.

- Na podłodze w studiu? Valerie przytakuje.

- O rany. Podłoga. To bolało?

- Tak, na różne sposoby. Pojechałam potem do domu i ryczałam tak, że aż wyłam. Ale następnego dnia pojechałam do niego do domu i zrobiliśmy to znowu. To było... Nie wścieknij się, ale to było tego samego dnia, kiedy do mnie zadzwoniłaś, że Don cię rzucił. I kiedy piłyśmy te martini. Jak wyszłam, to wzięłam taksówkę i pojechałam do niego. Rozebrał mnie, a kiedy zobaczył koronki przy mojej koszulce, powiedział: „Czy te koronki są z Belgii? Czy masz w kolczykach perły z Tahiti? Bo na nie zasługujesz”. I dotykał mnie z taką... czcią.

I tak głęboko zaglądał mi w oczy i... po prostu... mnie widział.

- Och, daj spokój. Myślisz, że Ben cię nie widzi?

- Ben i ja mieliśmy wtedy kłopoty. Byliśmy na tym etapie, kiedy naprawdę mieliśmy same kłopoty. W zasadzie on mnie ignorował. A perspektywa takiego łagodnego i romantycznego, i uważnego kochanka bardzo silnie do mnie przemawiała. Może to był taki mały kryzys wieku średniego. Pomyślałam sobie: chcę po prostu tego spróbować. Pewnie już nigdy nie trafi mi się okazja, by tego spróbować. A nikomu nie stanie się krzywda.

Irene się nie odzywa.

- Wiem - ciągnie Valerie. - Wiem, że wszystkim działa się krzywda. Zwłaszcza, kiedy YeeYee zaczął mi mówić, żebym odeszła od męża.

- To wtedy z tym skończyłaś, racja?

- Nie.

- Wciąż jeszcze się z nim widujesz? -Nie.

-No to...

- On zerwał - mówi Valerie, a jej policzki zalewa rumieniec.

- O rany. Rzucił cię twój instruktor od *qigonga*?

- Irene nie może się powstrzymać; zaczyna się śmiać.

- Czy powiedziałaś: „Och, YeeYee, proszę cię, nie rzucaj mnie?”.

- To wcale nie jest takie śmieszne, Irene.

- Wiem, że nie. Przepraszam. Kelner podchodzi do ich stolika.

- Czy wszystko przypadło paniom do smaku?

- Powiedziałabym, że tak - mówi Irene.

- Zresztą - ciągnie Val. - To było tylko po to, żeby wtajemniczyć cię w koncepcję „idealnych małżeństw”. Prawda jest taka, że gdyby on nie był zerwał, to ja bym zerwała. Uczciwie. Zaczynałam odzyskiwać rozum.

- Ale... Dlaczego mi nie powiedziałaś, że macie z Benem kłopoty?

- Ponieważ radziłabyś mi, żebym od niego odeszła. A ja odeszłabym. Wiesz, czasami małżeństwo jest jak żelazo. A czasami jak bibułka. I uważam, że kiedy jest jak bibułka, to pora, żeby z niczym się nie zdradzać. Albo popełni się błąd, którego będzie się żałować do końca życia. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Irene kiwa głową. Tak, rozumie. Teraz.

26.

Na zewnątrz jest taka ulewa, że John ma wrażenie, że deszcz może przebić się przez dach i mieszkanie nad nimi i go przemoczyć. Rozmawiając przez telefon, podnosi głos.

- To nie do wiary, jak tutaj leje - mówi do Amy.
- Tak? Tutaj też pada.
- Dobrze dla twojego ogrodu.
- Ale źle, jak trzeba wyprowadzić psa.
- Masz go?
- Mam go!

John słyszy uśmiech w jej głosie. Jest trochę zły; myślał, że Amy zaczeka na niego, zanim weźmie psa, którego mu pokazała. Ale najwyraźniej nie zrozumiała, że miałby na to ochotę. Albo się tym nie przejęła. No cóż, może on wcale nie ma ochoty na psa, nawet na udział w psie. Myśli, że nieposiadanie zwierzaka niesie ze sobą pewne korzyści. Łatwiej jest podróżować, to pewne, a on może miałby ochotę częściej wyjeżdżać. Teraz, kiedy już się starzeje. Czy jak się człowiek starzeje, to nie powinien

więcej podróżować? Może było coś w tym, kiedy Irene tyle lat temu skarżyła się, że ciągle siedzą w domu.

- No tak... nadałaś mu imię?

- Nadałam. - Następna rzecz, w której John mógł chcieć brać udział.

-I?

- Ma na imię Dickens. I myślę, że będzie wspaniały. Teraz to... to jeszcze szczeniak.

John słyszy, jak ktoś przekręca klucz w zamku, i mówi do niej:

- Chyba Sadie właśnie wróciła do domu.

- Och, dobrze, porozmawiamy później - odpowiada Amy i odkłada słuchawkę, zanim on zdąży się pożegnać.

John leży przez chwilę bez ruchu z telefonem w ręce i próbuje ocenić sytuację. Czy Amy zezłościła się na niego, że chce porozmawiać z córką, którą tak niedługo opuści? Czy może po prostu starała się pójść mu na rękę, skoro czuł potrzebę, by zakończyć rozmowę?

- Sadie? - Słyszy głos Irene.

Bo to nie Sadie właśnie wróciła. I przecież wiedział, że to nie będzie ona; Sadie jest w swoim pokoju, uczy się stosować aplikacje na swoim nowym iPhone, który jej kupił. Ale nie chciał mówić Amy, że kończy rozmowę, bo jego była żona wróciła do domu.

Wychodzi do holu i widzi Irene, która stoi tam, ociekając wodą. Włosy ma przylepione płasko do policzków, ubranie przemoczone, z torebki kapie jej ciurkiem.

- Cześć - mówi.

- Pada - stwierdza bez tchu Irene.

- Och? Nie zauważyłem.

Irenę śmieje się i zdejmuje mokrą kurtkę; wiesz ją na stojącym wieszaku. Przez moment stoi tam w kałuży własnej produkcji, jakby się zastanawiała, co dalej zrobić.

- Chcesz ręcznik? - pyta John. Irenę z wdzięcznością kiwa głową.

John idzie do bieliźniarki, wyjmując największy ręcznik, jaki udaje mu się znaleźć, i jej przynosi.

- Wiesz, słyszałem, że w takich sytuacjach przydaje się parasol.

- Przecenia się go - stwierdza Irenę. - To nawet zabawne tak zmoknąć.

Oczy jej błyszczą. Jest szczęśliwa. Pierwszy raz, od kiedy przyjechał, widzi ją w takim nastroju. Suszy ręcznikiem włosy, potem zaczyna wycierać kark i ręce.

- Będzie ci potrzebny jeszcze jeden ręcznik - zauważa John i idzie po następny.

Już ma go jej podać, ale zamiast tego pochyla się i sam zaczyna wycierać jej nogi.

- John - mówi cicho Irenę i zabiera mu ręcznik. John daje krok do tyłu, opiera się o ścianę i krzyżuje ręce.

- Gdzie Sadie? - pyta Irenę.

- W swoim pokoju, podejrzewam, że w niebie app-sów. Kupiłem jej iPhone'a.

- Musimy porozmawiać.

- Tak czy owak chciałem go jej kupić. Żeby miała, jak pójdzie na studia. Teraz nie będę musiał go wysyłać. Nie masz nic przeciwko?

Irenę patrzy ostro na niego.

- Co z tobą jest nie tak? - mówi przyciszonym głosem,

żeby Sadie nie usłyszała, palcem pokazując na kuchnię, a John idzie tam za nią. - Czemu jesteś taki wkurzony? - pyta, kiedy przechodzą przez wahadłowe drzwi.

Sam nie wie. Bo ona tak ładnie wygląda, jak jest cała mokra. Bo znowu musi zostawić córkę. Bo Amy kupiła psa bez niego.

- Myślałem, że jesteś na mnie zła, że jej kupiłem ten telefon.

- Był jej potrzebny. I cieszę się, że go jej kupiłeś. Uważam, że to miło z twojej strony.

- No to... o czym musimy porozmawiać? Irenę pokazuje na ławę.

- Chcesz usiąść?

- Nie, tak jest dobrze.

Ona siada i podnosi na niego wzrok.

- Postanowiłam zaprosić Rona i jego matkę na kolację jutro wieczorem. Chciałam się dowiedzieć, czy uważasz to za dobry pomysł.

- Tak, uważam, że to dobry pomysł. Czy to wszystko?

- Może jednak usiądziesz? John wzrusza ramionami.

- Po co? To dobry pomysł. Co według ciebie powinienem powiedzieć?

- Świetnie. Nie będziemy o tym rozmawiali.

- Irenę, zapytałaś mnie o coś; powiedziałem, że to dobry pomysł, więc dlaczego teraz mamy o tym rozmawiać? O czym tu rozmawiać? Znaczący, po tej kolacji z pewnością będzie o czym rozmawiać. Chyba że chcesz skonsultować ze mną jadłospis, co byłoby z pewnością bez precedensu.

- W porządku, John. Zamierzam teraz powiedzieć

ci coś, co słyszałeś ode mnie z milion razy. Nie potrafię mówić do ciebie. Dlaczego tak jest?

- Bo ty wszystko tak musisz komplikować, Irenę!

- No cóż, wybacz, proszę, ale uważam, że sytuacja, w której nasza osiemnastoletnia córka wyszła za mąż po pewnym traumatycznym przeżyciu, niesie ze sobą pewne skomplikowane aspekty. I być może jest to temat, który zasługuje, by mu poświęcić kilka minut rozmowy, niezależnie od tego, czy skupimy się na fakcie, że nie zgadza się na terapię, czy na tym, że chłopiec, którego poślubiła, niedługo zasiądzie przy naszym stole ze swoją matką, a my nie mamy pojęcia, co moglibyśmy powiedzieć, by pokazać...

- Idę na spacer - przerywa jej John.

Chwyta ze stojaka parasol i rusza na ulicę. Pojedzie autobusem do śródmieścia i z powrotem. Pojeździ sobie, popatrzy trochę na budynki.

Kiedy dochodzi do rogu, autobus podjeżdża niemal natychmiast. John sadowi się na pustym fotelu z tyłu i wygląda przez okno. Myśli o wczorajszym wieczorze, kiedy to nie mógł zasnąć i poszedł do kuchni po szklanek wody. Zachowywał się najciszej, jak mógł, w nadziei, że nie obudzi Irenę. Na palcach wracał do sypialni, kiedy usłyszał, że woła go szeptem.

- Czy cię obudziłem? - zapytał. - Przepraszam.

- Nie spałam. Już w ogóle nie sypiam.

- Ależ sypiasz.

- Wiem, ale nie tak, jak wcześniej.

John podszedł do sofy i usiadł na podłodze plecami do Irenę. Czuł, że go obserwuje, i po chwili zastanowienia wyciągnął do niej rękę, a ona ujęła jego dłoń.

- Jest mi tak źle - wyszeptała.
- Pamiętaj tylko, że mogło być dużo gorzej. Gdyby tak ten szalenciec...
- Wiem, nie kończ. Nawet tego nie mów. Ale ona wyszła za męża. A to po prostu nie w porządku. Nic z tego nie będzie, wiem, że nie będzie. A wtedy czeka ją rozwód.
- Nie mówiąc już o ewentualności, że może być w ciąży.
- Nie przestaję o tym myśleć, że jest w ciąży. Pytałam ją, a wtedy cała się nastroszyła i powiedziała, że nie.
- Ja też ją pytałem. Ta sama reakcja. Tylko że dodała: „Niektórzy ludzie pobierają się z miłości. Powinieneś kiedyś tego spróbować”.
- Powiedziała coś takiego?
- Tak. - John zaczął się już odwracać, żeby na nią popatrzeć, ale przestał. Miło, że tak ze sobą rozmawiają. Lepiej nie rozhuśtywać łódki.
- Nawet się nie znają - ciągnęła Irenę.
- Też jej to mówiłem.
- Znaczy, my przynajmniej znaliśmy się bardzo dobrze. Wtedy się odwrócił.
- Tak ci się wydaje, Irenę?
- Tak! A tobie nie? Znaliśmy się. Wciąż się znamy.
- Jaki jest mój ulubiony kolor? - zapytał John. Irenę się roześmiała.
- No, powiedz, jaki?
- Czy... czy niebieski?
- Zielony.
- No cóż, przepraszam. Ale czego to dowodzi? Znaczy, jaki jest mój ulubiony kolor?

- Twój ulubiony kolor? Mówisz, że czerwony. Ale naprawdę to turkusowy.

- Nie, John, czerwony.

- Więc jak to się dzieje, że nigdy nie kupujesz czerwonych ubrań ani żadnych czerwonych rzeczy, nie nosisz czerwonej szminki ani nawet nie jesz czerwonego jedzenia?

- Jadam buraki. Kocham buraki.

- Popatrz na te wszystkie naczynia, które kupiłaś, a które były turkusowe: wszystkie te miski i talerze, i półmiski. Popatrz na swoją biżuterię. Popatrz na swoje dzieła sztuki, na swoje ubrania. Wygląda na to, że twoim ulubionym kolorem jest turkusowy, Irene.

Irene znowu położyła się na wznak.

- To głupie. Porozmawiajmy o czymś innym.

- Wiesz, mam pomysł. Porozmawiajmy o Sadie.

- Dobrze, porozmawiajmy.

Zapadło milczenie, a potem się odezwała:

- John? Muszę cię o coś zapytać. Czy uważasz, że to moja wina?

- To, że ona wyszła za mąż? -Tak.

- No cóż, jeżeli już, to jest to wina nas obojga.

- To ja ją wychowywałam - powiedziała Irene.

- Ja też, przez pierwszych osiem lat jej życia - odparł John.

-I teraz też jestem z nią związany. Nie widuję jej codziennie, ale dużo rozmawiamy.

- Wiem. Ona woli ciebie. Zawsze tak było. Nie powinnam ci jej odbierać. Powinnam była pozwolić, żebyś ją wychowywał.

- Wiesz co, Irene? Patrzę na Sadie i myślę, że zasługujesz

na wyrazy podziwu. Serio. - Ucałował jej dłoń, w zamierzeniu miał to być ten jedyny fizyczny kontakt, na który mógł sobie pozwolić, w zamierzeniu miał być przyjazny, ale nie intymny, ale dotknięcie jej skóry ustami coś w nim głęboko poruszyło. Wstał. - Idę spać.

Przez długą chwilę w roziskrzanej od możliwości ciszy Irenę milczała. Potem wymamrotała coś, co brzmiało jak „okay”, i odwróciła się plecami do niego. John poszedł do sypialni i położył się na łóżku, kompletnie rozbudzony. Patrzył na zarysy buteleczek z perfumami na komodzie Irenę, na jej szczotkę do włosów, leżącą tam obok bogato zdobionego srebrnego lusterka, które babka dała jej na dziesiąte urodziny, a które matka chciała jej odebrać, mówiąc, że jest nieodpowiednie dla takiego małego dziecka. Ale babka uparła się, że Irenę doceni lusterko, i tak się stało, i tak najwyraźniej pozostało po dziś dzień. John podszedł do komody i podniósł szczotkę. Zaciążyła mu w ręce, była chłodna w dotyku. Zastanawiał się, o czym myślała Irenę, szczotkując włosy; wciąż były gęste i naprawdę całkiem piękne. Wciąż w kasztanowym głębokim odcieniu, chociaż pod tym względem chyba miały jakąś pomoc. Zauważył, że w jego własnych włosach pokazuje się coraz więcej srebrnych nitek. Ale nie przyłapie się go na tym, że próbuje to ukryć.

Odłożył szczotkę i popatrzył na siebie w lustrze. Poprawił górę od piżamy, podciągnął spodnie. Potem wyszedł do salonu. Irenę już spała. Usiadł na krześle i przyglądał się jej. Patrzył na łagodną linię jej biodra i rozsypane po poduszce włosy, i myślał o innych czasach, kiedy też tak robił, kiedy stał i obserwował, jak unosi się i opada pierś

Irene, i czasami próbował zinterpretować wywoływany przelotną myślą czy snem wyraz jej twarzy.

Myślał o tamtym wieczorze, kiedy przywiózł ją do domu ze szpitala, po tym, jak urodziła się Sadie, jak głęboko wtedy spała; nie mógł jej dobudzić, żeby coś zjadła, ale budziła się na najcichsze kwilenie swojego dziecka. Myślał o nocy, którą spędzili na spektakularnym seksie, po którym ona zasnęła, jak to mówiła, w swoim stroju, w czerwonej koronkowej nocnej koszuli, którą zobaczył na manekinie i przyniósł jej do domu w walentynki. Nie lubiła w niej zasypiać; bała się, że Sadie ją zobaczy. Zwykle przebierała się w to, w czym normalnie spała: jeden z podkoszulków i flanelowe spodnie od piżamy. Parę dni temu zobaczył w praniu jeden z tych podkoszulków i ucieszył się z tego.

Pomyślał, żeby pójść i popatrzeć na śpiącą Sadie, ale są granice tego, co człowiek może przyswoić. Albo znieść.

- Koniec linii! - ogłasza kierowca. Rzeczywiście.

John siedzi przez chwilę bez ruchu pogrążony w żalu, a potem widzi, że kierowca, patrząc na niego w tylnym lusterku, sprawdza, czy nic mu nie jest.

Wstaje szybko i unosi dłoń.

- Dzięki! - mówi i wychodzi na ulicę.

Teraz pokazało się słońce, miasto błyszczy w jego świetle, co mimowolnie podnosi go na duchu. Trzeba temu miastu oddać sprawiedliwość, jest naprawdę oszałamiające. Pospaceruje sobie, popatrzy, co mają do sprzedania. Tylko dla zabawy. Tylko dla ulgi, jaką przyniesie skupienie myśli na interesach.

Przez jakiś czas Irene siedzi przy stole kuchennym i myśli. Nawet teraz wygląda na to, że ona i John to ogień i woda. Nie wie, dlaczego.

Robi sobie kubek herbaty, mając daremną nadzieję, że Sadie usłyszy hałas i przyjdzie do kuchni, pragnąc towarzystwa matki. Oczywiście córka nie przychodzi. Zostaje w swoim pokoju. A czemu miałaby przyjść, jeżeli Irene stara się tylko odwieść ją od czegoś, w co Sadie jest bez reszty zaangażowana? Irene nie ma wątpliwości, że Sadie była - i niewykluczone, że wciąż jest - w szoku, że (i znowu, co zrozumiałe) pochopnie zdecydowała się na iluzoryczne bezpieczeństwo, jakie dostrzega w małżeństwie z tym chłopakiem. Ale przecież jest już w domu! Jest bezpieczna! Może odetchnąć, ocenić sytuację na nowo. Przecież musi wreszcie rozumieć, że popełniła błąd.

Lecz teraz Irene zastanawia się, czy osobą w szoku nie jest ona sama, czy to nie jej zdolność rozumowania i postrzegania doznała uszczerbku w wyniku tego wściekłego wiru emocji, poczucia, że nie do końca jest sobą, że nie jest w stanie

zrobić użytku z żadnej racjonalnej myśli. Koniec końców jej córka, jej zdrowa, inteligentna, silna córka ma osiemnaście lat i wyszła za mąż. Czy to znaczy, że świat się kończy?

Dopija herbatę, myje kubek i po drodze do pokoju Sadie postanawia, że obdaruje swoją córkę tym, że naprawdę jej wysłucha. Sadie wie, co Irenę sądzi o tym małżeństwie; wydaje się także rozumieć wszystkie przyczyny obiekcji matki. Ale może Irenę nie rozumie tak naprawdę, co czuje Sadie.

Wracając do domu, Irenę myślała o tym, że na liście różnych straszliwych rzeczy, jakie mogą przydarzyć się dziecku, nie ma w ogóle miejsca dla czegoś takiego jak przedwczesny ślub. Pomógł jej to zrozumieć John. To nieważne, że nie uda im się chyba znaleźć takiego punktu, w którym oboje na trwałe czuliby się komfortowo; John pomaga jej nabrać dystansu tam, gdzie chodzi o ich córkę. Zawsze pomagał. Niech to diabli, przecież ona, Irenę, go lubi, dlaczego więc nie potrafią żyć w zgodzie?

Stuka do drzwi Sadie.

-Tak.

- To ja. Mogę wejść?

- Proszę!

Okay, myśli Irenę: Sadie jest w dobrym humorze. Nie zepsuj tego.

Kiedy otwiera drzwi, Sadie siedzi po turecku na łóżku i coś spisuje.

- Co robisz? - pyta Irenę.

Sadie odkłada listę i przykrywa ją gazetą.

- Próbuję tylko ustalić, czego będziemy potrzebowali.

- Mogę zobaczyć?

Sadie waha się, a potem podaje matce spis. „Naczynia, czyta Irene. Tani odkurzacz. Komódka (użyć skrzynek?). Materac. Dwie lampki”.

Oczy jej napełniają się łzami, odkłada listę i wyciąga rękę do córki. Sadie w pierwszej chwili sztywnieje, ale zaraz mięknie. Oddaje matce uścisk, potem się odsuwa i siedzi przed nią pełna oczekiwania.

- Zaraz po ślubie - mówi Irene do Sadie - dostaliśmy bardzo dużo prezentów. Mnóstwo wymyślnych rzeczy, dla których tak naprawdę nie znajdowałam żadnego zastosowania: srebrne tace, wymyślne sztucce. Deski do serów i garnki do fondue. Szczypce do lodu, na miłość boską! Ale wiesz, co mi się podobało? Podobały mi się te małe szklaneczki w pomarańcze. Należały do rzeczy, jakie można było dostać prawie za darmo w sklepach z tanioczą, a ja po prostu byłam nimi zachwycona. Nakrywałam zwykle wieczorem do stołu na następny ranek do śniadania. Dwa kubki do kawy, dwa talerze, dwa widelce, noże i łyżki. Składałam serwetki w trójkąci i wtykałam je w zęby widelca, bardzo fikuśnie, wiesz.

Sadie się uśmiecha.

- Ktoś podarował nam elektryczną kawiarkę i ją też przygotowywałam, wsypywałam zmieloną kawę i wlewałam wodę poprzedniego wieczoru, a potem zostawiałam na stole, gotową do włączenia, to takie wygodne, jak ma się ochotę na jeszcze jeden kubek! Myślałam, że będziemy tam siedzieli co rano jak Ward i June Cleaver*.

* Ward i June Cleaver - bohaterowie amerykańskiego sitcomu *Leave It to Beaver*.

Uśmiech Sadie blednie.

- A nie siedzieliście? Ireneę wzrusza ramionami.

- Nie za często. Rzadko jadalśmy razem śniadanie, dopóki ty się nie pojawiłaś.

- Dlaczego nie?

-No cóż, głównie dlatego, że twój ojciec nie lubił jadać śniadań.

- Teraz lubi.

- Ale wtedy nie lubił. - Głos Ireneę robi się piskliwy, poirytowany.

- Wierzę ci, mamó.

- Przepraszam. Ja tylko... Okay. Zobaczmy, czy uda mi się to powiedzieć. Myślę, że jeśli chodzi o twoje małżeństwo, najbardziej nie daje mi spokoju to, że się o ciebie boję, Sadie. To wszystko. Chcę, żebyś była szczęśliwa w małżeństwie, a to jest takie trudne.

Sadie wpatruje się badawczo w twarz matki.

- Dlaczego? Dlaczego myślisz, że jest takie trudne? Ireneę kieruje spojrzenie przez pokój za okno, gdzie

niebo się rozchmurzyło i zbawczy promień słońca wydobywa z normalnie przejrzystego szkła subtelne pastelowe kolory. Czuje taki podeszczowy zapach, tę pełną nadziei mieszaninę betonu i wody, i liści, i świeższego powietrza. Ogarnia ją nagle żal, że nie siedzi sama na ławce na zewnątrz, niepomna na wszystko oprócz kłębiących się u stóp ptaków zlatujących się do okruchów, które im rzuca. Bo pytanie Sadie jest zbyt ważne, zbyt trudno na nie odpowiedzieć. W końcu mówi:

- Dam ci przykład. Twój tata i ja byliśmy około dwóch tygodni po ślubie, kiedy wróciłam do domu z pracy późno - zdarzało mi się od czasu do czasu, że zostawałam dłużej i nadganiałam papierkową robotę. A kiedy wyszłam ze szpitala, poszłam jeszcze kupić te wędzone kiełbaski, które lubiłam. Byłam naprawdę głodna i po powrocie do domu chciałam sobie kilka tych kiełbasek ugotować. Ojciec spał i starałam się zachowywać naprawdę cicho, ale wszedł do kuchni i zapytał: „Co ty wyprawiasz, Irene?” Wciąż jeszcze pamiętam dokładnie, jak to powiedział. Taki był wkurzony, kiedy stał tam i mrużył oczy w świetle. A ja powiedziałam mu, że jestem głodna. A on na to: „Jest wpół do jedenastej!”, a ja: „Och, dobrze już. Poinformuję po prostu mój głód, że tak powiedziałaś”. Wrócił do łóżka, a ja stałam tam i myślałam: Nie mogę już sobie ugotować późnym wieczorem kiełbasek. I rzeczywiście już nigdy więcej tego nie zrobiłam.

- Mamo - pyta Sadie. - Czy mogę być szczerą?

- Tak. Proszę.

- No to co?

- No dobrze - odpowiada Irene. - Wiem, że ta historyjka jest głupawa, ale chodzi mi o to, że kiedy już wyjdiesz za mąż, to...

- Po pierwsze, mogłaś powiedzieć tacie, żeby poszedł do wszystkich diabłów. W miły sposób. Mogłaś powiedzieć: „Wiesz, od czasu do czasu będę musiała coś zjeść późnym wieczorem, więc przyzwyczaj się do tego”.

Irenę z pewną trudnością udaje się zmilczeć.

- Albo mogłaś postanowić, że skoro on musi wstawać wcześniej, to jeżeli będziesz coś chciała zjeść późnym wieczorem, zjesz poza domem.

- Ale ja chciałam wrócić do domu i coś zjeść - mówi Ireneę.

- A tata chciał spać. Jak rany, mamó.

- Proszę, nie mów do mnie w ten sposób. Sadie patrzy na nią, kręcąc głową.

- Wcale nie jesteśmy do siebie podobne - stwierdza w końcu.

Ireneę się nie odzywa. Boli ją, że córka tak to mówi, z takim poczuciem wyższości, taką ewidentną ulgą.

- No więc... Czy coś chciałaś? - pyta Sadie. - Znaczy, jak tu przyszłaś?

- Tak. Chciałam cię poprosić, żebyś zaprosiła Rona i jego matkę na kolację na jutro wieczór.

- Naprawdę? - Tak.

- Naprawdę.

- Tak! - Chociaż teraz już nie jest tego taka pewna.

- Na którą? - pyta Sadie.

- Na siódmą.

- Okay - mówi Sadie radośnie. - Zapytam.

Ireneę rozgląda się po pokoju. Sadie odłożyła na stos rzeczy do wyrzucenia. Jest tam lalka Barbie, leży z nogami rozrzuconymi pod absurdalnym kątem.

- Wyrzucasz swoje lalki?

- Właściwie to sobie pomyślałam, że może je gdzieś oddam. Chociaż mogą nie zechcieć tej z samej góry. Obcięłam jej włosy. Nie najlepiej mi to wyszło.

Irene się uśmiecha.

- Też tak kiedyś zrobiłam. Obciąłam włosy mojej lalce Ginny i wyglądała okropnie. Próbowałam je przylepić z powrotem, a wtedy wyglądała jeszcze gorzej. Zamierzałam ją wyrzucić, ale pomyślałam, że to niesprawiedliwe. Więc ją pochowałam. Wyprawiłam jej pogrzeb, na który przyszły wszystkie dzieciaki z sąsiedztwa. Potem mieliśmy ciasteczka i wiśniową lemoniadę. - Uśmiecha się do Sadie. - Hm. Moje pierwsze doświadczenie na polu cateringu.

Podchodzi do stosu, ponosi lalkę i prostuje jej nogi. Potem odwraca ją twarzą do siebie i mówi piskliwym głosem:

- Hej, Sadie! Milczenie.

Irenę odkłada lalkę. Nic już nie działa. Nic. Prostuje się.

- Sadie? Mogę ci pomóc, jeśli chodzi o zagospodarowanie się. Mam mnóstwo rzeczy, które mogę ci dać.

- Dzięki.

- Poza tym chcę powiedzieć, że... No, już prawie mi się udało.

- Okay.

- Ale czy możesz mi powiedzieć tylko jedno. - Irenę, podchodzi do łóżka i siada obok córki. - Czy na moment przed tym, zanim ślubowałaś, tuż przed tym, jak powiedziałaś „tak”, czy miałaś chwilę wahania? Czy odczułaś najmniejszą niepewność?

- Nie, to ty ją czułaś - mówi Sadie i patrzy jej prosto w oczy.

Tak było.

- W porządku. Zamierzam ci coś powiedzieć - ciągnie Irenę.

Sadie czeka, mając się na baczności.

- Moja przyjaciółka z liceum wyszła za mąż, mając siedemnaście lat, w dzień po ukończeniu szkoły. Lisa Weltner. Wciąż jeszcze od czasu do czasu mam z nią kontakt. Wydaje mi się, że w życiu nie widziałam szczęśliwszego małżeństwa. Więc tylko chcę powiedzieć, że wiem, że można wyjść za mąż wcześniej i wszystko ułoży się szczęśliwie. No. To pierwszy ślubny prezent ode mnie dla ciebie.

- Dzięki, mamó. Serio.

- Chociaż muszę ci też powiedzieć, że facet, za którego wyszła, był o pięć lat starszy. Pięć lat robi wielką różnicę w waszym wieku. - Patrzy na córkę. - Chyba przyznasz, że mam rację, prawda?

Sadie odchyła się do tyłu tak gwałtownie, że uderza mocno głową w ramę łóżka.

- Nic ci nie jest? - pyta automatycznie Irenę.

- Jak to się dzieje, mamó, że nie potrafisz dawać obiema rękami? Jak to się dzieje, że musisz jedną dawać, a drugą odbierać?

- Ja tylko staram się podsunąć ci myśl, że wciąż jeszcze nie przyznałaś, że tak wiele w tym... Sadie, wierzę, że Ron jest ci bliski. Wierzę, że go kochasz. Ale sama nie wiesz, jakie trudne jest to, co bierzesz na siebie. Nie dlatego, że jesteś taka młoda. Nikt nie wie, jakie to trudne, dopóki sam się nie przekona, niezależnie od tego, w jakim wieku ludzie się pobierają! Ale angażując się

tak wcześniej, dodatkowo utrudniasz sobie sprawę. Czy nie mogłaś zaczekać parę lat, zanim wyjdiesz za mąż? Czy nie mogłaś zaufać, że wszystko przez ten czas przetrwa? Czego ty się tak boisz, że musiałaś wyjść za mąż tak szybko?

- Czego wyście z ojcem się bali, że musieliście czekać tak długo?

Irenę wzdycha.

- Muszę teraz pobyć sama - mówi Sadie. - Proszę. Zanim Irenę zdąży wyjść za drzwi, Sadie dodaje:

- A... czy ta kolacja jest aktualna?

- Tak - potwierdza Irenę, ale obawia się, że córka pewnie wyczuwa, o czym matka myśli. A myśli o tym, że żałuje, że nie może cofnąć zaproszenia. Mimo wszystko nie jest gotowa. Chociaż chciałaby być, nie jest.

- Czy Meghan też może przyjść? Irenę się odwraca.

- Sadie. Sadie. Jednym z powodów, przez które tak się z tym szamoczę, jest to, że ty wydajesz się sądzić, że to jest... To nie jest zabawa. To nie dla przyjemności. Zapraszam tych ludzi na kolację z pewnej przyczyny, a mianowicie...

- Ci ludzie to mój mąż i moja teściowa. A ja nie mieszkam w tej chwili z nimi z jednego jedyne go powodu: bo Ron chce, żebym jakoś naprostowała stosunki z wami, zanim znajdziemy sobie własne mieszkanie.

Irenę nie zwraca uwagi na jej słowa - przypomina to ignorowanie noża wbitego w bok. Mówi spokojnie:

- Zaproszenie Rona i jego matki na kolację to nie tyle wydarzenie towarzyskie, ile...

- Przesłuchanie?

Irenę patrzy na cienką złotą obrączkę, którą Sadie nosi na lewej dłoni. Sadie powiedziała jej, że razem z Ronem kupili obrączki w lombardzie. Myśli o swojej przyjaciółce, której córka ostatnio dostała na zaręczyny dwukaratowy diament i planowała wesele za ponad sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Irenę uważa, że to wulgarnie. Przypomina sobie, jak myślała: Mam nadzieję, że kiedy Sadie będzie wychodziła za mąż, zdecyduje się na skromny ślub.

- Staram się wyjść ci naprzeciw, Sadie. Naprawdę się staram.

Sadie kiwa głową.

- Tak. Kiedy wraca tata?

- Nie mam pojęcia.

Irenę zamyka drzwi do pokoju córki, idzie do własnej sypialni, która w tym momencie nie jest nawet jej sypialnią, i zamyka również te drzwi. Siada na łóżku, wpatrując się w kolana.

Wspaniale. Daj jej odejść. Krzyżyk na drogę. Widzi tenisówki Johna przy łóżku, podnosi jedną z nich i ciska nią w drzwi szafy. „Kiedy wraca tata?”. Podnosi drugi but i nim też rzuca.

Z pokoju Sadie dobiegają stłumione odgłosy rozmowy. Opowiada komuś o swojej pomyłonej matce, bez wątpienia. Krzyżyk na drogę.

28.

Dobrze, będziemy u was jutro o siódmej - mówi Ron. - Mama chce wiedzieć, co mamy ze sobą przynieść. - Pokój - odpowiada Sadie.

Wyłącza się, odchyła na oparcie łóżka i słucha, czy z sypialni matki dobiegają jeszcze jakieś odgłosy. Nie. Panuje teraz cisza. Sadie patrzy na zegarek: siódma trzydzieści. Kiedy ten ojciec wróci do domu?

Irenę po prostu nie potrafi się uspokoić. Sadie nie udaje się porozmawiać z matką w sposób praktyczny, tak jak rozmawia z ojcem; prawie w ogóle nie potrafi z nią rozmawiać. Powiedziała na przykład ojcu, że postanowili z Ronem, że to on będzie płacił przez kilka pierwszych miesięcy czynsz za mieszkanie, jakie sobie znajdą; a ona kupi to, co konieczne, za pieniądze, które oszczędzała na dodatkowe opłaty w akademiku. Później za wszystko będą płacili po równo. Oboje zaczną studia we wrześniu, ale każde z nich będzie pracowało na niepełnym etacie. Co więcej, Sadie już załatwiła sobie pracę; jak tylko przyjechała do Berkeley, poszła do agencji zatrudnienia

dla studentów i na jesień znalazła pracę w laboratorium badawczym, gdzie miała czyścić klatki białych myszek. Ron powiedział, że poszuka sobie jakiegoś pół etatu na wieczory. A matka Rona zgodziła się pomagać im w zakupach spożywczych, jeżeli będzie trzeba. Jakoś sobie poradzą. „Możecie potrzebować zastrzyku gotówki - zareagował ojciec. - Kiedy będą wam potrzebne pieniądze, dajcie mi znać”. Sadie widziała po jego twarzy, że walczy ze sobą; widziała, jak chce jej powiedzieć, że to nie jest życie, jakiego by dla niej pragnął, ale ustąpił, skoro ona tego chce; ojciec ją szanuje.

Natomiast matka... Najpierw, nie tracąc nadziei, Sadie próbowała wytłumaczyć Irenę, dlaczego Ron od samego początku był dla niej taki ważny. Nie mówiła, że nie przedstawiała go jej, ponieważ bała się, że matka wszystko zepsuje; powiedziała, że nie przedstawiła go, bo chciała być pewna, że jej uczucia są prawdziwe. A potem, dużo szybciej, a już na pewno w całkiem innych okolicznościach, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażała, zrozumiała, że są. Wzięła nawet matkę za rękę i przysunęła się do niej, kiedy to mówiła, kiedy próbowała wyjaśnić, że powodem, dla którego chciała wyjść za mąż, nie była ta straszna rzecz, jaka jej się przydarzyła, że posłużyła ona tylko jako coś w rodzaju katalizatora tego, co i tak miało się wydarzyć. Na moment czas się zatrzymał, Sadie aż w piersiach bolało, tak bardzo pragnęła, żeby matka okazała zrozumienie, ale wtedy Irenę zabrała rękę.

- Yhm - powiedziała.

Sadie słyszała to niedowierzenie, tę protekcjonalność w głosie matki. Jak później powiedziała Meghan, głuchy

by to usłyszał. Pomyślała: To ostatni raz, kiedy jej się zwierzałam.

No ale czego właściwie spodziewała się po kobiecie, której „album ślubny” służył tylko do sparodiowania tego obyczaju? Kiedyś, kilka lat po rozwodzie, Irene sprzątała w garderobie przy sypialni, kiedy Sadie weszła do pokoju. Był upalny letni dzień; Sadie bawiła się na zewnątrz z przyjaciółmi i chciała ochłodzić się trochę przy klimatyzacji. Na podłodze w sypialni matki, na całej górze sukienek i spódnic leżał cienki oprawny w skórę album, ze srebrnym napisem „Wspomnienia ze ślubu” na okładce. Irene zakopała się w garderobie, z której nie przestawały wylatywać ubrania i buty, a Sadie przerzucała kartki. Na pierwszej stronie ktoś napisał ołówkiem: „Panna Młoda”, *Irene Alexandra Dunsmore*, i „Pan Młody”, *John Robert Marsh*. Dalej znajdował się egzemplarz „Naszego zaproszenia ślubnego”, które było całkiem ładne, z pierścieniem kwiatów otaczającym eleganckie złote litery. Na następnej stronie widniały podpisy (atramentem, zauważyła Sadie) gości, którzy uczestniczyli w weselu. Po tym były kartki na zdjęcia. Ale na stronie podpisanej „Nasz tort weselny” znajdowało się zdjęcie kupnej babeczki. Na stronie „Nasze druhny” było zdjęcie trzech staruszek siedzących na ławce w parku, każda z laską, każda o surowej twarzy. Później Sadie dowiedziała się, że zdjęcia te zostały wyrwane z jakiegoś czasopisma. Ale wtedy, mając jedenaście lat, po prostu czuła się zdezorientowana. „Moja suknia” przedstawiała kolejną stronę z czasopisma, z rudowłosą ponętą kobietą ubraną w spodnie ze złotej lamy i top

w kropki z odkrytymi plecami. W momencie, kiedy Sadie dotarła do tej strony, Irene tyłem wyszła z garderoby.

- Fiu! - powiedziała, uśmiechając się do córki. Ale kiedy zobaczyła w rękach Sadie album ślubny, wyrwała jej go.

- Co to ma być? - zapytała Sadie. A matka powiedziała:

- Nic. To był tylko żart.

- A gdzie masz swój prawdziwy album? - dopytywała się Sadie. Widywała wcześniej albumy ślubne, wielkie i grube; rodzice niektórych przyjaciół trzymali je pod ręką albo wykładali z dumą na stolikach do kawy.

- Nie mieliśmy czegoś takiego - odrzekła Irene.

- Dlaczego?

- Bo one są po prostu niemądre - fuknęła Irene, a Sadie usłyszała gniewny ton w głosie matki.

Więc napiła się wody i wyszła na zewnątrz. Nigdy więcej nie widziała tego albumu; zakłada, że matka musiała go tamtego dnia wyrzucić.

Sadie kładzie się z powrotem na łóżku i opiera poduszkę na brzuchu. Kiedyś tak bardzo kochała matkę. Może za bardzo. Może powinna sobie była pozwolić na trochę sprawiedliwego gniewu, że Irene zabrała ją od ojca, którego Sadie uwielbiała, że wywiozła ją gdzieś daleko, co oznaczało, że rzadko będzie go widywała. Może powinna była urządzać matce wrzaskliwe awantury o to, że nigdy nie ma nic do powiedzenia i że ją to wkurza. Tak dużo ojca ominęło! Szkolne przedstawienia i koncerty, wywiadówki, te niezliczone wieczory, kiedy go nie było i nie mógł poleżeć z nią na podłodze, i pofilozofować. Ale nigdy nie doprowadziła do konfrontacji

z matką na temat tego wszystkiego, co mogła mieć z ojcem, a nie miała. Ów gniew tkwił głęboko ukryty w Sadie; nawet przed nią samą się nie ujawniał, chyba że w formie niejasnego bólu, który pojawiał się i znikał, pojawiał się i znikał. Był grzecznym gniewem. Nie przeszkadzał. Do teraz. Teraz coś zaczęło się rozkręcać.

Sadie myśli o tym, że tak wiele rzeczy ukrywała przed matką, ponieważ uważała, że z nich dwóch ona jest mocniejsza, więc jakoś znosiła ułomności Irene. Jej dziwactwa. Na przykład to, jak pewnego dnia zastała matkę stojącą nago przed Valerie. Jak ma się człowiek w takiej sytuacji zachować? Co zrobić z matką, która jest tak daleka od samopoznania, że nie przyzna się nawet do własnej samotności? Irene postępuje tak, jakby chciała nawiązać trwałą relację, ale potem tylko sabotuje samą siebie w ten czy inny sposób.

Oczywiście matka pierwsza by temu zaprzeczyła. Sadie wyobraża sobie, jak Irene mówi: „Co takiego?”, gdyby córka kiedykolwiek podzieliła się z nią tym spostrzeżeniem. „Przecież się staram! Żartujesz sobie ze mnie? Nie widzisz, że się staram?”. Ale tak, jak to rozumie Sadie, to ona wcale się nie stara. Ta swoboda i czas, których - jak twierdzi Irene - Sadie potrzebuje? Tego właśnie potrzebuje dla siebie jej matka. Powinna przestać łątać dziury i przede wszystkim zobaczyć, skąd wziął się przeciek. Zamiast tego przechodzi od jednego głupiego związku do drugiego, nigdy tak naprawdę nie dając nic z siebie, a potem twierdzi, że to wina tego mężczyzny, że nie dała. Sadie obserwowała takie postępowanie Irene przez całe swoje życie. Ron miał rację, kiedy powiedział, że matka

dobrze ją nauczyła, jaki powinien być dobry partner w małżeństwie - inny niż Ireneę.

Dziewczyna rozgląda się po swoim pokoju. Przypomina sobie jego różne wcielenia; jak kiedyś miała jaskrawożółty stół i krzesło pod oknem i siadywała tam, by bawić się w szkołę ze swoimi pluszakami. Kiedyś miała kwiaty zastony, które Ireneę sama jej uszyła, a Sadie osobiście wybrała wstążki do podwiązywania. Pamięta, jak mama na jej trzynaste urodziny przemeblowała pokój, kiedy córka była w szkole, i podarowała jej jaskrawoczerwony puf wypełniony kulkami, który Sadie chciała mieć, jak również dużo większą komodę, biurczko pod komputer i oprawiony plakat z Michaeliem Jacksonem.

Och, i pamięta jeszcze, jak Ireneę spała na podłodze przy jej łóżku, kiedy stan Sadie podczas grypy, którą złapała, niepokojąco się pogorszył. Pamięta, jak było jej smutno po pierwszym zerwaniu i jak zwierzała się mamie: „David już mnie nie lubi. Ja nic nie zrobiłam. On po prostu już mnie nie lubi”. Ireneę, chyba bardziej wzburzona od niej, niemal załamywała ręce, mówiąc: „Tak mi przykro, wiem, że to boli, ale wierz mi, znajdzie się inny chłopak”. A kiedy Sadie zapytała: „Kiedy?” - Ireneę naprawdę się wychyliła i powiedziała: „Za trzy tygodnie”. I miała rację, po części dlatego, że Sadie, usłyszawszy coś, co zinterpretowała jako polecenie, spowodowała, że tak się stało. To było w czasach, gdy miała takie nastawienie, że jeden chłopak niewiele różni się od drugiego. To było, zanim poznała Rona, a poprzez niego nową siebie.

Kiedy zadzwoniła do Rona, był z matką i oglądał jakieś mieszkanie w Berkeley, które chciała wynająć jej przyjaciółka.

- Myślę, że idealnie będzie się dla nas nadawało - powiedział. - Jeżeli ci się spodoba, zdecydujemy się na nie. Ona da nam naprawdę dobre warunki, czterysta dolarów miesięcznie, a jest położone przy Hillegass Avenue, naprawdę ładnie. Będziemy mogli chodzić na wykłady na piechotę.

- To bierz i wynajmij - zdecydowała Sadie.

- Ale ty go nawet nie widziałaś!

- Wiem. Zrób mi niespodziankę. Jeszcze raz.

- Mamo! - usłyszała, jak mówi Ron - Rodzice Sadie chcieliby, żebyśmy przyszli do nich na kolację jutro wieczorem o siódmej. Zgadzasz się?

Sadie słyszała, jak jego matka odpowiada:

- Oczywiście! Naturalnie! - Miała taki radosny głos osoby dobrze zakotwiczonej i dobrze się czującej we własnej skórze. Ron powiedział Sadie, że jego matka jest kimś, kto potrafi sobie radzić z życiem w pojedynkę; nie szuka towarzystwa mężczyzn. Sporadycznie się z kimś umawia, ale na ogół zadowala się własnym towarzystwem.

Przypominając to sobie, Sadie czuje nagły przypływ opiekuńczości w stosunku do własnej matki, co równocześnie ją zaskakuje i cieszy. Kładzie dłoń na ścianie, która je dzieli, i szeroko rozkłada palce.

- Mamo - mówi tak cicho, że sama nie jest pewna, czy w ogóle coś powiedziała.

W piątek wieczorem Irenę wlewa wąskim strumykiem oliwę do sosu sałatkowego, który przyrządza, mieszając go może odrobinę za bardzo energicznie. Kolacja ma być za pół godziny i Irenę się denerwuje. I wciąż jest urażona, zła, zdezorientowana. Czuje się jak kulka na niestabilnym podłożu; po prostu nie potrafi się nigdzie zatrzymać i tam zostać. Wyżywa się więc na oliwie i occie o smaku fig.

Nigdy nie kupuj octów smakowych - powiedział jej nie tak dawno Henry. - Kupuj dobry czysty ocet, a potem przyprawiaj go, dodając świeżych składników.

Tamtego dnia po pracy wpadła do sklepu i kupiła trzy smakowe octy, łącznie z tym właśnie, który jej zdaniem jest bardzo dobry. A poza tym trzy smakowe oleje, które mniej jej przypadły do gustu.

Irenę kończy przygotowania do posiłku, a John siedzi przy stole i popija wino. Nalał po kieliszku dla nich obojga, ale jej wino stoi wciąż nietknięte. Nie jest pewna, czy w ogóle powinna się go napić. Obawia się niestabilności

własnych emocji. Mogłaby się rozplakać albo zacząć wrzeszczeć, albo w jakiś inny sposób narobić sobie wstydu. Nigdy za dużo nie piła, a akurat dzisiejszy wieczór nie nadaje się do eksperymentów.

- On wcale nie jest nawet taki bardzo przystojny - mówi Irenę i miażdży ząbek czosnku bokiem noża. Mówi to szeptem, chociaż Sadie bierze prysznic i nie usłyszałaby jej, nawet gdyby mówiła normalnym głosem.

John wzrusza ramionami.

- No nie wiem.

Jest boso, sam przed chwilą wyszedł spod prysznic. Dobrze wygląda; poszedł dziś kupić sobie coś do ubrania. Kiedy wyjeżdżał, zapakował niewiele rzeczy, nawet się nie zastanawiał, czego mógłby potrzebować. Ale teraz siedzi w ładnej koszuli w niebieskie i białe paski, którą Irenę mu wyprasowała. Irenę uważa, że John wygląda przystojnie, chociaż przypuszcza, że akurat teraz nie powinna mu o tym mówić. Kiedy wrócił do domu, właśnie kończyła prasować serwetki na ten wieczór, więc zaproponowała, że przeprasuje mu koszulę - deska już stała, żelazko wciąż było gorące.

- Daj to - powiedziała, wyciągając rękę. John przez chwilę się wahał, zanim przyjął propozycję, jakby taka czynność była zbyt intymna, żeby Irenę mogła ją dla niego wykonać. I to prawda, że prasowanie męskiej koszuli jest w pewnym sensie czynnością intymną, to wygładzanie dłońmi kołnierzyka, rękawów, pleców. Chociaż John jest taki zręczny, nigdy się nie nauczył dobrze prasować koszul. Tak więc podał jej tę niebiesko-białą.

- Kupiłeś jeszcze jakieś? - zapytała.

- Tak, ale chyba nie będą mi potrzebne. Jadę w niedzielę do domu; każę je sobie tam wyprasować. Rozumiesz.

- Och - mruknęła Irenę. - Okay. - Pochyliła się niżej, by się zająć wąskimi kawałkami między guzikami.

- Chyba pójdę i porozmawiam z Sadie - powiedział John i wyszedł z kuchni.

I dobrze, pomyślała Irenę. Bo nagle poczuła się bezdennie nieszczęśliwa i taka bliska łez, a nie chciała, by John to zobaczył.

Teraz dodaje czosnek do sosu, a potem znowu go ubija.

- Czy ty uważasz, że Ron jest przystojny? - pyta Johna.

- Pewnie tak.

- A ja nie.

- Nie sądzę, żeby to miało znaczenie, Irenę. Znaczy, tak naprawdę.

Irenę odkłada nóż, bierze kieliszek z winem i siada naprzeciw Johna.

- Nie. Nie ma znaczenia, jak on wygląda. Ja tylko... Wiem, że to nie ma znaczenia, jak on wygląda. Ma znaczenie to, jaki jest. Gdyby był jej chłopakiem, naprawdę by mi się podobał. Ponieważ jest jej mężem, mam ochotę go zabić.

- No cóż, chcesz, żeby odszedł.

- Chcę, żeby nie byli małżeństwem.

- Ale są. I najwyraźniej zamierzają małżeństwem pozostać.

Irenę potrząsa głową.

- Tak bym chciała, żebyśmy mogli nakłonić Sadie

do wizyty u terapeuty, chociaż jednej. Uwierzyłyby, gdyby jej powiedział, że wszystko to ma tylko odwrócić jej myśli od tego, co się wydarzyło.

- Może - mówi John. - Ale jaki powód ma ten facet, że chciał się tak młodo żenić?

- No właśnie - wpada mu w słowo Irenę. - Widzisz? Zastanawiałam się nad tym samym. On też powinien porozmawiać z terapeutą. Z nim jest coś naprawdę nie w porządku. Dlaczego miałby chcieć się żenić? Dlaczego nie chce się umawiać z milionem dziewcząt?

- Może mu na tym wszystkim nie zależy?

- On ma osiemnaście lat! Dlaczego miałoby mu nie zależeć? Kiedy ma się osiemnaście lat, to nie istnieje nic oprócz tego!

- Nie dla wszystkich - zaprzecza John. - Nie dla mnie. Kiedy miałem osiemnaście lat, też chciałem się ożenić, naprawdę.

Irenę prycha.

- Wcale nie.

- A właśnie że tak, Irenę.

Irenę czuje, że szczęka jej opada, a oczy otwierają się szeroko: odruch z sitcomów.

- Miałeś trzydzieści sześć lat, kiedy się ożeniłeś! Po raz pierwszy!

- Bo się bałem, Irenę. Bałem się. To było dla mnie zbyt ważne!

- Ale... Ale nigdy mi tego nie powiedziałaś!

- Słuchaj - mówi John. - Może powinniśmy po prostu... Nie wiem, wycofać się. Zobaczyć, jak się to rozwine. Poznajmy jego matkę. Zobaczymy, co

będziemy o nim myśleć, kiedy już spędzimy z nim trochę czasu.

- Tak, oczywiście, mógłby być księciem, a ja nadal uważałabym, że ona nie powinna była za niego wyjść.

- Wiem.

Dzwoni minutnik, Irenę odpycha się od ławy i wkłada rękawice.

- No to świetnie. A więc się zgadzamy. - Wysuwa formę z lasagną z bakłazanem, zerka na zegarek. - Musi dochodzić dobre piętnaście minut.

- Irenę? - Tak?

- Na co myśmy się zgodzili? - Co?

- Powiedziałaś: „A więc się zgadzamy”. Na co myśmy się zgodzili?

Irenę patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

- Żeby rozwiązać to małżeństwo.

- Aha - mówi John i dodaje: - Nie możemy tego zrobić. To Sadie musi zdecydować.

- Ale ona chyba tego nie zrobi!

- No to nie zrobi.

- John, przecież ona ma osiemnaście lat! John wzrusza ramionami.

- No właśnie.

Dzwoni jego telefon, John wyciąga aparat z kieszeni, żeby sprawdzić, kto to. Mówi do Irenę:

- Przepraszam cię; pospieszę się, ale muszę odebrać. Czy możesz chwilkę poczekać? - zwraca się do dzwoniącej osoby. - Zaraz będę. - Słucha, wysuwając się z za

stołu, a potem się śmieje. - Żartujesz? Oczywiście! - Jego głos jest serdeczny, pełen sympatii, uwodzicielski.

A więc to kobieta, myśli Irenę.

John wychodzi do holu, potem idzie do sypialni i zamyka za sobą drzwi. Irenę rozdziera na kawałki sałatę i wrzuca ją do miski. Potem wyciera ręce w fartuch i wpatruje się przez okno w ulicę na dole. Nikogo tam nie ma.

Kładzie na środku deski do krojenia czerwoną paprykę, a kiedy rozlega się dzwonek, podskakuje tak gwałtownie, że mało brakuje, a obcięłaby sobie palec. Ale nie dochodzi do tego; odkłada nóż, głęboko wciąga powietrze i idzie do drzwi, żeby wpuścić gości.

John siedzi na jednym z foteli pod oknem w salonie i pociera sobie kark, wygina się w plecach. Jest zmęczony, ale również ożywiony; po raz pierwszy, od kiedy zadzwoniła do niego Ireneę, by powiedzieć, że Sadie zaginęła, uważa, że naprawdę wszystko dobrze się ułoży.

Wbrew woli spodobał mu się Ron już za pierwszym razem, kiedy się spotkali; teraz podoba mu się nawet bardziej. Jest ponad swój wiek dojrzały, podobnie jak Sadie. John ufa mu. Ufa również córce. A matka Rona jest po prostu cudowna: bezpośrednia, pozytywnie nastawiona, rozsądna, mądra. Jest Francuzką, ma na imię Huguette i wciąż jeszcze mówi ze śladowym akcentem. Używa zwrotów zarówno uroczych, jak i zabawnych: „wczoraj z wieczora” zamiast wczoraj wieczorem, na przykład. Albo: „Łatwe jak tort”. A o jakiejś restauracji, która wypłynęła w rozmowie mówi: „O tej to jestem nieprzekonana”.

Ma postawę tancerki: ramiona ściągnięte, plecy proste, każdy ruch pełen gracji. Jest ubrana w prostą białą bluzkę ze stójką, długą czarną spódnicę, do tego krwisto-

czerwony szal i wygląda przewspaniale. Włosy ma długie, wciąż ciemne, upięła je we fryzurę, którą preferowała jego matka: klasyczny francuski kok, a przynajmniej tak to się kiedyś nazywało. Do tego pojedyncza złota bransoletka i złote kolczyki węzełki.

Irenę na początku praktycznie się do niej nie odzywała, poza tym że stosunkowo szczerze podziękowała za śliczny bukiet i butelkę czerwonego wina, ale koniec końców się rozkrochmała. Wyglądało na to, że wzruszyła ją opowieść Huguette o tym, jak ona i jej mąż pobrali się tak młodo. John wierzył Huguette, kiedy oświadczyła, że czasami wiek to nic innego jak liczba, nie tylko dla ludzi starszych, ale i młodych.

- Oni wiedzą, co robią - powiedziała, patrząc na Sadie i Rona. - Ci dwoje będą razem szczęśliwi.

John poczuł, jak mu serce rośnie, poczuł dumę; popatrzył na swoją piękną córkę i po raz pierwszy pomyślał: „Jest dobrze, wszystko jakoś się ułoży”.

Miło było wiedzieć, że takie zaufanie i aprobatę wyraża też inny dorosły, który jest równie zainteresowany tą sytuacją, co on i Irenę. A Sadie widziała, że poczuł ulgę; patrzyła na niego rozpromieniona z drugiej strony stołu, a wtedy odpowiedział jej rozpromienionym spojrzeniem.

Teraz siedzi na fotelu przepełniony zadowoleniem i ulgą.

Irenę natomiast leży na rozkładanej sofie, oczy zasłoniła ręką, milczy. Kiedy goście wyszli po kolacji, Sadie poszła z nimi. Chcieli odprowadzić matkę Rona do domu, a potem pobyć razem. Obiecała, że niedługo wróci; wyglądało na to, że nagle jej gniew i frustracja z powodu,

jak to określała, uwięzienia, zmieniły się w coś w rodzaju pełnej konsternacji czułości. W niedzielę mieli z Ronem się przeprowadzić do swojego mieszkania.

- No więc stało się - odzywa się w końcu Ireneę. Siada na sofie i patrzy na Johna.

- Chyba tak - mówi John.

Ireneę wzdycha, bawi się czymś przy pasku spódnicy, potem wyjmuje bluzkę spod paska. Kiedy to robi, wciąż jeszcze długie włosy opadają jej na twarz i wygląda zdaniem Johna ślicznie: bosa kobieta w średnim wieku, skąpana w żółtym świetle lampy, z rozpuszczonymi włosami, z bluzką luźno zwisającą wokół bioder. Przypomina mu wcześniejszą wersję Ireneę, pragmatycznej kobiety, którą cechowała swego rodzaju bezpośredniość, czym się u niej na początku zachwycał. Później ta bezpośredniość zaczęła go nużyć, ale to było wtedy, kiedy zaczęło go już nużyć wiele rzeczy związanych z Ireneę, i przypuszczał, że wrzucił do jednego worka wszystkie jej cechy, zarówno te dobre, jak i te złe.

Żał mu jej; ona jedyna jeszcze się temu wszystkiemu opiera, nie potrafi się zdobyć na wysiłek, żeby okazać zaufanie, na co pozostali już się zgodzili.

- John? - pyta. - Tak?

- Czy myślisz, że jest jakaś grupa dla rodziców, których dzieci za młodo się pobierają?

- Prawdopodobnie jest. Na każdą okoliczność jest jakaś grupa. A te grupy naprawdę pomagają ludziom.

- Skąd wiesz? Nigdy nie chodziłeś na żadne takie spotkania.

- Ależ chodziłem - mówi John ze śmiechem, a potem natychmiast tego żałuje, ponieważ pada następne pytanie, a on nie wie, czy gotów jest na nie odpowiedzieć.

- Do jakiej grupy? - chce się dowiedzieć Irene. -Co?

- Do jakiej grupy?

No i John opowiada jej o tej grupie, na której spotkanie poszedł, a potem, ponieważ ma wrażenie, że powinien to zrobić, także o Amy. Jak się tam poznali, że od czasu do czasu się spotykają. Właściwie to nawet często. Całkiem często.

- Aha - mówi Irene, kiwając głową, kiedy John kończy opowiadać. - To ona dzwoniła do ciebie.

- Jest jedną z osób, które dzwoniły. Znaczący, rozmawiałem z całym mnóstwem ludzi o projekcie, którym teraz będę się zajmował. To nawet taki super pomysł. Chcę przerobić ten budynek na Wabasha na hotel z apartamentami do wynajęcia. Będzie tam...

- To ona dzwoniła, jak przygotowywałam kolację.

- O. Tak. Dziś wieczorem? Racja, to była Amy. Właściwie to przypomina mi ciebie. Odrobinę.

Irene kiwa głową.

- No to chyba już się położę, więc... Więc wynoś się do diabła.

- Irene.

Patrzy na niego, zbyt szeroko otwierając oczy. -Co?

- Przepraszam. Nie chciałem tego zrobić.

- Czego, powiedz mi, że się z kimś umawiasz? A dlaczego nie miałbyś mi powiedzieć, że się z kimś

umawiasz? Spodziewałam się tego. Ja także spotykam się z ludźmi. I też się z kimś umawiam.

- Czy tak? -Tak.

- Z jakimś sympatycznym facetem?

Irenę wyciąga rękę, by ułożyć równo stosik książek na stoliku przy sofie.

- Tak, jest miły. Bardzo miły. - Uśmiecha się po tych ostatnich słowach, taka prywatna sprawa między nią a nią samą, a Johna to nieco wytrąca z równowagi. - Jednak jest dla mnie dużo za młody. Ma trochę po czterdziestce.

- Tak, to jest... Za młody dla ciebie.

- Przecież nie mam zamiaru za niego wychodzić! Miło jest po prostu... pobyć w jego towarzystwie. Wiesz?

John próbuje sobie wyobrazić, kim może być ten facet: jak wygląda, czym się zajmuje. Ale się nie zniży, by o to ją pytać. Zresztą to nie jego sprawa. Ale tuż po czterdziestce!

- Czy Sadie go poznała?

- Nie, jeszcze nie. Ale wkrótce.

Johnowi nasuwa się pytanie: „To dlaczego on do ciebie nie dzwoni?”. Jednak nie mówi tego głośno. Po pierwsze Irenę mogłaby odpowiedzieć: „Och, my tekstujemy”.

- A ty i Amy pobierzecie się? - pyta Irenę. Dłoń Johna podskakuje do jego piersi.

-Ja? -Tak.

- Czy ja się żenię?

- O mój Boże - mówi Irenę. - Żenisz się. No cóż, gratulacje.

- Nie powiedziałem, że się żenię.
- Nie, ale myślisz o tym, prawda? Cholerny świat. Pewnie myśli. Troszkę.

- Myślę o tym czasami. Ale nie sądzę, żebym to zrobił.
- Nie krępuj się - rzuca Irenę. - Przynajmniej nie jesteś na to za młody.

Śmieją się oboje, a potem Irenę zakrywa rękami twarz.

- O Boże, taka jestem pokrecona. Niczego nie rozumiem.
Naprawdę nie rozumiem.

- Irenę?

Irenę nie rusza się, nie chce opuścić dłoni.

- Powinieneś pójść i się położyć. Nic mi nie jest. - Głos ma stłumiony, napięty; ale nadaje mu rozpaczliwie dziarskie brzmienie, by jeszcze dodać: - Dobranoc.

- Na pewno, Irenę, jest dwanaście po dziewiątej. Irenę opuszcza ręce na kolana.

- Wiem, ale to był ciężki wieczór. I nikt z nas ostatnio dobrze nie sypiał.

John podchodzi do sofy i przykuca obok niej; teraz Irenę zaczyna płakać. Przeciąga ręką po twarzy i patrzy na niego żałośnie.

- Hej.

- Hej, Irenę.

- Nie wiem, czemu płaczę.

- Powodów jest wiele, powiedziałbym.

- Czy chcesz...? - Irenę klepie sofę dłonią. - Możesz się tu wyciągnąć. Jeżeli chcesz.

John przechodzi powoli na drugą stronę sofy i kładzie się. Oddziela ich od siebie cnotliwa, do przesady

nieprzypadkowa odległość. Ta przestrzeń wydaje się żywa, jak ktoś trzeci.

- Masz rację - mówi Ireneę. - Powodów jest wiele. Pociera czoło i ten ruch jest dla niego tak do głębi

swojski. Zawsze to robiła, kiedy była zdezorientowana albo wytracona czymś z równowagi; marszczyła czoło, a potem je pocierała. Patrzy na niego i się uśmiecha, a on widzi, że w tym świetle zieleń jej oczu przybrała odcień akwamaryny. Widzi też, że jej brwi są przetykane siwizną i serce mu od tego pęka.

- Wiesz, co znalazłam kilka dni temu? - pyta Ireneę.

- Co? - John chce wziąć ją za rękę, ale powstrzymuje swój odruch; potem jednak ujmuje jej dłoń, a Ireneę mu na to pozwala. Ma takie uczucie jak wtedy, kiedy siada na nim motyl; prawie nie oddycha.

- Znalazłam nasz album ślubny - mówi Ireneę.

- Naprawdę? O ile pamiętam, nie bardzo było się czym chwalić.

- Nie, po prostu ze wszystkiego sobie kpiliśmy.

- Racja. - Johna ogarnia smutek, czuje się wobec niego nieufny. Myśli, że powinien wrócić na fotel.

- Było tam zdjęcie wydarte z jakiegoś czasopisma - ciągnie Ireneę.

- Te staruszki. - I teraz zalewa go nie smutek, tylko potężne poczucie wstydu. Że w taki sposób potraktowali swoje małżeństwo. Zwłaszcza w zestawieniu z radością i dumą, i absolutnym zdecydowaniem, którego przykładem może być ich córka.

- Nie, nie te staruszki - zaprzecza Ireneę. - To zdjęcie nie zostało wlepione; ono po prostu wyleciało. Chcesz

je zobaczyć? Mam je w garderobie przy sypialni. Pójdę i przyniosę.

- Opowiedz mi. - John uświadamia sobie, że już nigdy nie chce widzieć tego albumu.

- No, był na nim dom, tonący w zaspach. Nic innego dookoła, tylko te wielkie hałdy śniegu i czarne niebo, i mały drewniany domek, który wyglądał na coś w rodzaju chaty z bali. I było jedno okno, a w nim małe światełko. Ale bardzo się odznaczało w tym całym śniegu.

- Yhm - mówi John. Nie jest tak do końca pewien, do czego zmierza Irenę.

- A potem znalazłam jeszcze jedno zdjęcie, też nie-wklejone. Był na nim czarny sedan, który odjeżdżał tak, jakby ktoś nim uciekał, od kobyłek ustawionych rzędem, żeby nikt nie mógł tamtędy przejechać. - Irenę milknie, a John odwraca się do niej.

- No i... jak to rozumiesz? - A ty?

- Nie wiem.

- No więc - podejmuje Irenę - dla mnie to było coś w rodzaju metafory, wiesz? To my byliśmy, w pewien sposób, tym małym domkiem w tym całym śniegu. Jedno małe światełko. A ten samochód uciekinierów...

- To byłaś ty - wpada jej w słowo John. Irenę patrzy na niego.

- To byłeś też ty.

- Tak sądzisz?

- Wiem. Co więcej, czy nie ty włożyłeś tam to zdjęcie?

-Nie!

- No, to na pewno nie ja.

- Ja go nawet nie pamiętam, Irene.

- Ja też nie!

John niezdarnie wysuwa rękę z jej dłoni. To miejsce na sofie nie jest jego miejscem. Ale jeżeli teraz wstanie i odejdzie, ten gest będzie jak oświadczenie, którego chyba nie chce wygłaszać.

- Wiesz co - mówi. -Co?

- Chodźmy na spacer. Chodźmy i napijmy się czegoś w jakimś lokalu.

- Nie chcę. Ale i tak dziękuję.

- Oj, chodźże. Irene się śmieje.

- To absurdalne.

- Prawda?

- Słowo daję, John. Nie rozumiem absolutnie niczego.

- Wiem. Życie. No więc, Irene? Wyjdźmy z domu. Irene się uśmiecha.

- W porządku. Dobrze, pójdziemy. - Wstaje i wsuwa bluzkę z powrotem pod pasek. Pochyla się po buty. Jeden z nich wcisnął się pod sofę i Irene na czworakach stara się go wyciągnąć. Zawsze mu się podobał jej tyłek i to wciąż jest ładny tyłek. Zastanawia się, czy tamten smarkacz dotykał jej tyłka. Odwraca wzrok, a potem, kiedy słyszy, jak Irene pyta: „Gotów?” - zrywa się na nogi i podaje jej rękę, którą ona przyjmuje.

- Czekaj! - mówi nagle Irene. - A co z Sadie?

- Co z nią?

- A jeżeli wróci do domu, a nas nie będzie?

- Jak to, twoja zameżna córka nie może posiedzieć sama w domu?

- Zostawimy jej karteczkę - oświadcza Ireneę i wydaje się, że mówi to z pewnym podnieceniem. Jakby coś uszło jej na sucho. I może tak jest.

Idą do kuchni; John stoi i przygląda się, jak Ireneę pisze wiadomość. Jej pismo jest mu tak bardzo dobrze znane, te w połowie drukowane litery. Podobnie jak to, że podpisze się: „mama”, a potem podkreśli to słowo, jakby kładła nacisk na swoją rolę.

Ireneę przystawia karteczkę cukiernicą na stole kuchennym.

- Gotowy? - pyta. Chyba tak.

Hej? - woła Sadie. Stoi na środku salonu i czeka. Sofa jest rozłożona, ale pusta; drzwi do sypialni matki są zamknięte. Czyżby oni spali razem? Na tę możliwość ogarnia ją gwałtowne podniecenie, a jednocześnie niesmak. Co oni sobie myślą, żeby spać razem?

Cicho przechodzi do holu i staje przed sypialnią matki. Słucha: nic. Puka lekko, potem naciska klamkę. Pusto.

Na moment wpada w panikę, wyobrażając sobie, że coś im się stało. Ironia losu, myśli, ależ musieli być przerażeni, kiedy nie mieli od niej żadnych wiadomości przez tak wiele długich godzin. A teraz sama po raz pierwszy, od kiedy ją porwano, czuje nagłą, przejmującą do szpiku kości panikę. Przętyka, czując rosnącą w gardle ogromną gulę, otwiera gwałtownie drzwi do łazienki, odciąga na bok zasłonkę prysznicową. Zagląda pod łóżko i do garderoby przy swojej sypialni i przy sypialni matki; zagląda pod rozłożoną sofę. Została już tylko kuchnia i Sadie powoli idzie w stronę wahadłowych drzwi. W środku zapala światło i znajduje karteczkę na stole, czyta ją i niemal

placze z ulgi. Siada na ławie i czeka, żeby serce przestało jej łomotać, żeby mogła pełną piersią odetchnąć.

Może powinna porozmawiać z kimś o tym, co się stało; chociaż wie już, że z rodzicami wszystko w porządku, czuje, że ramiona przygnięta jej inny strach, że wciska się do piersi. Czyta jeszcze raz karteczkę: wyszli, będą później, ma zadzwonić, gdyby czegoś potrzebowała.

Wyszli, ale dokąd? Po co?

Idzie do lodówki, bierze kartonik jogurtu i niesie do swojej sypialni, by go zjeść. Nie chce być w kuchni. Jest za duża. Za dużo kątów, za dużo cieni. Noży.

Zjada jogurt, a potem dzwoni do Rona.

- Zgadnij, kto poszedł na randkę?

- Twoi rodzice? - pyta Ron. - Mowy nie ma.

- Mowa jest. - Słyszac ton, którym wypowiada te słowa, czuje się zaskoczona. Brzmią smutno.

- Co się dzieje, Sadie?

Sadie odchrząkuje, a potem się śmieje.

- To dziwaczne.

- No pewno.

- Nie, nie chodzi mi o to, że dziwaczne jest to, że wyszli. Chociaż jest. Chodzi mi o to, że to dziwaczne, że ja nie wiem, jak mam się do tego ustosunkować. Czy jestem zadowolona. Czy smutna. Czy wściekła!

- Może wszystko po trochę - odpowiada Ron.

- Może.

- Chcesz, żebym przyszedł?

- Nie. Wszystko w porządku. Wrócą niedługo. -I?

- I - powtarza Sadie.

- Mojej mamie naprawdę podobali się twoi rodzice, zwłaszcza tata.

- Za późno, jest już zajęty. Ron milczy, a ona dodaje:

- Przepraszam. Tak mi się tylko jakoś powiedziało. Wiem, że nie chodziło ci o to, że podoba jej się w taki sposób.

- Nie, nie w taki sposób jej się podobał.

- Przepraszam.

Ron zmienia ton i mówi:

- Hej, przeprowadzamy się i od niedzieli będziemy razem.

- Wiem.

- Nasze własne mieszkanie!

- Racja.

- Sadie, czy jesteś pewna, że nic ci nie jest?

- Ta! Tylko że ja... jestem w swoim pokoju. Wiesz, po prostu tu siedzę, u mnie w pokoju.

- Ale nic ci nie jest? Tak w ogóle.

- Znaczy, niedługo sobie stąd pójdę, nie? I tak wyprowadziłabym się do akademika.

- To co innego wyprowadzać się do akademika. Coś zupełnie innego niż wychodzić za mąż. Sadie, chcę ci tylko powiedzieć... Chcę ci tylko powiedzieć, że cię kocham i nie żałuję tego, co zrobiliśmy. Jeżeli ty żałujesz...

- Nie żałuję!

- Posłuchaj. Jeżeli żałujesz, to nie szkodzi. Możemy to anulować i poczekać, i pobrać się później. Nigdzie się nie wybieram.

- Nie chcę niczego anulować! - Wypróbuj, jakie

to uczucie powiedzieć to sobie samej, a nie defensywnie komuś innemu. - Znaczy, na co mielibyśmy czekać?

- pyta.

- Żebyś naprawdę była pewna.

- A ty jesteś?

- Czy ja jestem pewny? Tak! Znaczy, wiem, że jesteśmy młodzi. Naprawdę jesteśmy młodzi.

- O mój Boże! - wzdycha Sadie. -Co?

- U ciebie wcale nie jest w porządku! Próbujesz po prostu to zrobić tak, żebym ja powiedziała to za ciebie. Czy ty... Czy chcesz się z tego wyplątać?

- Sadie, ja po prostu chcę ciebie zrozumieć. Wiesz? Wydajesz się jakby... Ja po prostu próbuję ciebie zrozumieć. Powiedziałem ci, co czuję, i mówiłem serio. Wiem, że jesteśmy młodzi, ale ja jestem gotowy. Chcę tylko, żebyś ty też to czuła. Mam takie wrażenie, jakbyś nagle zaczęła kwestionować niektóre sprawy.

- Wcale nie!

- W porządku - mówi Ron.

- Naprawdę nie.

- W porządku.

Sadie podciąga kołdrę aż pod brodę.

- Tylko myślę, że... Kiedy wróciłam do domu i nikogo nie było... Przestraszyłam się. Naprawdę się przestraszyłam.

- To się trzyma kupy. Myślę, że takie rzeczy będą się od czasu do czasu zdarzać. Dużo ci się przytrafiło, Sadie.

-No.

- To potrwa, zanim chociażby uświadomisz sobie wszystko, co się stało, nie sądzisz?

- Tak. Moja mama uważa, że powinnam z kimś o tej sprawie porozmawiać.

- Moja też.

Sadie śmieje się cichutko z zaskoczenia, a Ron dodaje szybko:

- W dobry sposób. Lubi cię. Chce, żeby nic ci nie było.

- Nic mi nie jest! Dlaczego nikt nie chce uwierzyć, że nic mi nie jest? A teraz ty!

-Prr — mówi Ron. — Cofnij się. Nie do końca rozumiem, co się tam dzieje.

- Muszę kończyć - rzuca Sadie. - Rodzice są w domu. Pogadam z tobą jutro. - Wyłącza się.

Rodzice jeszcze nie przyszli do domu. Jest sama. Chodzi po mieszkaniu, tam i z powrotem, od końca do końca. Z dołu dobiegają odgłosy z telewizora sąsiadów. Nie jest sama. Naokoło są ludzie. Mogłaby zadzwonić do Meghan, ale teraz między nimi nie układa się już tak jak kiedyś. Meghan jest przy niej pełna rezerwy, ostrożna. Mówi, że się cieszy ze względu na Sadie, ale tak jakoś jakby się oddaliła. Pewnie Meghan powiedziała o niej to samo.

Sadie podchodzi do okna w salonie i przyciska czoło do szyby, patrzy w dół na ulicę. Widzi, jak rodzice idą od przecznicy w stronę domu, obejmując się. Ucieka do siebie, zamyka drzwi i gasi światło.

W sobotę rano Irenę pojawia się w księgarni wcześnie. Zamierza rzucić okiem na czasopisma dla panny młodej. Przed własnym ślubem wcale się nimi nie interesowała. Teraz, stojąc przed stojakiem, zdumiewa się, jak wiele ich jest. Wybiera kilka z dziwnym zażenowaniem; równie dobrze mogłaby wybierać czasopisma porno.

Zanosi swój ciężar do kawiarni, znajduje okno, przy którym może usiąść, i zaczyna przeglądać magazyny. Zadziwia ją różnorodność obrączek, sukien, tortów, miejsc na uroczystość. Stara się cieszyć tym przeżyciem, ale czuje tylko coś w rodzaju odrazy na widok czegoś, co jej się kojarzy z bezczelnym wykorzystywaniem sytuacji.

Spogląda przez okno na przechodzących ludzi i aż podskakuje na widok Jeffreya, który stoi po drugiej stronie ulicy z jakąś starszą kobietą, mniej więcej w jej wieku, bardzo ładną. Kobieta uśmiecha się do niego, całuje go w policzek, macha na do widzenia i odchodzi. Jeffrey rusza w stronę Irenę, która skupia uwagę na kartkach

czasopisma, ale zastanawia się głównie nad tym, czy on zobaczy, że tutaj siedzi.

Słyszy stukanie w okno, to Jeffrey. Uśmiecha się, ona odpowiada uśmiechem. Jeffrey wyciąga komórkę i pokazuje na nią, jej telefon dzwoni.

- Halo? - odbiera ze śmiechem Ireneę.

- Ta kobieta to moja klientka - mówi Jeffrey.

- Och. Bardzo miło wygląda.

- Wiesz co? Postanowiłem dać ci jeszcze jedną szansę.

- Postanowiłeś? -Tak.

- No cóż... - Ireneę rozgląda się po niemal pustej kawiarni. - Może byś wszedł do środka i porozmawialibyśmy osobiście?

- Nie mogę. Jestem w drodze na zebranie. Może zgodziłabyś się na ten mecz i wtedy byśmy porozmawiali?

- Czy nadal aktualna jest pieczeń rzymska?

- Tylko jeżeli zdecydujesz się od razu. Termin oferty ograniczony.

- Tak - decyduje się Ireneę.

- Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu.

- Dobrze, okay.

Jeffrey zamyka komórkę, powtarza bezgłośnie: „Zadzwoń do ciebie” i energicznym krokiem odchodzi. Ireneę przygląda mu się, zastanawiając się, jak to będzie znowu go zobaczyć. Miło jej się robi na myśl, że taki mężczyzna jak on naprawdę się nią zainteresował, ale ostatecznie... Ostatecznie co?

Wspomina, jak poprzedniego wieczoru była w barze z Johnem. Chociaż zamierzali pójść do jakiegoś

wytwornego lokalu, zdecydowali się na pierwszy, który był im po drodze: nijaki bar w nijakim hotelu. Sala z przyćmionym światłem, pięć czy sześć krzeseł obrotowych z czarnego winylu ustawionych rzędem przed barem zaopatrzonym w niemarkowe butelki; ryczący telewizor, kilka okrągłych drewnianych stolików z blatami kwaśno pachnącymi ścierką, którą niedawno po nich przejechano. Ale nie przejęli się tym. Zawinęli do spokojnej przystani, a nie mieli okazji cieszyć się czymś takim od lat; Irene doszła do wniosku, że Johnowi również mniej zależało na tym, by poczuć jakąś specyficzną atmosferę, a bardziej, by cieszyli się swoim towarzystwem.

Kiedy już usiedli przy narożnym stoliku, John powiedział:

- Nie wiem jak ty, ale ja zawsze uważam, że w takich lokalach najbezpieczniej jest zamówić piwo.

- Ja wezmę sobie Rob Roya* - zdecydowała się Irene, a kiedy John zapytał, co to jest, powiedziała, że nie ma pojęcia.

- No to ja sobie też to wezmę - postanowił John. Kiedy podano im już rozwodnione drinki, których

składu nie potrafili zidentyfikować (John sugerował, że to pomyje wymieszane z męską wodą kolońską), siedzieli przez chwilę w milczeniu, przyglądając się klientom przy barze. Siedziało tam rzędem trzech mężczyzn, wszyscy mieli na sobie spodnie od garnituru i koszule z podwiniętymi rękawami, wszyscy garbili się nad swoimi drinkami

* Rob Roy - koktajl z whisky, słodkiego wermutu i nalewki Angostura.

i gawędzili jakoś tak z przygnębieniem za każdym razem, kiedy mecz przerywały reklamy. Przy końcu baru tkwiła samotnie przesadnie umalowana kobieta, nie spuszczać z nich oka i żując szpadkę do koktajlu. Była starszawa, miała może z sześćdziesiąt pięć lat czy coś koło tego, mocną blond trwałą i figurę, która kiedyś musiała być całkiem niezła, a teraz wciśnięta była w niebieską jedwabną suknię spiętą na ramieniu błyszczącą szpilą. Mężczyźni, do takiego wniosku doszli Irene i John, przyjechali do miasta w interesach; a ponieważ gospodarka miała się, jak się miała, kazano im zatrzymać się w tym właśnie hotelu. Kobieta? Tego nie byli tacy pewni.

- Nie sądzę, żeby była prostytutką - szepnęła Irene.

- Może to moja mama - powiedział John.

Irene zerknęła na niego. Dziwne, że coś takiego powiedział, i do tego smutne.

- Gdyby twoja mama żyła, miałyby teraz osiemdziesiąt parę lat - odezwała się w końcu.

- No - potwierdził, wpatrując się w swoją szklaneczkę. Potem podniósł wzrok, uśmiechnął się i spytał: - Pamiętasz, jak Sadie miała cztery lata i po raz pierwszy pomagała mi myć samochód?

- Pewnie, że pamiętam.

Sadie pomagała myć, a potem wycierać samochód; a kiedy John oznajmił: „No dobrze, teraz czas go nawoskować”, rzuciła szmatkę, położyła się na trawie i wykrzyknęła: „Panie Boże, zabierz mnie teraz!”.

- To byłaś ty w niej - stwierdził John, ale powiedział to z jakąś taką sympatią, której Irene nigdy wcześniej u niego nie wyczuwała, kiedy mówił o jej tendencji

do nadmiernego dramatyzowania. Z czymś w rodzaju akceptacji.

Kiwnęła głową. Nie chciała na niego patrzeć; panowała między nimi idealna równowaga i Irene nie chciała tej sytuacji zakłócić. Wbiła wzrok w swojego drinka i zapytała:

- A pamiętasz, jak uczyła się ślizgać po lodzie i upadła, i zламаła rękę w nadgarstku?

John się skrzywił.

- Jak mógłbym zapomnieć? Czułem się tak podle, kiedy się zorientowałem, co się stało. Bardzo ją musiało boleć, ale nie przestała się ślizgać.

- To byłeś ty w niej - stwierdziła Irene, podnosząc wzrok. John wzruszył ramionami.

- Ty jesteś taki... nie skarżysz się.

- Pewnie tak.

- Johnie. Chcę ci powiedzieć... Tak naprawdę, to chcę powiedzieć, że przepraszam.

Przez chwilę milczeli, a potem John powiedział:

- Ja też.

- I jeszcze... naprawdę cię kochałam.

- Tak. Dawno, dawno temu. Ja ciebie też.

Irene odchyliła się do tyłu na krześle i przyglądała mu się z głową przechyloną na bok.

- Czy jesteś teraz inny, Johnie? Westchnął.

- To trudne pytanie. Ale sądzę, że tak. A ty?

Irene popatrzyła na niego trzeźwo, oczy jej się napełniły łzami, a John zerwał się i wziął ją za ramię.

- Niech to cholera, idziemy stąd.

Spacerowali we mgle w górę i w dół po pagórkowatych ulicach. Nie rozmawiali wiele, ale na chwilę przed tym, zanim skręcili za róg, by pójść do domu, John odwrócił Irenę do siebie:

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwał się. -Co?

- Kiedy Sadie zaginęła, pomyślałem sobie, że gdyby nigdy nie wróciła, ty i ja zostaniemy razem. Ponieważ my bylibyśmy wszystkim, co nam po niej zostało.

- Ja też tak myślałam - przytaknęła Irenę.

- I to mnie trochę pocieszało. -Tak.

- Ale czułem się naprawdę winny, myśląc tak.

- Oczywiście, ja też. - Uśmiechnęła się. - Wiesz, co jest takie jakby cudowne? Nikt nie będzie nigdy czuł w stosunku do Sadie tego, co my. I nikt nam tej łączącej nas więzi nie odbierze.

John wpatrywał się w jej twarz. Potem mocno przytulił Irenę.

- Dobrze nam wyszła Sadie - powiedział.

- Tak - zgodziła się z nim, głos miała przytłumiony, bo stała z głową wciśniętą w ramię Johna. Cofnęła się o krok, podniosła wzrok na jego twarz, tak bliską teraz jej twarzy, i zapytała: - Co jeszcze zrobiliśmy dobrze?

John popatrzył na nią, w jego oczach coś mignęło

i Irenę wiedziała, że myśli o tym, by ją pocałować. Wiedziała to, bo pamiętała, jak kiedyś przypatrywał się różnym częściom jej twarzy, zanim ją pocałował; granicy włosów nad czołem, uchu, brodzie, a potem na koniec

ustom, patrzył wprost na nie, zanim ją pocałował, jakby spokojnie czekając, żeby je dostarczono, a teraz się cieszył, że wreszcie się pojawiły. „Pocałunek z kapeluszem w ręku” - nazwała to Irene, jak tylko zaczęła umawiać się z Johnem i opisywała Valerie, jak on całuje. „Zaczyna tak niezobowiązująco - mówiła - ale wcale tak się nie kończy. Aż się palce u nóg podkulają, wiesz? Ależ ten facet potrafi całować”. Wciąż jeszcze nie trafiła na nikogo, kto potrafiłby tak całować jak John.

Stała bez ruchu, czekając, na co John się zdecyduje, ponieważ to, co teraz zrobi, miało przesądzić o wszystkim, co się potem stanie.

- Co jeszcze zrobiliśmy dobrze... - odezwał się, marszcząc czoło. A potem: - No cóż, przykro mi, Irene. Nic mi nie przychodzi na myśl.

Minęła chwila, a potem Irene roześmiała się i powiedziała:

- Mnie również nie. - I on też zaczął się śmiać. Stali na rogu, śmiejąc się i śmiejąc. W końcu John,

z przesadnie surowym wyrazem twarzy, pogroził palcem najpierw jej, a potem sobie, i stwierdził:

- To wcale nie jest śmieszne!

- Nie - zgodziła się Irene.

Objął ją ramieniem i ruszyli. Powiedział:

- Chodź. Zabieram cię do domu.

Mocno obejmował ją ramieniem przez całą drogę powrotną, a do tego przeszła kilka kroków, zanim się zorientowała, że ją objął; stało się to tak swobodnie, tak naturalnie.

Irene aż podskakuje, bo ktoś stuka ją w ramię. Odwraca się i widzi Huguette.

- Och! - odzywa się. - Witam.
- Widzę, że siedzi pani sama - mówi Huguette. Pokazuje na krzesło. - Czy mogę?
- Oczywiście. Czekam na przyjaciółkę.
- Przegląda pani czasopisma dla panien młodych?
- No tak. Ale prawda jest taka, że niełatwo mi z tym wszystkim. Mam wrażenie, że moja córka popełniła okropny błąd.

- O, naprawdę?
- Nie z powodu pani syna - pośpiesznie dodaje Irenę. - Tylko że oboje są za młodzi.
- Za młodzi, żeby...?
- Żeby się pobierać! Za młodzi, żeby się decydować na małżeństwo! To znaczy, wiem, że pani wyszła za mąż bardzo młodo i pani uważa, że wiek to po prostu liczba, ale to nie do końca jest prawda.

Huguette pochyla się do przodu.

- Może da się to widzieć na dwa sposoby. W moim życiu ja mam rację. W pani życiu ma ją pani. Ale w tej chwili mówimy o Sadie i Ronie. Jak pani sądzi, do czego oni są za młodzi?

- Za młodzi, żeby podejmować takie zobowiązanie! Małżeństwo to bardzo wielkie zobowiązanie! A przynajmniej tak powinno być. - Irenę te ostatnie słowa dodaje nieco ciszej.

- Co jeszcze?
- Są za młodzi, żeby mieć dzieci.
- A, tak! Tutaj się z panią zgadzam.
- I są za młodzi, żeby rezygnować z życiowej swobody, którą teraz powinni się cieszyć.

- Ta życiowa swoboda. Po co ona jest?

- Po to, żeby się bawili, zanim się ustatkują. Żeby nikt na nich nie wpływał, kiedy będą się zastanawiali, jak chcą przeżyć życie. Czyż nie?

- Tak. Ale... a jeżeli będą się dobrze bawili w małżeństwie? A jeżeli potrafią razem zdecydować, jak chcą przeżyć życie?

Teraz Irenę robi się już zła. Patrzy na zegarek.

- Przepraszam, jeżeli jestem niegrzeczna, ale już muszę iść.

- Czy przyjaciółka już przysłała? - Huguette obraca się na krześle.

- Nie - odpowiada Irenę. - Tylko że ja... Niech pani posłucha, nie sądzę, żeby ta nasza rozmowa do czegoś doprowadziła. Mamy bardzo różny punkt widzenia. Ja pragnęłam, żeby moja córka była naprawdę pewna, że chce wyjść za mąż, zanim się zdecyduje na ten krok. Nie uważam, by była wystarczająco dojrzała, żeby podejmować taką decyzję. Znaczący, niech pani da spokój, czy pani naprawdę myśli, że pani syn jest wystarczająco dojrzały?

- Mój syn, tak. Pani córki nie znam za dobrze, ale już...

- Na dodatek moja córka musi się uporać z czymś, co jej się przydarzyło, a co było bardzo traumatyczne.

- Tak. Ron mi opowiadał.

- No to myślę, że potrafi pani zrozumieć, iż to nie jest właściwy moment, by podejmowała pochopną decyzję.

- Ale podjęła. Taki mamy przed sobą fakt. A teraz pytanie: czy podtrzyma tę decyzję? Czy ona jest dla niej dobra? Dla niej, Irenę, nie dla pani. - Wstaje i bierze torebkę. - Czasami w życiu dokonujemy wyboru. Czasami

to życie dokonuje wyboru za nas. Życzę, by zyskała pani pewną harmonię ducha.

Irene nie ma pojęcia co powiedzieć. Huguette skłania głowę i odchodzi.

Jakaś młoda kobieta wchodzi ze starszą, która, jak sądzi Irene, musi być jej matką, i zaczynają razem przeglądać czasopismo.

- To ta suknia, o której ci mówiłam. - Pokazuje młoda kobieta, a matka przygląda się bacznie.

Potem patrzy na córkę i mówi:

- Uważam, że jest idealna.

- Naprawdę? - upewnia się młoda. - Bądź szczerą, mamó. Matka się uśmiecha.

- Jestem całkowicie szczerą. A teraz poszukajmy butów i tortu.

Przez chwilę Irene ma dziwne wrażenie, że musiała je nasłać Huguette. Ale oczywiście nie zrobiła tego; Irene często widywała w tej kawiarni młode kobiety ślęczące nad czasopismami z modą ślubną.

Wraca do swojego stosu czasopism. Trzeba przyznać, że jest tu kilka ślicznych pomysłów. Naprawdę ślicznych.

Zanim pojawia się Valerie, Irene wybrała kilka rzeczy, które chce jej pokazać. O jednym z tortów Valerie mówi: „Cała Sadie!” - Irene się zgadza. Kupi to czasopismo i kiedy wróci do domu, zapyta córkę, co sądzi o wyprawieniu w październiku przyjęcia dla uczczenia jej ślubu. Poprosi ją także o przebaczenie. Potem może Sadie pomoże jej przygotować obiad. Chce zrobić coś pysznego dla Johna na pożegnanie. Coś, co John zapamięta.

Sadie siedzi na podłodze i zawija kruche przedmioty w gazetę, żeby je włożyć do pudeł. W pierwszej chwili, kiedy słyszy pukanie, nie odpowiada. Ale potem mówi: „Tak?” - w taki sposób, który jak ma nadzieję zasugeruje, że jest stanowczo za bardzo zajęta, by odbyć kolejną rozmowę od serca. Niedobrze jej się robi od tych rozmów od serca.

Tego ranka, kiedy matka wyszła, ojciec przyszedł z jakimiś pokrętnymi wyjaśnieniami, jak to nie powinna osądzać Irenę za nieufność okazywaną przez nią nie tylko w stosunku do małżeństwa Sadie, ale w ogóle w stosunku do tej instytucji. Opowiedział jej, jak to pewnego razu, kiedy Irenę była małą dziewczynką, leżała na podłodze w salonie, rysując kredkami. Jej rodzice też tam byli, ojciec czytał gazetę, matka coś cerowała. „William?” - usłyszała Irenę, jak mówi matka. Ojciec nie zareagował. „William?” - powtórzyła i znowu ojciec nie zareagował. Po trzecim razie matka Irenę rzuciła koszyk z szyciem na podłogę i wyszła do kuchni. Irenę zastała ją siedzącą

przy stole, ze skrzyżowanymi ramionami, z oczami bez wyrazu. „Co się stało?” - zapytała Irenę. „Idź do łóżka”

- poleciała matka. „Powinnaś była mówić głośniejsze”- zwróciła jej uwagę Irenę, a wtedy matka na nią spojrzała. „Ty głupia dziewucho - powiedziała. - Też sobie wymyśliłaś, co może pomóc”.

- Twoja matka na własne oczy widziała wiele goryczy u obojga swoich rodziców - tłumaczył John Sadie.

- Nie miała wyboru, musiała bać się małżeństwa, jeżeli dorastała w takich warunkach.

- A co z tobą, tato?

- Hm? - zapytał; zawsze reagował w ten sposób, kiedy grał na zwłokę. Wielu mężczyzn tak robi, zauważyła.

- Czy ty odczuwałaś taką samą nieufność? - zapytała.

- Nie - odparł. - Moja była inna.

Wtedy zadzwonił Ron, a ojciec z ulgą wycofał się z pokoju. Ron był trochę smutny, bo myślał, że Sadie chce wyplątać się z małżeństwa, które tak pośpiesznie zawarli. Ale przemyślał to sobie, powiedział jej, i postanowił, że woli ją stracić, niż zmuszać, by poczuła, że straciła siebie samą. Powtarzał, że nigdzie się nie wybiera.

Sadie żałowała, że nie jest z nim. Tęskniła za nim.

- A jakie są twoje wady? - zapytała.

- Och, potrafię być bardzo humorzasty - odrzekł.

- Poza tym wcale mnie tak naprawdę nie obchodzi, czy mam skarpetki do pary.

Na koniec Sadie obiecała, że porozmawia z nim później tego wieczoru, bo teraz jest zajęta pakowaniem. Wtedy humor mu się poprawił, chociaż musiałyby się też spakować, gdyby przeprowadzała się do akademika. Wciąż

jeszcze nie zrezygnowała ze swojego pokoju w akademiku. Mogła tam się od razu wprowadzić, zostać studentką pierwszego roku, dzielić pokój z dziewczyną z Dakoty Północnej, Laurą Erickson, do której napisała kilka mejli i z którą raz rozmawiała przez telefon. Wydawała się dosyć miła. Powiedziała Sadie, że uwielbia stary zespół Led Zeppelin, wyłącznie winyle. Sadie też go lubiła. Pytała, czy Sadie lubi niebieski, bo chciała przywieźć jakieś niebieskie zasłony, takie proste, bez falbanek. Sadie zapewniła ją, że uwielbia niebieski i nienawidzi falbanek.

Po tym telefonie Sadie myślała o tym, jakby to było mieszkać w wielkim budynku pełnym ludzi w jej wieku, i jak bardzo się cieszyła na całonocne pogawędki, o których tyle słyszała. Myślała o uczeniu się przy biurku w pokoju, o otaczających ją książkach i papierach, o lampie na wysięgniku świecącej w dół. I może o pustym pudełku po pizzy na podłodze.

Ale teraz ma przed sobą matkę z otwartym czasopismem w ręce.

- Popatrz, co znalazłam! - Matka pokazuje jej tort weselny zrobiony z babeczek.

Sadie patrzy na tort, a potem na jej twarz i i zalewa się łzami.

Irenę upuszcza czasopismo i siada na podłodze obok córki. Obejmuje Sadie, kołysze ją delikatnie, mówiąc:

- Wiem.

Sadie się odsuwa.

- Nie, nie wiesz! Nie wiesz, dlaczego ja płacę!

- Może nie - mówi Irenę. - Ale czy mogę powiedzieć ci, jak myślę, dlaczego płaczesz?

Sadie wzrusza ramionami. Irene przysiada na piętach.

- Myślę, że płaczesz dlatego, że jesteś naprawdę zdezorientowana i jesteś zła, że jesteś zdezorientowana. Myślisz, że wplątałaś się w coś, co może być dla ciebie kompletnie nieodpowiednie, ale wyplątywanie się z tego teraz mogłoby za bardzo zranić zbyt wielu ludzi, łącznie z tobą samą. W jednej chwili uważasz, że to najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłaś; w następnej jesteś przerażona, że ją podjęłaś. Myślisz o małżeństwie swoich rodziców, i nie jesteś pewna, czy twoje się też nie skończy. Ale co najważniejsze, naprawdę kochasz Rona.

Teraz Sadie zaczyna jeszcze głośniejsze płakać. Matka przysuwa się bliżej i kładzie rękę na jej kolanie.

- Sadie, w małżeństwie moich rodziców nie widziałam niczego poza samotnością i gniewem. Nie potrafili dotrzeć do siebie nawzajem. Więc to, co wyniosłam, sprowadza się do...

- Wiem! - przerywa jej Sadie. - Tata mi powiedział.

- Dobrze. A czy mówił ci też o małżeństwie swoich rodziców?

- Wiem, że jego mama zabrała się i odeszła, kiedy był jeszcze malutki. I że to, co mu po niej zostało, było w tamtym pudełku po cygarach.

- Jakim pudełku po cygarach?

- Tym, w którym trzymał trochę jej rzeczy. To było... Nie wiem, pusta oprawka po szmince. Szal. Pocztówki, które mu przysyłała. Zachował to do wyjazdu na uniwersytet, a dzień wcześniej spalił.

- Opowiedział ci o tym?

- Tak. Ty nie wiedziałaś? -Nie.
- Jak mogłaś tego nie wiedzieć, mamó? Irenę kręci głową.
- On wie dużo więcej o tobie niż ty o nim.
- Tak. Pod tym względem byłam egoistką. - Spogląda na córkę. - Ty nie jesteś taka, Sadie.

- Nie wiem, jaka jestem.

- No to ci powiem - mówi Irene. - Jesteś inteligentna, lojalna do przesady, ciekawska, uczciwa. Dbasz o ludzi i o zwierzęta, i ogólnie o ten świat. Jesteś pełna radości, łatwa w pożyciu. Mądra ponad swój wiek. Pewna swoich umiejętności podejmowania decyzji i trwania przy nich.

- Aż do teraz - wtrąca Sadie.

- Nie mówmy, że coś się skończyło - ciągnie Irene. - Powiedzmy, że jesteśmy w pół drogi. - Wstaje niezgrabnie. - Kolana mnie bołą, muszę na czymś usiąść. Chodź, usiądź na łóżku ze mną.

- Stąd też cię słyszę.

Sadie nie chce siedzieć na łóżku z matką. Ma ochotę zadzwonić do Meghan i pójść z nią gdzieś. Chciałaby, żeby ten brzemienny w skutki dzień nigdy się nie zdarzył. Chciałaby, żeby obok niej siedział Ron i trzymał ją za rękę. Chciałaby, żeby matkę nie bolały kolana, żeby nie robiła się taka stara, kiedy jest taka samotna.

Irene kontynuuje:

- Właśnie wróciłam ze sklepu. I przez całą drogę do domu po głowie tłukła mi się jedna myśl: To było wtedy; teraz jest teraz.

- A co masz na myśli, kiedy to mówisz? - pyta Sadie. -
Dlaczego tak myślisz?

-Och... powodów jest mnóstwo. Bo pod wieloma względami żałuję tego, jak żyłam w przeszłości, i myślę, że pozwalałam, by mi to przeszkadzało w moim teraźniejszym życiu. I skupiam się na tym, że nie chcę, żebyś wychodziła za męża, a ty już wyszłaś. W księgarnianej kawiarence widziałam matkę z córką, które naprawdę razem cieszyły się z tego, że córka wychodzi za męża. I bardzo mi było wstyd, że tak się zachowywałam. To prawda, że ta córka była starsza od ciebie. Ale to nie znaczy, że twoja miłość jest mniej prawdziwa albo że nie masz równie dobrych szans.

- Poza tym może pan młody też ma tylko osiemnaście lat -
dodaje Sadie z uśmiechem.

Irenę się śmieje.

- Owszem. To prawda! Ale tak czy owak, kiedy szłam do domu, myślałam, że może tamta matka chciała, żeby jej córka poślubiła kogoś innego niż ten ktoś, kogo wybrała. Może było mnóstwo rzeczy, do których mogła mieć obiekcje. Ale oto, co zrobiła: stała ze swoją córką i mówiła: „To twój wybór i jestem po twojej stronie”. I to właśnie chcę ci powiedzieć. Chcę ci jeszcze powiedzieć, że cieszę się ze względu na ciebie, że nie pozwoliłaś, żeby lęk powstrzymał cię przed zrobieniem tego, co podpowiadało ci serce. Trzeba dużo odwagi, żeby wyjść za męża, i dużo pracy, by wytrwać w małżeństwie, kiedy nadejdą ciężkie czasy. A ciężkie czasy zawsze nadchodzą.

- Dlaczego?

- Och, dlatego że taka jest uroda naszego gatunku.

Jesteśmy skomplikowanymi i przekornymi istotami. Kto wie, czy naprawdę powinniśmy próbować żyć tak, jak tego wymaga małżeństwo? Ale coś w nas wydaje się na to nalegać.

- Mamo?

- Tak?

Sadie czeka. Jeżeli zaczeka wystarczająco długo, jeżeli naprawdę się przyłoży, to odpowiednie słowa przyjdą, wie to. Siedzi, wpatrując się w dziurę na kolanie w dżinsach, i w końcu mówi:

- Czy wiesz, co jest najlepsze ze wszystkiego, czego mnie nauczyłaś?

- Nie.

- Widzisz? Wiem, że nie wiesz. Ale niedługo ci pokażę. I czy mogę ci jeszcze coś powiedzieć?

- Oczywiście.

- Tort z babeczek? Henry by padł.

Przez całą drogę powrotną w samolocie John prawie się nie porusza. Wygląda przez okno i myśli o Sadie, Irene i potem w końcu o Amy. Obawiał się na początku, że ta rozłaka spowoduje wyrwę w ich związku, że dotarł do miejsca, z którego nie będzie mógł powrócić, zarówno dosłownie, jak i w przenośni; i wcale nie był pewien, czy nie odczuwa głównie ulgi z tego powodu. Ale tych kilka godzin w samolocie przekonuje go, że jest inaczej. Im bardziej rosła odległość pomiędzy nim a Kalifornią, tym jego uczucia w stosunku do Amy i Irene stawały się bardziej dlań klarowne. Czy chce się znowu ożenić? Chyba tak. Czy to Irene jest znowu tą jedyną? Nie. Kiedy z nią był, przemknęło mu przez głowę, że może tak. Gdy usiadła na łóżku, kiedy rude włosy spadły jej na twarz, i wysunęła bluzkę spod paska, obudziły się w nim tysiące uczuć, łącznie z tym, które mówiło: „Moglibyśmy znowu spróbować”. Czuł wielką radość, kiedy tak myślał. Po pierwsze, byłby codziennie tam, gdzie Sady. I może w końcu udałoby im się zbudować z Irene ten rodzaj

bezpiecznej przystani, który zawsze z nią pragnął mieć, ten pałac nas dwojga, jak sobie wyobrażał.

Wydawało mu się, że Irenę też musiała brać taką możliwość pod uwagę, kiedy tam był; odnosił wrażenie, że od czasu do czasu wyczuwa z jej strony coś w rodzaju pragnienia, by zostali razem. Kiedy podawała mu talerz z jajecznicą na rzadko, taką jak lubił. Kiedy siedziała przy nim, martwiąc się o Sadie, w obliczu czegoś, co mogło okazać się druzgocącą stratą, potrafili się nawzajem pocieszać - skąpa była ta pociecha, niemniej jednak pociecha. Ale jej nie zapytał. Obserwował jej twarz podczas ostatniego obiadu, jaki razem jedli, żeby się przekonać, czy dostrzeże coś w rodzaju zaproszenia, jakiś żal; odczekał trochę, by coś powiedziała, nim zamknął drzwi i zszedł złapać taksówkę. W końcu nie zapytał. Na początku wydawało mu się, że to dlatego że się bał. Potem uświadomił sobie, że nie chce. Pragnie wrócić do Amy. Ponieważ to ona daje mu coś, czego Irenę nigdy nie potrafiła ani nie chciała dać: poczucie niezachwianej stabilności. Zaraźliwą radość. A on w odpowiedzi będzie mógł jej dać coś, czego nigdy nie mógł - ani nie chciał - dać Irenę: miłość bez osłonek. Och, pod pewnym względem pokochał z powrotem Irenę, ale nie była to namiętność, tylko współczucie. A to znaczy, że ona jest jego przyjaciółką, a on jej przyjacielem. Może niczego więcej nigdy nie powinni byli chcieć.

Kiedy ląduje w St. Paul, jest zbyt późno na telefon do Amy, ale i tak dzwoni.

Słysząc cztery sygnały, zanim ona odbiera.

- Amy - mówi John. - Przepraszam, że cię zbudziłem. To ja.

- O, John. Jak się masz? Wszystko w porządku?
- Wróciłem. Wszystko w porządku... Czy mogę wpaść do ciebie?

- No... jest dosyć późno.

- Wiem, ale... Nie musisz wstawać wcześniej jutro rano, prawda?

-Nie.

- Więc...

- Hm. Może jutro?

- Jakoś tak potrzebuję się z tobą zobaczyć, Amy.

- Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, możesz to powiedzieć przez telefon. Zrozumiem.

- Co zrozumiesz?

- No, John, rozumiem, że wciąż jesteś zakochany w Irene. Zrozumiałam to, kiedy nazwałeś ją „żoną”, a nie „byłą żoną”, kiedy się pakowałeś, żeby polecieć do San Francisco.

John przystaje, a pasażer, który szedł za nim, uderza go swoją torbą.

- Przepraszam! - mówi, a John macha ręką, że nic się nie stało.

Przechodzi na bok w terminalu i staje przy stoisku Rocky Mountain Factory, żeby kontynuować rozmowę.

- Ja tak powiedziałem? Ja nazwałem ją „moją żoną”?

- Tak, tak było, powiedziałaś o niej „moja żona”. Więc jakoś się wtedy zorientowałam. Próbowałam sobie wmawiać, że kiedy wrócisz, podejmiemy wszystko w tym miejscu, w którym przerwaliśmy, ale...

- I to właśnie chcę zrobić, Amy. To chcę zrobić. Nie jestem już zakochany w Irene. Kocham ją, to prawda, ale jak przyjaciółkę. Uczciwie.

Amy milczy.

- Uczciwie!

- Gdzie jesteś? - pyta w końcu.

- Stoję na lotnisku przy Rocky Mountain Chocolate Factory.

- No dobrze. To przyjeżdżaj. I przywieź mi jabłko w karmelu.

- Już zamknięte. Ale jeżeli chcesz, to rozbiję szybę. Amy się śmieje, a John myśli, że jeżeli się śmieje, to chyba nie ma mu nic złego do zakomunikowania.

Kiedy podjeżdża pod jej dom, Amy wychodzi na chodnik, a potem prowadzi go ze sobą na ganek.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jak sobie tu usiadziemy? - pyta.

Oho, myśli John.

Siada na rattanowej sofie; ona sadowi się na fotelu naprzeciwko, i John znowu myśli: oho.

Amy uśmiecha się do niego, ręce trzyma złożone na kolanach.

- Więc po prostu powiem ci to, co mam do powiedzenia, a potem wysłucham wszystkiego, co ty zechcesz powiedzieć. Okay?

Z domu słychać dzwonek jej telefonu. Amy spogląda w tamtym kierunku, a potem wraca wzrokiem do Johna.

- Nie mam pojęcia, kto może dzwonić do mnie tak późno - mówi.

Zaczyna się! - myśli John.

- Amy - mówi. Amy podnosi dłoń.

- Ja pierwsza, pamiętasz?

- Racja. Okay. Zaczynaj.

- No więc kiedy pojechałeś do San Francisco, niemal od razu usłyszałam, że głos ci się zmienił. I nie tylko głos, ale twoje uczucia. Czułam, jak oddalasz się ode mnie. I próbowałam to z siebie wypierać, ale za każdym razem, kiedy rozmawialiśmy, coraz bardziej to zauważałam.

Odchrząkuje, poprawia się na fotelu.

- Myślałam o tym, że jesteście tam z Irenę, związani ze sobą tak, jak wiąże sytuacja kryzysowa, i wiedziałam, że się do siebie zbliżycie. A potem... Potem na nowo odkrywacie swoje wzajemne uczucia, a to doprowadzi do tego, że znowu zechcecie być razem. Co jest całkowicie naturalne. Ja to rozumiem. Gdybym mogła być znowu z moim mężem, to też bym była.

John siedzi pochylony do przodu, przysłuchując się jej z uwagą. Na te ostatnie słowa odchyła się jednak do tyłu i wbija wzrok we własne dłonie.

- Wiem, że gdybyś mogła, to byłabyś ze swoim mężem, Amy. Wydaje mi się, że wasze małżeństwo było wspaniałe.

- Było. - Jej głos przepełniony jest smutkiem.

- Ale miłość w tym wieku musi być skomplikowana. Nie sądzisz? Chcę, żeby to, co jest między nami, było najlepsze ze wszystkiego, na co nas stać. Wiem, że wciąż kochasz swojego męża. Ale masz przed sobą resztę życia.

Jej telefon znowu dzwoni i tym razem Amy wstaje, żeby odebrać.

- Przepraszam. Lepiej sprawdzę, kto to. Podchodzi do telefonu, odbywa krótką rozmowę

i wraca z uśmiechem. John czeka, by powiedziała mu,

o co chodzi, ale Amy tego nie robi, a on rozumie, że nie ma prawa zapytać, tak naprawdę. Wygląda na to, że coś się zmieniło.

No cóż. Jest zmęczony. Oszczędzi jej konieczności, by mu musiała o tym mówić.

Pochyliła się, by pocałować ją w czoło.

- Odchodzisz? - pyta Amy.

- Tak, jest późno. -Ale...

- W porządku - mówi John. - Pewnie kiedyś się zobaczymy.

Amy smutnieje; otula się ciaśniej swetrem; nocne powietrze jest chłodne.

John rusza w dół schodami.

- John? - woła go Amy.

Udaje, że nie słyszy, i kieruje się do samochodu. Słyszy, jak drzwi się zamykają. Wsiada, mija pierwszą przecznicę, a potem zawraca, podjeżdża pod dom Amy, podchodzi do drzwi i stuka głośno.

Amy otwiera i mówi:

- Och, dobrze. Wchodź do środka. John stoi bez ruchu.

- Czy z nami koniec?

- Mam nadzieję, że nie.

- To nie dzwonił jakiś inny facet? -Nie!

- Dlaczego wzięłaś psa beze mnie?

- Bo myślałam, że ciebie tracę, i chciałam mieć chociaż jego.

- Żałuję, że już mu nadałaś imię.

- Możemy mu je zmienić. I tak nie przychodzi, jak go wołam. Chyba mu się to imię nie podoba. Możemy nazwać go tak, jak będziesz chciał, Johnie. Wejdz do środka, proszę.

John wchodzi i całuje ją tak długo, że aż mu się w głowie kręci. Potem siada przy stole kuchennym i wypija z Amy kieliszek wina, i słucha, jak ona mówi. To jedna opowieść, którą Amy przekazuje w postaci typowego dla siebie, rozwlekłego, chaotycznego monologu, a którą na zawsze zamierza zachować w pamięci:

- Siedziałam wczoraj w swoim samochodzie na czerwonym świetle i śpiewałam do wtóru z Johnnym Mathisem, puszczała *Chances Are* przez radio, a ja po prostu uwielbiam tę piosenkę, a co do Johnny'ego Mathisa, no cóż. Wystąpił raz w programie Phila Donahue - pamiętasz program Phila Donahue? Wtedy pierwszy raz okazano kobietom w ten sposób szacunek. Pamiętam, że jak oglądałam to pierwszy raz, to pomyślałam: O mój Boże, on wręcza takiej zwykłej kobiecie mikrofon i po prostu pozwala jej się wypowiedzieć! Znaczący, myślałam, że to pomyłka, po prostu uwierzyć nie mogłam, że mógł okazać taki szacunek zwykłym kobietom! Które tak bardzo zasługują na szacunek, ale on pierwszy pokazał to w telewizji. Och, uwielbiałam Phila Donahue, mój pierwszy przepis na ciasto do tarty pochodził z programu Phila Donahue. Ale tak czy owak Johnny Mathis występował w programie Phila Donahue i ta kobieta podniosła rękę, i Phil podbiegł, ten człowiek tak się zawsze nagimnastykował przy każdym programie, jaki prowadził, podbiegał do każdej kobiety, która

chciała coś powiedzieć, a marynarka aż mu powiewała, tak pędził. Ale ta kobieta na widowni powiedziała do Johnny'ego Mathisa: „Nie wiem, czy uzna pan to za komplement, Johnny, ale dzięki panu łatwiej się czyści toalety”. I ludzie się śmiali, ale dokładnie wiedzieli, o co jej chodziło, i wiesz co, jej słowa zostały ze mną przez te wszystkie lata. Ale czekaj, chodzi o to, że siedziałam w swoim samochodzie na czerwonym świetle i śpiewałam razem z Johnnym Mathisem, i nagle poczułam, że ktoś mi się przygląda, i obejrzałam się, i tam siedziała w swoim samochodzie moja sąsiadka Jenny, i uśmiechała się tak szeroko jak kot, który zjadł kanarka. Opuściłam okno i powiedziałam: „Śpiewam sobie z radiem”. „Wiem” - powiedziała. „To Johnny Mathis” - powiedziałam, a na to: „Och, Boże, Johnny Mathis!”. *Chances Are* - powiedziałam jej, a ona położyła sobie rękę na sercu. A wtedy światła się zmieniły i ona zawołała: „Zadzwoń do ciebie!”. I to była taka pełna radości chwila. Jedna z tych przypadkowych chwil radości, kiedy śpiewasz w samochodzie, a ktoś, kogo lubisz, widzi cię, jak robisz coś takiego niemądrego, i wie dokładnie, dlaczego, i dzieli tę chwilę z tobą. I po prostu wydaje mi się, że powinniśmy zbierać te jagody radości wszędzie, gdzie je znajdziemy, i wkładać je do naszych dużych żółtych wiader. I wiesz, kto dzwonił, kiedy tu byłeś? To była Jenny, nagrałam jej wiadomość po tym, jak zadzwoniłeś i miałeś wpaść, a ja nie byłam pewna, co zrobić. Oddzwoniła, żeby mi powiedzieć, żebym się lepiej otworzyła i przyznała, co czuję do ciebie, i nie pozwoliła ci odejść. Więc teraz już wiesz. Zostań.

W niedzielę po południu po Świącie Dziękczynienia Ireneę odbiera telefon po pierwszym dzwonku.

- Henry? - mówi.

Spodziewała się tego telefonu. Po pierwszym, mającym na celu wyjaśnienie sytuacji, spotkaniu Henrygo i Jamesa z terapeutą, James oznajmił Henry'emu, że jest „niepodlegającą negocjacom koniecznością”, by ten przestał tyle pracować, bo muszą mieć więcej czasu dla siebie. Tak więc Henry powiedział Ireneę, że zamierza sprzedać interes i chciałby pracować dla niej. Mają zacząć od jutra.

- Ale zdajesz sobie sprawę, jakie jedzenie będę podawać - zapowiedziała mu, zanim się zgodziła go zaangażować. - Na przykład zapiekanki z fasolką szparagową.

A Henry westchnął i oświadczył:

- Co mogę powiedzieć? Niczego to ode mnie nie będzie wymagało.

Ale to nie Henry dzwoni. To John.

- Cześć! - Tak się cieszy, że słyszy jego głos. - Jak się masz?

- Czy siedzisz?
- Właściwie to leżę.
- Nawet lepiej. Och, myśli Ireneę.

Bierze oddech, a potem mówi promiennie:

- Żenisz się. Żenisz się?
- Żenię się. Trochę to takie jakby nagłe, ale nie robię się młodszy. Zresztą obecnie to w naszej rodzinie niemal dziedziczne obciążenie, czyż nie?

- Gratulacje. - Ireneę bardzo cicho odchrząkuje.

- Z tobą w porządku? - pyta John.

- Chodzi ci o to, że się żenisz? Oczywiście, że tak. Jestem szczęśliwa z twojego powodu.

Ireneę myśli, że dokładnie wie, jak John w tej chwili wygląda. Jak mały chłopczyk, który się zastanawia, czy nie wpadł w kłopoty. Brwi ma ściągnięte, kosmyk włosów sterczy mu na baczność.

- Naprawdę - zapewnia go.

- Między tobą a Jeffreyem dobrze się układa?

- Yhm. - Nie. Po miesiącu z nim znów usiadła do komputera. Ale nie ma co psuć Johnowi tej chwili. Ireneę waha się, a potem mówi: - Śniłeś mi się ostatniej nocy.

- Opowiedz mi, ale nie spodziewaj się po mnie, że ci ten sen zinterpretuję.

- To było naprawdę dziwne. Jeździłam po całym kraju i wszędzie, gdzie pojechałam, spotykałam ciebie. Kiedyś jechałam drogą gdzieś w górach; to były bardzo wysokie góry i po drugiej stronie drogi mijala mnie ciężarówka. Taka platforma, naprawdę długa, wiozła tarcicę, a ty

siedziałeś na końcu obok czerwonej flagi ostrzegawczej. Ale nie byłeś ostrożny, kiedy tak siedziałeś ze zwisającymi w dół nogami. I byłeś taki młody, byłeś znowu młody, miałeś czarne włosy i wąsy, takie jak kiedyś nosiłeś. I uderzyło mnie to, że byłeś taki młody, i popatrzyłam w lusterko, żeby zobaczyć, czy ja też jestem młoda, ale nie byłam. Byłam nawet starsza, niż jestem teraz. Miałam te wszystkie zmarszczki, jak naprawdę stara kobieta. John milczy, a potem mówi:

- Nie jesteś jeszcze taka stara. I pora wyrzucić ostrożność na cztery wiatry.

- Mimo wszystko interpretujesz.

- Na to wychodzi.

- Powiedziałeś już Sadie, że się żenisz?

- Nie, najpierw chciałem tobie powiedzieć. Trochę ją to zasmuci, tak sądzę. Wiesz, jak dzieci zawsze sobie wyobrażają, że rodzice znowu się zejdą.

- Tak. To prawda.

- Ja też jestem trochę smutny. Irene się śmieje.

- Wiem. Ale przede wszystkim jesteś szczęśliwy. I ja również. I Sadie też będzie.

- Będzie potrzebowała trochę czasu.

- Pewnie tak.

- I będzie miała ciebie, żebyś jej pomógł.

- I ciebie też, John. Tak jak zawsze.

- Czy jest taka szczęśliwa, jak można sądzić po głosie?

- Wydaje się, że tak. Naprawdę. Zachwycona college'em, zachwycona małżeństwem. Zaprosiłam ich wczoraj wieczorem na kolację, Huguette też. Wypróbowaliśmy parę nowych przepisów: klops zapieczony z kulkami z ziemniaków dostał od wszystkich A. Nawet A+ od Rona.

- Irene? Chcę cię o coś zapytać. Amy i ja pobieramy się za trzy tygodnie. Chcę, żeby Sadie przyjechała.

- Oczywiście!

- Okay. No to... - Milknie, a ona mocniej zaciska palce na słuchawce, nie dopuszczając, by ogarnęło ją uczucie, które jej również zagraża.

- No to teraz się rozłączę - kończy John.

- Wiem. - Zaczyna się. W gardle ją ściska.

- Wiedziałaś, że zamierzam się rozłączyć.

- Wiem, że to dla ciebie trudne mówić mi o tym. Ale naprawdę bardzo cieszę się ze względu na ciebie, John.

- Dziękuję ci... Irene.

Jego głos jest teraz miękki, aż nazbyt serdeczny w sposób, który szarpie coś w jej wnętrzu. Irene wyłącza się i siedzi przez chwilę bez ruchu, potem idzie do garderoby i wyciąga swój album ślubny. Przegląda go znowu, a potem zawija szczelniej w mały koczyk, którym otulała Sadie, kiedy ta była noworodkiem, i z powrotem odkłada na wysoką półkę.

Włącza komputer i czeka, żeby się załadował. Na biurku stoi oprawione w ramkę zdjęcie kowbojki, które Valerie dała jej wraz z prezentem, wiele lat temu, wiedząc, że Irene zachwyca się kowbojkami i kiedyś sama chciała być kowbojką. Kobieta ma rumiane policzki, jasne oczy i kręcone włosy, wymachuje lassem nad głową, żeby złapać to coś, na co poluje. Irene przygląda się bacznie, jak tamta stoi w strzemionach, pochylając się

pod wiatr. Potem delikatnie rozbiera ramkę, uważając, żeby nie podrzeć cienkiej odbitki. Kładzie ją na łóżku, idzie do garderoby, wyjmując swój album ślubny i przynosi go na łóżko. Pomiędzy dwoma ostatnimi kartkami wetknięte jest zdjęcie tego małego drewnianego domku, o którym opowiadała Johnowi, samotnego, zasypanego w zaspach. Zamierzała zgnieść to zdjęcie i je wyrzucić. Ale teraz przekonuje się, że nie potrafi tego zrobić. Jest w nim jakaś prawda, historia jej i Johna, której żałuje, ale którą jednak chce uszanować. Wkłada zdjęcie z powrotem do albumu, pod plastik, żeby znowu nie wypadło. Ale obok umieszcza również kowbojkę, tak jakby odjeżdżała z determinacją od domku.

Wpatruje się w ten obrazek, w kowbojkę w wysokich brązowych butach i niebieskiej spódnicy, czerwonej bluzce z podwiniętymi rękawami, czarnym kapeluszu zsuniętym daleko na tył głowy, w niezłomną determinację w jej oczach.

Wyłącza komputer i podchodzi do fotela w kącie sypialni. Kładzie ręce na kolanach i zamyka oczy, a potem próbuje oczyścić umysł. Valerie mówiła jej ostatnio, że robi to codziennie: siada w milczeniu, z pustym umysłem, czekając, aż spłynie na nią duch.

- Czasami tak się staje, czasami nie. Ale zawsze dobrze mi robi, jak w taki sposób pomyślę o niczym - wyjaśniła.

Irene czeka. Nie udaje jej się myśleć o niczym. Myśli o tym, że jej firma cateringowa będzie miała najlepsze puree z ziemniaków na świecie. Myśli o tym, że warto by napić się kawy. Myśli o bluzkach, które powinna odebrać z pralni, o rachunkach, które trzeba zapłacić. I o tym, jak będzie wyprawiała Rona do Minnesoty na ślub Johna, jeżeli jej zięć zechce polecieć.

Może być mu miło zobaczyć miejsce, gdzie urodziła się Sadie. A potem przypomina sobie rozmowę, którą odbyły z Valerie po tym, jak rozleciał się kolejny związek Irene. Valerie powiedziała, że może Irene potrzebna jest mała przerwa w staraniach, by kogoś znaleźć, może powinna porobić coś innego.

- Na przykład co? - zapytała wtedy Irene. - Odpowiedzią jest miłość. Nigdy nie uważałaś na lekcjach hipisów?

- Odpowiedzią jest miłość - zgodziła się Valerie. - Ale czasami miłość nie jest tym, co ci się zdaje. Czasami jest... Sama nie wiem, dla ciebie? Wydaje mi się, że dla ciebie miłość to owca w wilczej skórze. Chcę powiedzieć, że to nie musi być takie trudne, Irene. Przyjrzyj się uważniej. Pamiętasz, że zawsze miałam przyklejony do komputera ten cytat z E.M. Forstera? Przez tyle lat patrzyłam codziennie na te słowa: „Wystarczy, że się połączysz”. Ale potem pomyślałam: nie. „Wystarczy, że się połączysz” zakłada coś ze strony kogoś innego. Tworzy oczekiwanie, potrzebę, by ktoś inny coś ci w zamian dał. I w jakiej roli to ciebie ustawia? Wydawało mi się także, że koncepcja nietworzenia trwałych więzi to bzdura. Ze jest zła. Ale teraz dostrzegam jej mądrość. Dajesz coś ze względu na siebie samą, zamiast żeby wszystko zależało od tego, co dostaniesz w zamian. Więc zmieniłam „Wystarczy, że się połączysz” na „Wystarczy, że pokochasz”.

- Tak, ale ja nie radzę sobie za dobrze z miłością - stwierdziła wtedy Irene.

- Nie radzisz sobie za dobrze z małżeństwem - odparowała Valerie. - Sądzę, że nie masz bladego pojęcia, ile jest rzeczy, które mogłabyś pokochać. Ale ja znam ciebie lepiej niż ktokolwiek inny, i oto, co wiem o tobie: masz w sobie takie mnóstwo miłości do dania! Tylko że odnoszę wrażenie, że przez cały czas grzebiesz w skrzynce z pomidorami i pytasz: „Gdzie podziały się jabłka?”.

Irene siedzi dłużej. Zamyka szczelniej oczy, oddycha głębiej.

Duch na nią nie spływa. Radość nie spływa. Olśnienie nie spływa. Ale coś spływa. Irene podchodzi do okna, wygląda na ulicę, patrzy w dół na przechodzących ludzi. Niektórzy idą zdecydowanie, pewni tego, dokąd zmierzają. Inni są wyraźnie zagubieni. Idzie po klucze, a potem rusza do wyjścia, by się do nich przyłączyć.

Podziękowania

Dziękuję jak zawsze mojej redaktorce, Kate Medinie, której ta książka jest zadedykowana. Zaczęła mnie zachęcać i okazywać mi poparcie w 1992 roku i nigdy się w tym nie zachwiała. Słowa podziękowania niech przyjmą również wszyscy ci, którzy wykonali taką dobrą robotę w Random House: Lindsey Schwoeri, Beth Pearson, Ashley Gratz-Collier i Barbara Fillon.

W William Morris Endeavor mam dług wdzięczności wobec Suzanne Gluck i jej asystentek Caroline Donofrio oraz Miny Shaghghi. Dzięki również Alicii Gordon z *movielandu*; Cathryn Summerhayes z Wielkiej Brytanii; Laurze Bonner, która zajmuje się prawami zagranicznymi; oraz Claudii Ballard, która opiekuje się mną i czasopismami.

Wielu przyjaciół pomogło mi przy pisaniu tej książki: Ross Mitchell rozmawiał ze mną o skomplikowanych odczuciach dzieci, u których zdiagnozowano raka, Jeff Appleman wyjaśniał pewne aspekty prawne dotyczące porwań, a John Rupp, mój przyjaciel od czasów, kiedy

mieliśmy po osiemnaście lat, posłużył jako wzór miłości Johna Marsha do architektury, renowacji budynków i pięknego miasta St. Paul w Minnesocie. Elizabeth Cox przekonała mnie, jakie wartościowe jest siedzenie w milczeniu. Moja grupa pisarska służyła mi jak zawsze cennym wsparciem i zrozumieniem: koktajle z szampanem należą się Veronice Chapie, Arlene Manlinowski, Pam Todd i Michèle Weldon. Poza tym stanowiły pełną uznania widownię na moim pokazie kurczaków, który niedługo zostanie powtórzony, chociaż w bardziej bezpiecznej lokalizacji. Na koniec bardzo dziękuję Phyllis Florin, która czyta dla mnie różne teksty praktycznie codziennie i nigdy, ale to nigdy nie kłamie.